Rodzina Stalina
Jak dyktator mordował swoich bliskich

„Czterej pancerni i pies"
Serial PRL i kłamstwa historyczne

Morskie drapieżniki atakują!
Tajemnice okrętów podwodnych zimnej wojny

NR 12(106)/2021 GRUDZIEŃ 2021

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO RZECZY
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

Ameryka kontra Chiny

TRZECIA WOJNA ŚWIATOWA

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031
9 772299 951509 12 >

eprasa.pl 3b69ca0f16

40. LECIE

STANU WOJENNEGO
W POLSCE OPISANE
TWÓRCZOŚCIĄ
PRZEMYSŁAWA
GINTROWSKIEGO

13.XII.21

MECENASI:

Enea PGNiG KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNERZY GŁÓWNI:

PKO Bank Polski TOTALIZATOR SPORTOWY 65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

eprasa.pl 3b69ca0f16

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: PIOTR WŁOCZYK
REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy:
Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Maciej Strug, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło.**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Monika Doroś
tel.: 539 953 631, 508 040 664
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 15 sierpnia 1919 r.

Józef Piłsudski, nuncjusz Achille Ratti i Herbert Hoover, szef Amerykańskiej Administracji Pomocy

FOT. NAC

Od redaktora

Piotr Zychowicz

Europa schodzi ze sceny

Gdyby jeszcze 100 lat temu ktoś powiedział, że walka o globalną dominację rozegra się między Stanami Zjednoczonymi a Chinami – w najlepszym przypadku zostałby uznany za fantastę. Przez wieki bowiem świat dzielony był i rządzony przez mocarstwa europejskie. Wielką Brytanię, Francję, Niemcy, Austro-Węgry, Włochy i Rosję. W rywalizacji tej – na różnych etapach dziejów – brały również udział Niderlandy, Hiszpania i Portugalia.

Dziś układ sił na naszej planecie wygląda zupełnie inaczej. Punkt ciężkości przesunął się ku innym częściom świata. Przez trzy dekady – od 1991 r. – rolę globalnego hegemona sprawowały Stany Zjednoczone. Stosunkowo młode państwo, położone po drugiej stronie Atlantyku. Teraz wyzwanie Amerykanom rzucili Chińczycy. Azjatyckie supermocarstwo, którego gospodarka pęcznieje w oszałamiającym wręcz tempie.

Naprzeciw siebie stanęły dwa kolosy, których potencjał wielokrotnie przekracza potęgę mocarstw, które brały udział w pierwszej i drugiej wojnie światowej. Wszystko wskazuje na to, że rywalizacja między Chinami a Stanami Zjednoczonymi może zamienić się w otwartą wojnę. Jeżeli tak się stanie, to świat zatrzęsie się w posadach. I wszyscy odczujemy skutki tej konfrontacji.

W tym numerze „Historii Do Rzeczy" zastanawiamy się nad tym, jak mogłaby wyglądać taka wojna. Ale przede wszystkim staramy się pokazać, jak to się stało, że Ameryka i Chiny znalazły się w tym miejscu, w którym są obecnie. Jak to się stało, że przegoniły i zdeklasowały mocarstwa Starego Kontynentu. Jaka jest tajemnica wzrostu potęgi Chin i USA. Czy wynika z potencjału demograficznego? Systemu politycznego? A może ze zwykłego zbiegu okoliczności?

Jest takie stare chińskie przekleństwo: „Obyś żył w ciekawych czasach". Niestety, wygląda na to, że przekleństwo to materializuje się na naszych oczach. Francis Fukuyama pomylił się, gdy przed laty wieszczył koniec historii. Jest bardzo mało prawdopodobne, aby imperium amerykańskie dobrowolnie ustąpiło ze swojej roli globalnego hegemona. Świat jednobiegunowy przechodzi do historii. Ład światowy wali się w gruzy.

Oby tym razem wojenna zawierucha ominęła Polskę. ©℗

eprasa.pl 3b69ca0f16

/ TEMAT NUMERU

.06 JACEK BARTOSIAK
Trzecia wojna światowa

.10 JAN SADKIEWICZ
Amerykański hegemon

.14 JAKUB POLIT
Jak USA porzuciły Czang Kaj-szeka

.18 FOTOREPORTAŻ
Tajemnice Państwa Środka

.22 MACIEJ ROSALAK
Chiński wiek upokorzenia

/ FELIETONY

.68 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Zapomniana komuna

.69 PIOTR SEMKA
Nierozważny Skobielew

.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Fatalizm poglądów

/ KRESY

.70 TOMASZ STAŃCZYK
Korony na karabiny

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 MACIEJ ROSALAK
Entrée Wielkiego Kondeusza

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Tragiczna śmierć aktora

/ CZASY I LUDZIE

.26 JAKUB OSTROMĘCKI
Zakłamana saga o czołgistach LWP

.34 PIOTR ZYCHOWICZ
„Naziści" w Ameryce

.37 SŁAWOMIR KOPER
Kto zabił szefa Muszkieterów?

.40 MAREK GAŁĘZOWSKI
Bohaterowie z krakowskiej ASP

.44 MIKOŁAJ IWANOW
Rodzina Stalina

.48 TOMASZ STAŃCZYK
Potomkowie targowiczan

.52 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Antybrytyjska rebelia Iraku

.56 PIOTR SEMKA
Pancerne zuchy króla Alberta

.80 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Przybór długopiszący

/ CO CZYTAĆ

.60 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Himilsbacha jazda na puentach

eprasa.pl 3b69ca0f16

ipn.poczytaj.pl

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

WYDAWNICTWO
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ
IPN

eprasa.pl 3b69ca0f16

Pacyfik / Rywalizacja wielkich mocarstw

Jacek Bartosiak
Piotr Zychowicz

Trzecia wojna światowa

Gdy dwa kolosy zewrą się w śmiertelnych zmaganiach – świat zadrży w posadach. Ameryka i Chiny. Kto zdobędzie globalną dominację?

PIOTR ZYCHOWICZ: Kiedy i gdzie wybuchnie trzecia wojna światowa?

JACEK BARTOSIAK: Ona już wybuchła. Choć słowo „wybuchła" nie do końca jest precyzyjne. Zastanówmy się, kiedy wybuchła druga wojna światowa. W Polsce w roku 1939 czy może znacznie wcześniej w Mandżurii?

Właśnie, Japończycy i Chińczycy uważają, że zaczęła się 18 września 1931 r., gdy doszło do incydentu mukdeńskiego – prowokacji będącej wstępem do aneksji Mandżurii przez Japonię.

Sowieci z kolei utrzymują, że ta wojna wybuchła w czerwcu 1941 r.

Czesi – że w 1938 r.

Amerykanie – że w grudniu 1941 r.

Tak, różne narody – różne perspektywy.

Rewizjonistyczne mocarstwa – w szczególności Japonia i Niemcy – postanowiły w latach 30. zmienić panujący ład małymi kroczkami. Oczywiście dla Chińczyków, Austriaków czy ludności Czechosłowacji to były dość duże kroki. A Polska postanowiła sprawdzić ten blef Hitlera. I tu na symetrycznym polu walki rozegrało się prawdziwe zderzenie dwóch armii i ich państw. Wcześniej Hitler osiągał swoje cele metodami asymetrycznymi, czyli – jakbym powiedział współczesnym językiem – metodami wojny nowej generacji. Poprzez wymuszenie siłowe.

Tak, nasz minister spraw zagranicznych, Józef Beck, postanowił sprawdzić, czy Hitler rzeczywiście blefuje. Niestety, okazało się, że nie.

Trzecia wojna światowa więc już trwa. Stany Zjednoczone do niedawna gwarantowały ład światowy. Ich rola w Eurazji jest teraz jednak kwestionowana przez Chiny i przez Rosję.

Amerykańska opinia publiczna – bo oczywiście nie ludzie, którzy decydują w Waszyngtonie o polityce – wierzy, że międzynarodowa gra to starcie dobra ze złem. W rzeczywistości jednak chodzi o współzawodnictwo mocarstw. Kluczem jest równowaga sił, której Ameryka stara się być strażnikiem. Za każdym razem, gdy pojawia się mocarstwo, które pretenduje do roli lokalnego hegemona, czyli zagraża równowadze sił w Eurazji, Ameryka to mocarstwo próbuje powstrzymać,

eprasa.pl 3b69ca0f16

AMERYKAŃSKI LOTNISKOWIEC "RONALD REAGAN". FOT. WIKIMEDIA COMMONS, RYS. JACEK GRAMBURG

a potem je niszczy. Cztery przykłady: Wilhelmińskie Niemcy, III Rzesza, Cesarstwo Japonii i Związek Sowiecki. W tym ostatnim wypadku zimna wojna nie przeszła w gorącą, ale doprowadziła do upadku sowieckiej gospodarki i państwo, które rzuciło wyzwanie USA, zostało wyeliminowane. Teraz pretendentem do lokalnej, a być może globalnej hegemonii są Chiny. Czy są one silniejsze czy słabsze niż poprzednicy? Jak twardy jest orzech, który musi zgryźć Ameryka?

Chiny są najsilniejszym w dziejach państwem aspirującym do obalenia hegemonii Ameryki. Zaraz o tym powiem, ale chciałem dodać, że wcześniej było cztery i pół takiej próby. W latach 80. Japonia gospodarczo też znalazła się na takiej trajektorii, mimo że w zakresie bezpieczeństwa była zależna od Stanów Zjednoczonych. Amerykanie poważnie się obawiali, że zdominuje ona rejon Pacyfiku, przejmie kontrolę nad cyklami technologicznymi, innowacyjnymi i kapitałowymi. I tym samym gospodarka Stanów Zjednoczonych straci konkurencyjność. Wówczas Amerykanie bezwzględnie wykorzystali swój status eksportera bezpieczeństwa i właściwie pana lennego Japonii. Zmusili Tokio w porozumieniu podpisanym w 1985 r. w nowojorskim hotelu Plaza do zmiany parametrów makroekonomicznych gospodarki. Od tej pory datuje się stagnacja japońskiej gospodarki. Na tym właśnie polega władza w systemie międzynarodowym, którą Amerykanie dzierżą, a Chińczycy starają się im odebrać. Wojna już się toczy. Jest to wojna o przepływy strategiczne. Chiny są największym konkurentem, najpotężniejszym, z jakim Amerykanie musieli się kiedykolwiek zmierzyć.

Dlaczego?

Wojna to w dużej mierze starcie potencjałów gospodarczych. Chiny pod względem siły nabywczej PKB mają większą gospodarkę od amerykańskiej i bardzo szybko odjeżdżają Amerykanom. Amerykanie nigdy nie mieli takiego przeciwnika. Przeciwnika, który produkuje znacznie więcej niż oni. Przeciwnika, który ma większą liczbę obywateli. W dotychczasowych starciach to Amerykanie byli silniejsi demograficznie, produkowali więcej, mieli więcej kapitału, mieli większą bazę przemysłową. A Chiny na wszystkich tych polach górują dziś nad USA.

Czyli są znacznie silniejsze, niż niegdyś były państwa Osi?

PKB Niemiec hitlerowskich i Japonii imperialnej na początku lat 40. XX w. wynosiło łącznie mniej niż 40 proc. amerykańskiego. A Amerykanie mieli jeszcze po swojej stronie imperium brytyjskie i Związek Sowiecki. Mieli potężnych sojuszników.

Te dwie pary rywali – Stany Zjednoczone i Japonia w roku 1941 oraz Stany Zjednoczone i Chiny w roku 2021 – to narzucająca się analogia. Admirał Yamamoto, geniusz wojny oceanicznej, na jedną z narad poprzedzających decyzję o ataku na Stany Zjednoczone przyszedł z neseserem. Położył go na stole, wyciągnął z niego zestawienia statystyczne i zaczął czytać: przemysł chemiczny – przewaga amerykańska tyle a tyle procent. Surowce – przewaga amerykańska tyle a tyle procent. Przemysł mechaniczny – przewaga amerykańska tyle a tyle procent. Potem to

eprasa.pl 3b69ca0f16

Chińscy żołnierze podczas Army 2019, międzynarodowego forum techniki i gier wojennych FOT. COMMONS WIKIMEDIA

podsumował: Ameryka ma dziesięciokrotnie większy potencjał niż Japonia. Panowie – powiedział – jeśli pójdziemy na to zderzenie, to oni nas zmiażdżą. Ani duch walki, ani element zaskoczenia nic nam nie dadzą. Tę wojnę musimy przegrać. A gdyby teraz zrobić takie porównanie między potencjałem Chin i USA, to nie wyglądałoby ono dla Amerykanów już tak różowo.

Tak, ale czasy się jednak zmieniły. Lata 40. to były czasy industrialne, wojna miała charakter przemysłowy. W związku z tym moce produkcyjne, ilość wytwarzanej stali, aluminium to były decydujące czynniki zwycięstwa. Amerykanie mieli większy przemysł niż Japonia. I wygrali wojnę na wyczerpanie. Ostrzegam jednak przed prostą analogią z obecnym konfliktem amerykańsko-chińskim. Nie żyjemy już w epoce przemysłowej, lecz postprzemysłowej. Nie chodzi o to, że państwa mają mniejsze moce produkcyjne – bo na niektórych polach są one nawet większe. Po prostu powszechna informatyzacja doprowadziła do tego, że na okrętach są miliony, setki milionów kilometrów kabli. Nie można już tak szybko wodować nowych okrętów jak w czasie drugiej wojny światowej, bo trzeba je wyposażyć w całą niezbędną elektronikę, zgrać software… W związku z tym trzecia wojna światowa będzie toczona w inny sposób niż druga. Nie da się produkować w trakcie wojny tyle sprzętu co kiedyś. Wojna będzie prowadzona raczej tym, co już jest w arsenałach i bazach wojskowych. To osłabia Amerykę. Chiny wodują bowiem dużo więcej okrętów. Mają dużo większy przemysł stoczniowy niż USA. Czyli czas w tym wypadku pracuje dla nich.

Poza tym obecnie istotą wojny jest obezwładnienie dalekosiężnego systemu świadomości sytuacyjnej przeciwnika. Oślepienie go. Gdy uda się to zrobić – natychmiast osiąga się gigantyczną przewagę. Amerykanie mówią o tym od wielu lat.

Czyli w przemyśle stoczniowym Chiny są górą. A jakie atuty mają Amerykanie?

Generalnie Chińczycy mają większy przemysł niż Amerykanie, nie tylko morski. I rzeczywiście budują znacznie większą flotę. Mogą być nie do zatrzymania. To poprzedni prezydent USA podjął działania zmierzające do zatrzymania szalonego rozwoju Chin. Gdyby nie on, Chińczycy produkowaliby jeszcze więcej i mieliby jeszcze większe stocznie. Oczywiście Cesarstwo Japonii nigdy nie zdołałoby tego osiągnąć. Słabe strony Pekinu? Otóż Chiny – podobnie jak Japonia w latach 40. – są uzależnione od importu surowców z zagranicy. W przeciwieństwie do Amerykanów.

Chiny, jak niegdyś Japonia, mają swój pomysł na wojnę z USA, koncepcję tzw. buławy zabójcy, w której stawiają głównie na lądowe systemy rakietowe, minowanie i okręty podwodne. Amerykanie z kolei mają koncepcję wojny powietrzno-morskiej na zachodnim Pacyfiku. Obie strony szykują się do konfrontacji. Celem Chin będzie pozbawienie amerykańskiej floty zdolności do dominacji na wodach zachodniego Pacyfiku. Z kolei Amerykanie muszą nałożyć blokadę morską na Chiny, żeby pozbawić je dostępu do surowców. Ta wojna wisi w powietrzu. Dobrze, żeby nasi czytelnicy zdawali sobie z tego sprawę, nie byli zaskoczeni. To tak jak z COVID. Jego też się nie spodziewaliśmy, a żyjemy z nim od wielu miesięcy. Z trzecią wojną światową może być tak samo.

Tak, ten scenariusz to nie jest science fiction, to realna możliwość. Profesor John Mearsheimer w książce „Tragizm polityki mocarstw" dokładnie przeanalizował rywalizację chińsko-amerykańską i doszedł do wniosku, że ryzyko wojny na Pacyfiku jest obecnie znacznie większe niż wojny sowiecko-amerykańskiej w czasie zimnej wojny. Przewiduje on, że Ameryka zbuduje antychińską koalicję. Jej celem będzie otoczenie i zablokowanie Chin. Chiny od strony morza są otoczone półkolem amerykańskich państw sojuszniczych. Japonia, Korea Południowa, Tajwan, Filipiny…

… Australia, Wietnam.

Wszystkim tym mniejszym graczom zależy oczywiście na powstrzymaniu Chin przed narzuceniem swej hegemonii w rejonie Pacyfiku. Trudno jednak nie zauważyć, że aby domknąć to koło okrążenia od północy, należy pozyskać Rosję. Gdyby Moskwa w trzeciej wojnie światowej wystąpiła po stronie Pekinu, Chiny mogłyby drogą lądową, przez Syberię, czerpać z Rosji nieograniczone ilości surowców strategicznych. Wygląda na to, że bez wciągnięcia Rosji do koalicji antychińskiej Stany Zjednoczone nie mają szansy wygrać wojny z Chinami.

To jak wojna Behemota z Lewiatanem. Lewiatanem jest potęga morska USA, blokująca usta i nos, przez które oddychają Chiny. Przecinającą główne arterie morskie, którymi obecnie do Chin płyną surowce. To starcie słonia z wielorybem, jak ujął to kanclerz Bismarck w rozmowie z królem Wielkiej Brytanii. Niemcy są słoniem, potęgą lądową, a Wielka Brytania wielorybem – potęgą morską. Wieloryb może zablokować morskie przepływy strategiczne.

Na powodzenie inwazji lądowej nie ma jednak większych szans.

Racja, nie da się okupować Chin.

À propos Bismarcka. Kiedyś zapytano go: „Co by pan zrobił, panie kanclerzu, gdyby brytyjscy żołnierze wylądowali na plażach Niemiec?". „Jak to co? – odpowiedział. – Wezwałbym najbliższego policjanta i kazał ich aresztować".

Ta anegdota dobrze oddaje słabość mocarstw morskich w wojnach lądowych. Ale nowoczesnej wojny nie wygrywa się przez podbój terytorium rywala i okupację. Wygrywa się, łamiąc jego wolę walki. Kajzerowskie Niemcy zostały przecież pokonane za pomocą blokady morskiej, którą nałożyła na nie Wielka Brytania. Anglosasi doskonale stosują tę strategię.

Żeby daleko nie szukać. Również poprzednia wojna na Pacyfiku – z Cesarstwem Japonii – została wygrana za sprawą blokady morskiej.

eprasa.pl 3b69ca0f16

To blokada pozbawiła Tokio możliwości dalszej walki.

Z Chinami jest inaczej, bo Chińczycy to wytrawni gracze, którzy doskonale rozumieją, na czym polega rywalizacja o światową dominację. Dlatego chiński przywódca Xi Jinping ogłosił w Astanie – stolicy najbardziej oddalonego od oceanu światowego Kazachstanu – koncepcję Pasa i Szlaku. Chodzi o zbudowanie potęgi kontynentalnej, o jakiej marzył słynny niemiecki geopolityk Karl Haushofer. Tylko że teraz nie budują jej Niemcy, lecz Chińczycy. Potęga gospodarcza, finansowa i demograficzna dużo większa niż Niemcy. Chodzi o zbudowanie infrastruktury transportowej poprzez masy lądowe Eurazji, żeby ominąć panujących na morzach i oceanach Amerykanów. Nie chodzi tylko o Rosję, o dostęp do jej surowców energetycznych. Gra toczy się o większą stawkę. Chodzi o połączenie z Pakistanem, Iranem, Azją Środkową. Chińczycy budują korytarze transportowe do wszystkich tych krajów. To jest istota ich ekspansji. Mao Zedong mawiał, że budzi się w nocy i myśli o Malakce. Spędzała mu ona sen z powiek. Malakka to cieśnina nieopodal Singapuru, wąskie gardło, którym wychodzi w świat – do Europy, Afryki, Bliskiego Wschodu i innych miejsc na świecie – cała produkcja Chin. Z kolei w drugą stronę płyną surowce energetyczne. Zablokowanie tej cieśniny to dla Chińczyków koszmar. Amerykanie, korzystając z pierwszego łańcucha wysp – Japonii, Tajwanu, Filipin – mogą nałożyć na Chiny blokadę. Odciąć im tlen. Odpowiedzią Chińczyków na taką ewentualność jest właśnie koncepcja Pasa i Szlaku. Bo tylko ona może spowodować, że blokada ich nie zadusi. Amerykanie – jak już wspomnieliśmy – szykują się właśnie do tej blokady. Do wojny morskiej. Nie mają planów inwazji i okupacji Chin. To nierealne.

Musieliby oszaleć, żeby tego próbować.

Sytuacja Zachodu, Stanów Zjednoczonych, jest dużo trudniejsza niż podczas drugiej wojny światowej i zimnej wojny. Ani hitlerowskie Niemcy, ani imperialna Japonia, ani Włochy, a szczególnie Sowiety, nie znajdowały się w systemie globalnego łańcucha dostaw, w zglobalizowanej gospodarce. Chiny tymczasem są centrum, sercem całego systemu światowego. I podczas trzeciej wojny światowej trzeba będzie wyrwać to serce. Przyczyną wojen są zmiany. Tak, to zmiany, a nie bieda, prowadzą do wybuchu wielkich konfliktów zbrojnych. Zmiany w układzie sił. Teraz – tak jak mówiłem – Chiny są w centrum systemu i Amerykanie muszą zrobić bardzo agresywny „rollback". Blokowanie ekspansji chińskich technologii, takich jak 5G. Sankcje na eksport mikroprocesorów, odcięcie dostępu do dolara, odbieranie rynków Chińczykom. To wszystko zostanie zapewne wprowadzone, jeśli Amerykanie chcą marzyć o zachowaniu swojej globalnej hegemonii. Dla Chińczyków jest to oczywiście nie do zaakceptowania. I to jest punkt zapalny.

Wróćmy do Rosji, bo uciekła nam ta sprawa. Jeżeli Ameryka chce założyć podwójnego nelsona na kark Chińczyków – czyli wprowadzić skuteczną blokadę morską – to będzie się musiała porozumieć z Rosją. Z Waszyngtonu docierają sygnały, że wielu tamtejszych analityków to rozumie. Wygląda więc na to, że Rosja będzie kluczem do sytuacji. Od tego, po czyjej stronie się opowie, może zależeć wynik konfrontacji między USA a Chinami. Jaką decyzję podejmie Putin lub jego następca? Po czyjej stronie Rosja przystąpi do trzeciej wojny światowej?

FRAGMENT KSIĄŻKI
JACKA BARTOSIAKA I PIOTRA ZYCHOWICZA
„NADCHODZI III WOJNA ŚWIATOWA"
REBIS

Już przystąpiła – na razie po stronie Chin. Rosja zajmuje w globalnej rywalizacji stanowisko rewizjonistyczne.

Czyli złe wiadomości dla Białego Domu.

Sytuacja przypomina rok 1939, gdy doszło do porozumienia Związku Sowieckiego z Niemcami. Porozumienie to, jak wiadomo, doprowadziło do wybuchu drugiej wojny światowej.

Ta analogia ma określony podtekst. Rozumiem, że sytuacja jest dynamiczna i w dalszej fazie wojny może dojść do spektakularnego odwrócenia sojuszy. Jak w czerwcu roku 1941.

Oczywiście. Putin stoi przed poważnym dylematem. Generalnie Rosjanie uważają, że Chiny zwyciężą. W związku z tym nie chcą być po stronie Zachodu, po stronie przyszłych przegranych. Z drugiej strony wiedzą, że jeśli Chińczycy wygrają, to potem dobiorą się do nich.

Kiedy obecna rywalizacja amerykańsko-chińska może się zamienić w gorącą, prawdziwą wojnę?

Obawiam się, że do roku 2030. W ciągu niecałej dekady możemy mieć kolejną wojnę.

To już nie będzie taka wojna, jakie oglądaliśmy w telewizji. Taka jak interwencje w Iraku czy Afganistanie. Czyli starcie przeciwników o całkowicie innych siłach i możliwościach.

Tak, to będzie wojna symetryczna.

Zewrą się ze sobą dwa wielkie światowe mocarstwa posiadające olbrzymie zasoby, wielkie armie, nowoczesne technologie militarne. Dwa giganty. Olbrzymi będzie również teatr działań, rozmiary zaangażowanych sił i środków. Do konfliktu zostaną wciągnięte inne państwa. Czegoś takiego świat nie oglądał od drugiej wojny światowej. A więc od blisko ośmiu dekad. Czy można przewidzieć, jak konkretnie będzie przebiegał ten konflikt?

Chińczycy odniosą spektakularne sukcesy w pierwszym tygodniu. Tak jak Japończycy po zbombardowaniu Pearl Harbor. Potem wszystko będzie zależało od woli Amerykanów co do powrotu na Pacyfik.

Mam tylko nadzieję, że tym razem wichry wielkiej wojny ominą naszą udręczoną ojczyznę.

Wszystko zależy od Rosjan. Gdyby zdecydowali się pójść na wojnę u boku Chińczyków, to stalibyśmy się wysuniętą kasztelanią, ostatnim bastionem Zachodu sięgającym pod Bug. A za Bugiem kolosalne rosyjsko-chińskie imperium lądowe rozciągające się na wielkich przestrzeniach Eurazji, od Brześcia po Szanghaj. Imperium, które jest głównym producentem dóbr na świecie i największym posiadaczem surowców energetycznych. Rosja jest bardzo blisko nas, a Stany Zjednoczone – bardzo daleko. To byłby dla nas koszmarny scenariusz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3b69ca0f16

XVIII–XXI w. / Jak USA zostały supermocarstwem

Amerykański hegemon

FOT. WIKIPEDIA

Jan Sadkiewicz

Przywódcy amerykańscy stanowili wzór elit spełniających swój podstawowy obowiązek – dbanie o bezpieczeństwo i dobrobyt swoich obywateli. Obowiązku tego nie przysłaniały im żadne idealistyczne rojenia

Brytyjski historyk John Robert Seeley napisał w 1883 r., że Wielka Brytania zdobyła swoje imperium w przypływie roztargnienia. Wrażenie równie bezwiednego może robić marsz ku potędze tego mocarstwa, które niedługo później zdetronizowało Albion na pozycji najsilniejszego państwa globu – Stanów Zjednoczonych.

Przyjmowaniu takiego poglądu może sprzyjać właściwe Amerykanom odżegnywanie się od polityki siły oraz rola orędownika porządku, apostoła demokracji, stróża prawa międzynarodowego i obrońcy narodów słabszych przed zakusami silniejszych, z której pełnieniem Waszyngton (słusznie czy niesłusznie) kojarzy się (szczególnie w Polsce) dzisiaj. Jak jednak przekonuje amerykański profesor John Mearsheimer, osiągnięcie przez USA pozycji hegemonicznej nie było ani dziełem przypadku, ani skutkiem bardziej cnotliwego podejścia do stosunków międzynarodowych, ale efektem konsekwentnego, a czasem wręcz bezwzględnego stosowania zasad realizmu politycznego. Mearsheimer przypomina, że strategiczna pozycja 13 kolonii, które w 1783 r. ostatecznie uniezależniły się od Korony brytyjskiej, była bardzo niepewna. Młode państwo, przywiązane do zachodniego brzegu Atlantyku, było stosunkowo słabe, a do tego otoczone przez posiadłości mocarstw europejskich – Wielkiej Brytanii, Francji i Hiszpanii – oraz terytoria wrogo nastawionych plemion indiańskich.

Zdobywcy i gospodarze

Odpowiedzią Amerykanów na to wyzwanie była przede wszystkim konsekwentna i prowadzona z niesłychanym rozmachem ekspansja terytorialna, dzięki której nie tylko powiększano obszar państwa, lecz także odbierano innym mocarstwom potencjalne bazy dla wrogich działań – a Amerykanie nie bez podstaw obawiali się, że Europej-

eprasa.pl 3b69ca0f16

czycy (w szczególności Brytyjczycy) będą chcieli zastopować ich rozwój. Ekspansję tę realizowano w znacznej mierze w sposób pokojowy – w 1803 r. odkupiono od Francuzów Luizjanę, a w 1867 r. od Rosjan Alaskę – bądź z wykorzystaniem ograniczonej presji militarnej, tak jak w przypadku odebrania Florydy z rąk Hiszpanów w roku 1819. Kiedy jednak do sąsiada nie przemawiały ani oferty pieniężne, ani zawoalowane groźby, Stany Zjednoczone nie wahały się przed użyciem siły. W 1846 r. wypowiedziały wojnę Meksykowi i po trwającym niespełna dwa lata jednostronnym konflikcie odebrały mu tereny stanowiące obecnie południowo-zachodnią część USA. Władza Waszyngtonu sięgała już wtedy wybrzeża Pacyfiku.

Z tą chwilą ekspansja terytorialna Amerykanów wyraźnie wyhamowała. Istniały co prawda plany aneksji Kanady bądź niektórych wysp Morza Karaibskiego, osłabła jednak determinacja do ich realizacji, ponieważ po 1848 r. dalsze rozszerzenie terytorium nie było już – najprościej rzecz ujmując – potrzebne z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa. Konieczna była za to konsolidacja zdobytych obszarów.

Proces ten przebiegał w imponującym tempie, choć nie obyło się w nim bez wydarzeń dramatycznych. Najpoważniejszą próbę dla wzrastającej potęgi stanowiła wojna secesyjna, w wyniku której zażegnano nie tylko niebezpieczeństwo rozpadu kraju, lecz także przede wszystkim pojawienia się na kontynencie amerykańskim równorzędnego konkurenta. Aby uświadomić sobie stawkę tego konfliktu, trzeba zrozumieć, że przetrwanie Skonfederowanych Stanów Ameryki pozwoliłoby mocarstwom europejskim na wygrywanie obu państw amerykańskich przeciwko sobie nawzajem, a co za tym idzie – uniemożliwiło Waszyngtonowi zdobycie hegemonii regionalnej i prowadzenie aktywnej polityki w innych częściach świata. To tłumaczy bezwzględność, z jaką potraktowano niepodległościowe aspiracje południowców.

Nie mniej brutalna była rozprawa z zamieszkującymi terytorium USA plemionami rdzennych Amerykanów, które częściowo wymordowano, a częściowo zepchnięto do rezerwatów. Równolegle z Europy sprowadzano rzesze imigrantów dla zasiedlenia zdobytych obszarów – w drugiej połowie XIX w. Stanom Zjednoczonym przybyło w ten sposób 16,7 mln mieszkańców. Masowa imigracja przyczyniała się nie tylko do zwiększenia populacji, lecz także do stawiania drugiego filaru mocarstwowości, a mianowicie potęgi ekonomicznej.

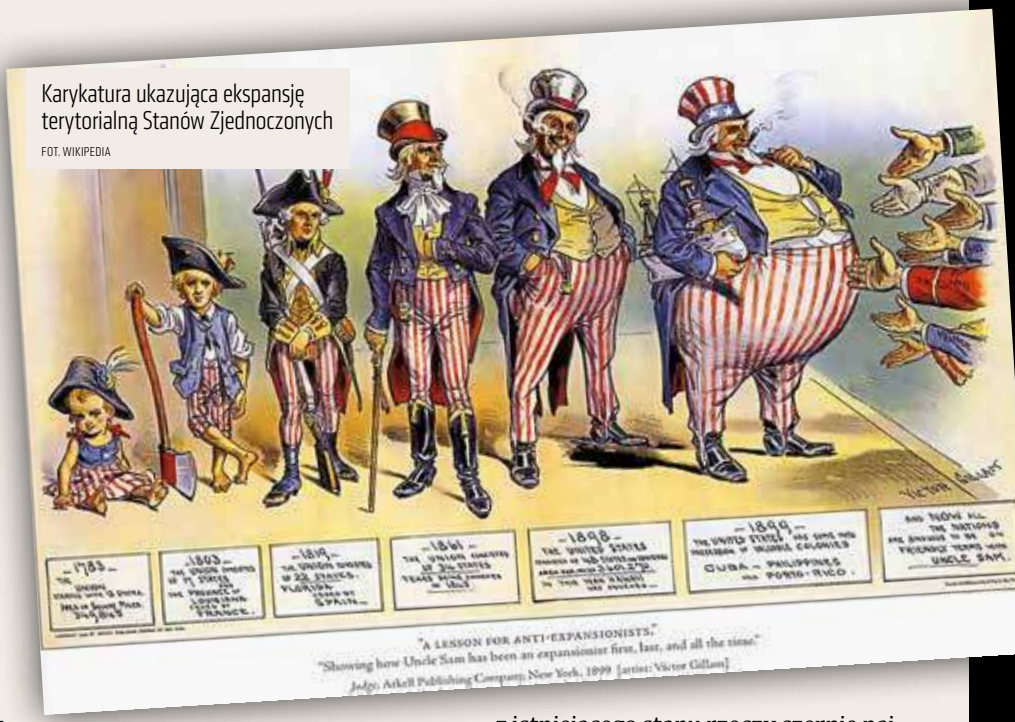

Karykatura ukazująca ekspansję terytorialną Stanów Zjednoczonych

FOT. WIKIPEDIA

Z końcem stulecia (symboliczną cezurą jest zwycięska wojna z Hiszpanią z 1898 r.) Stany Zjednoczone jako pierwsze i jedyne jak dotąd nowożytne państwo zrealizowały marzenie każdego mocarstwa. Osiągnęły hegemonię regionalną, tzn. pozostały jedynym mocarstwem w swojej części świata, co dało im bezprecedensowe bezpieczeństwo i swobodę prowadzenia polityki zagranicznej. Jeżeli można mówić o wyjątkowym statusie Stanów Zjednoczonych w dziejach świata, to przede wszystkim ze względu na to osiągnięcie.

Imperializm Jankesów

Kiedy stały się wystarczająco rozległe, potężne, bogate i bezpieczne, Stany Zjednoczone zaoferowały, a w zasadzie narzuciły swoim sąsiadom z zachodniej półkuli politykę pokojową. Nie ma w tym nic zaskakującego. Poszanowanie granic, traktatów i prawa międzynarodowego jest bowiem naturalne u tego, kto z istniejącego stanu rzeczy czerpie największe korzyści. „Przyjęta przez Stany Zjednoczone wobec Ameryki Łacińskiej polityka »dobrego sąsiedztwa« – pisał w latach 30. XX w. brytyjski przedstawiciel realizmu politycznego E.H. Carr – nie jest przeciwieństwem, ale kontynuacją i konsekwencją »jankeskiego imperializmu« – tylko najsilniejszy bowiem może jednocześnie utrzymywać swą dominację i być »dobrym sąsiadem«".

Tak znakomite powodzenie nie osłabiło bynajmniej amerykańskiego poczucia realizmu. Osiągnąwszy status hegemona, USA mogły wreszcie w pełni wyegzekwować doktrynę Monroe'a, czyli zakaz mieszania się mocarstw europejskich w sprawy kontynentu amerykańskiego, a w szczególności zawierania sojuszy z państwami półkuli zachodniej, co Amerykanie – mimo swojej potęgi – uważali za niezasługujące na lekceważenie zagrożenie dla bezpieczeństwa ich państwa. Warto zwrócić uwagę, że doktryna ta, z pozoru wysunięta w obronie państw amerykańskich przed imperializmem Europejczyków, w istocie stanowi ograniczenie nałożone nie tylko na mocarstwa zamorskie, lecz także na sąsiadów USA z półkuli zachodniej. W jej świetle kraje Ameryki Środkowej i Południowej są oczywiście państwami niepodległymi, ale niepodległość ta nie obejmuje prawa do zawierania sojuszy, które mogłyby nie spodobać się w Waszyngtonie.

Obrawszy na swojej półkuli postawę obrońcy status quo, wobec innych

eprasa.pl 3b69ca0f16

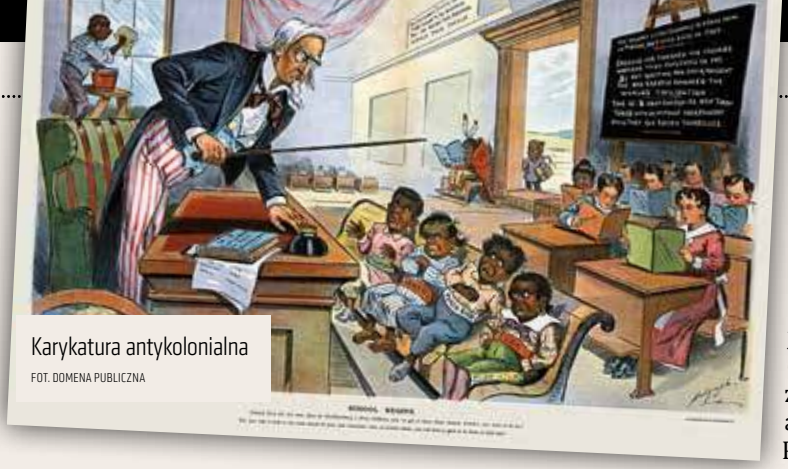

Karykatura antykolonialna

FOT. DOMENA PUBLICZNA

części świata Stany Zjednoczone przyjęły rolę strażnika równowagi sił, tzn. pilnowały, by w każdym regionie istniały co najmniej dwa mocarstwa szachujące się nawzajem, dzięki czemu żadne z nich nie mogłoby rzucić wyzwania hegemonowi kontynentu amerykańskiego. Innymi słowy, Stany Zjednoczone dbały o to, by nikomu nie udało się powtórzyć ich osiągnięcia i zdominować swojej części świata.

Taka motywacja stała za przystąpieniem USA do obu wojen światowych, a także za przyjęciem polityki powstrzymywania ZSRS po 1945 r. Choć Amerykanie lubili przedstawiać swoje wojny jako krucjaty w obronie wolności i sprawiedliwości, to do walki z nazistowskimi Niemcami i imperialną Japonią ruszyli nie zaraz po ujawnieniu zbrodniczej natury tych państw, ale dopiero wtedy, kiedy zbliżyły się one do statusu regionalnych hegemonów.

Mimo że w XX w. zasoby Stanów Zjednoczonych były wręcz niewyczerpane, prowadziły one swoje działania międzynarodowe z godną podziwu oszczędnością, co również jest wyróżnikiem postawy realistycznej. Strategią pierwszego wyboru wobec mocarstwowych przeciwników było dla nich zawsze przerzucanie odpowiedzialności, tzn. zabieganie o to, by główny ciężar powstrzymywania potencjalnych hegemonów spoczął na barkach ich bezpośrednich sąsiadów. Do pierwszej wojny światowej Amerykanie przystąpili po blisko trzech latach zmagań, wobec wyczerpywania się sił Trójporozumienia. W drugiej wojnie światowej brali udział od 1941 r., ale poważne walki lądowe z Niemcami podjęli dopiero w 1943 r. we Włoszech i w 1944 r. we Francji, pozwalając, by największą daninę krwi za złamanie potęgi Wehrmachtu złożyła Armia Czerwona. Podobnie na drugim froncie korzystali z tego, że znaczne siły japońskie, kosztem ogromnych strat, wiązali na kontynencie azjatyckim Chińczycy. Po 1945 r., wobec braku mocarstw zdolnych przejąć odpowiedzialność, USA musiały wziąć na siebie główny ciężar powstrzymywania ZSRS. Ale i wtedy nie pogardziły silnymi sojusznikami.

Realizm i retoryka

Swoboda zawierania sojuszy to kolejny dowód zimnego realizmu Amerykanów i zaprzeczenie ich idealistycznej retoryki. Wobec niebezpieczeństwa niemieckiego i japońskiego Stany Zjednoczone nie wahały się wejść w przymierze z nie mniej od tamtych zbrodniczym państwem sowieckim i rzetelnie tego przymierza dotrzymać, pozwalając Stalinowi na zniewolenie narodów Europy

REKLAMA

REBIS

DOBRA HISTORIA TYLKO Z REBISU

Fascynująca opowieść o tym, jak niezdarny pojazd zmienił się w śmiertelnie niebezpieczny okręt, jedną z najbardziej skomplikowanych, najdroższych i przerażających broni

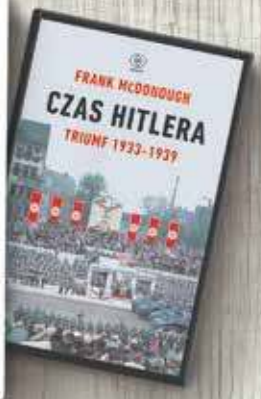

Dwuczęściowy *Czas Hitlera* to błyskotliwie napisana, bogato ilustrowana książka prezentująca nowe, unikatowe spojrzenie doskonałego historyka na wzlot i upadek Trzeciej Rzeszy

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o. www.rebis.com.pl FB/REBIS

eprasa.pl 3b69ca0f16

Wschodniej i Środkowej. Z chwilą jednak, kiedy tamte niebezpieczeństwa zostały odsunięte, a potencjalnym rywalem stał się ZSRS, USA znowu nie wahały się, by zawrzeć sojusze z dopiero co pokonanymi Niemcami oraz Japonią i pomóc w odbudowie tych państw ze zniszczeń wojennych – mimo ogromu zbrodni, jakich Niemcy i Japończycy dopuścili się w swoich nieudanych próbach zdobycia regionalnej hegemonii.

Na taką elastyczność polityki amerykańskiej pozwalała mądrze ukształtowana opinia publiczna w samych Stanach Zjednoczonych, która nie krępowała przesadnie działań Waszyngtonu swoimi irracjonalnymi sympatiami czy antypatiami, ale przeciwnie – dostosowywała się do wymogów racji stanu. Dla przykładu: u progu XX w. Niemcy uchodziły w USA za państwo postępowe i praworządne. Wraz z nasilaniem się sprzeczności interesów zmieniał się jednak także wizerunek cesarstwa Hohenzollernów za oceanem i w okresie pierwszej wojny światowej Amerykanie postrzegali już II Rzeszę jako państwo bardziej autokratyczne i militarystyczne niż jej europejscy rywale. Pod koniec lat 30. z kolei fatalną prasę w Stanach miał Związek Sowiecki. Kiedy jednak okazał się on niezbędny dla pokonania III Rzeszy, nabrał w oczach Amerykanów znamion „protodemokracji", a Józef Stalin zmienił się z krwawego despoty w „wujka Joe", by zresztą wkrótce potem znowu przeobrazić się w zagrożenie dla wolnego świata.

Takim manewrom sprzyjała niewzruszona wiara Amerykanów w słuszność ich sprawy. Teoretycy i praktycy polityki, od Machiavellego do Bismarcka, za obowiązek męża stanu podawali odziewanie interesu własnego w szatę uniwersalnej słuszności. Tego typu świadomy cynizm w XX w. okazał się narzędziem przestarzałym i musiał ustąpić bezwiednemu cynizmowi Amerykanów, szczerze przekonanych, że są wcieleniem sprawiedliwości i dobra, niosącym postęp państwom i narodom zacofanym. „Stany Zjednoczone wkroczyły do Meksyku, by służyć ludzkości" – powiedział prezydent Woodrow Wilson po ostrzelaniu Vera Cruz przez okręty amerykańskie w 1914 r. Podobne zapewnienia do dziś towarzyszą amerykańskim bombom zrzucanym w najróżniejszych miejscach świata.

Po co jednak – zapyta może wreszcie zniecierpliwiony czytelnik – autor podaje nam te wszystkie przykłady amerykańskiego wyrachowania, obłudy i brutalności? Czy chce nas przekonać, że Stany Zjednoczone są „złym" państwem, a amerykańscy przywódcy – ludźmi niemoralnymi? Wręcz przeciwnie.

Prezydent Donald Trump

FOT. WIKIPEDIA/TIA DURFOUR, WHITE HOUSE

Pycha utopii

Elity kształtujące politykę amerykańską w XIX i XX w. trzeba uznać za stojące moralnie wyżej od tych na przykład przedstawicieli elit polskich, którzy dla wzniosłych ideałów zaniedbywali rachunek sił, szafowali bezmyślnie krwią rodaków i popychali naród do zmagań beznadziejnych, a także tych, którzy sprowokowane w ten sposób niepotrzebne ofiary usprawiedliwiali rzekomymi zdobyczami niematerialnymi lub szlachetnością przyświecających podejmowanym działaniom intencji. To przywódców amerykańskich można wskazać za wzór elit spełniających swój podstawowy obowiązek – dbanie o bezpieczeństwo i dobrobyt swoich obywateli, którego to obowiązku nie przysłaniały im żadne idealistyczne rojenia; przeciwnie, te ostatnie w naturalny, niemal niezauważalny sposób wprzęgnięte były w służbę potęgi państwa.

Co się może wydać paradoksalne (acz jest paradoksalne tylko pozornie), na prawdziwe potępienie moralne Amerykanie zasłużyli dopiero po zwycięskim zakończeniu zmagań ze wszystkimi mocarstwowymi rywalami, kiedy to, ciesząc się w zasadzie statusem hegemona światowego, porzucili myślenie w kategoriach realizmu i weszli na idealistyczną (a w gruncie rzeczy utopijną i będącą przejawem pychy) ścieżkę naprawiania świata. Polityka ta przybrała głównie formę krzewienia demokracji w krajach szeroko rozumianego Bliskiego Wschodu i zakończyła się spektakularną klęską, przynosząc wcześniej bezmiar zniszczeń i cierpienia mieszkańcom tamtego regionu świata. Przyniosła też wymierne szkody prestiżowi i potędze samych Stanów Zjednoczonych.

Historia USA dowodzi nie tylko tego, że kierowanie się realizmem jest najlepszą drogą do politycznej potęgi, lecz także tego, że w polityce realizm jest postawą bardziej etyczną, tj. przynoszącą lepsze skutki, od nieskrępowanego wymogami polityki siły idealizmu. Możemy wytykać Amerykanom rozmaite akty cynizmu i brutalności z przeszłości, ale nie możemy im też odmówić tego, że zdobytą w ten sposób potęgę wykorzystali do odesłania na śmietnik historii tak ohydnych reżimów jak III Rzesza, imperialna Japonia czy Związek Sowiecki.

Z dziejów USA wyciągnąć można jeszcze jedną lekcję: że realizm nie będzie nigdy prawdziwie „realny", jeżeli zostanie utożsamiony z czystą polityką siły i pozbawiony aspektu moralnego. Amerykanie, w porównaniu z Niemcami, Japończykami czy Sowietami, okazali się mimo wszystko mniej skłonni do stosowania przemocy wobec słabszych, a bardziej skorzy do zabiegania o ich akceptację. Ten fakt trudno zanegować, nawet jeżeli wynikał on w dużym stopniu z potęgi i poczucia bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych, a nie z rzekomej szlachetności Amerykanów. Realizując interes własny, mieli coś do zaoferowania światu i w tym też tkwiła tajemnica ich sukcesu. Kiedy z kolei dla realizacji rzekomego interesu świata zapomnieli o chłodnych kalkulacjach potęgi, ściągnęli nieszczęścia na siebie i na innych.

Obecnie wzrost potęgi Chin zmusza Stany Zjednoczone do powrotu na ścieżkę realizmu, co z kolei nas powinno skłaniać do refleksji, jak kroczyły one tą ścieżką w przeszłości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3b69ca0f16

Żołnierze Czang Kaj-szeka FOT. COMMONS WIKIMEDIA

中國工農紅軍

Rozmowa / Z prof. Jakubem Politem, znawcą historii Chin

rozmawia Piotr Włoczyk

Jak USA porzuciły Czang Kaj-szeka

Gdyby Amerykanie zaangażowali się w walce o Pekin, do wojny w Wietnamie nigdy by nie doszło. Był to pierwszorzędny błąd polityczny – mówi prof. Jakub Polit

PIOTR WŁOCZYK: W październiku 1934 r. chińscy komuniści rozpoczęli swój Długi Marsz, uchodząc ze wschodnich prowincji Jiangxi i Fujian przed armią nacjonalistów. Dla dzisiejszej chińskiej propagandy ta licząca ponad 10 tys. km wyprawa to niezwykle heroiczny rozdział. Jak było w rzeczywistości?

PROF. JAKUB POLIT: Długi Marsz przeszedł w Chinach do legendy i ukształtował wierzenia samych komunistów, stając się kluczowym elementem mitologii partii komunistycznej. Było to bez wątpienia wydarzenie istotne, ponieważ marsz ten ocalił chiński komunizm przed unicestwieniem. Natomiast w rzeczywistości ów marsz to nic innego jak wielka ucieczka, i to ucieczka w kompletnie nieznaną przyszłość. Początkowo jedynym celem była ewakuacja przed armią Czang Kaj-szeka, która zniszczyła quasi-państwo komunistyczne w prowincjach Jiangxi i Fujian. Komuniści zatoczyli ogromne koło i wiedzieli tylko, że muszą uciec w pobliże granicy sowieckiej (za

eprasa.pl 3b69ca0f16

granicę sowiecką uznawano granicę Mongolii Zewnętrznej). Pod tym względem marsz się udał, choć z ok. 100 tys. ludzi, którzy wyruszyli, na miejsce dotarł zaledwie co dziesiąty. W zasadzie wyłącznie przywódcy ukończyli marsz, bo te kilka tysięcy osób, z którymi zawędrowali do prowincji Shaanxi, raczej nie maszerowało z nimi od samego początku.

Co się stało z resztą uczestników marszu? Wybili ich żołnierze Czang Kaj-szeka?

Niekoniecznie. Komuniści w wielu miejscach w centralnych Chinach byli bardzo niechętnie przyjmowani. Przykładowo, gdy wojsko Mao zahaczyło o granicę Tybetu, królowa jednego z tamtejszych plemion powiedziała, że osobiście ugotuje żywcem każdego, kto pomoże komunistom... Inna rzecz, że bardzo wielu żołnierzy zdezerterowało po drodze.

Wygląda na to, że w tamtym okresie bardzo niewiele brakowało, by nacjonaliści kompletnie wytępili komunistów...

Tuż po zakończeniu Długiego Marszu wojska Czang Kaj-szeka miały okazję zupełnie rozbić siły Mao, otaczając je w ich ostatnim refugium. Bardzo niewiele brakowało, by „kaganek" chińskiego komunizmu został zdmuchnięty. Kariera chińskich komunistów mogła się wówczas skończyć w sposób podobny do tego, co spotkało greckich komunistów, którzy szukali ratunku m.in. w Polsce.

Uratowało ich niezwykłe wydarzenie, znane w historiografii chińskiej jako „incydent z Xi'an". Doszło do niego w ostatnich dniach 1936 r. Czang odbywał wówczas inspekcję wojsk lokalnego warlorda Zhanga Xuelianga i został przez niego aresztowany. Następnie rozpoczęły się pertraktacje z komunistami, z którymi zamachowiec był sprzymierzony. Zastanawiano się, co należy uczynić z jeńcem. Zhang dowodził wojskami wypartymi przez Japończyków z Mandżurii. Przeżywał wówczas frustrację, wyczekiwał powrotu do swojej satrapii. Swoją rolę w całym tym incydencie na pewno odgrywał też jego „nieskoordynowany" charakter – miał duży problem z narkotykami. Zamierzając powrócić na teren Mandżurii, zarzucał rządowi, że nie tworzy on ogólnonarodowego frontu przeciwko Japończykom, tylko prowadzi wojnę domową przeciw komunistom. W ten sposób wpadł na pomysł, by porwać faktyczną głowę państwa i zmusić ją do przyjęcia jego warunków. Zakończenie tej historii było tragikomiczne. Okazało się, że jeniec ma twardy charakter i nie sposób go skłonić do podpisania czegokolwiek. Chińscy komuniści byliby skłonni uśmiercić Czanga, ale w sprawę zaangażowała się siła zewnętrzna – Stalin.

Po co Kremlowi potrzebny był Czang Kaj-szek, który gromił chińskich komunistów?

Japonia wykazywała wówczas niezmiernie agresywną postawę, a była ona jedynym wielkim mocarstwem, które graniczyło bezpośrednio z ZSRS. Stalin chciał skierować cały impet uderzenia Japonii właśnie na Chiny, ale musiał mieć gwarancję, że państwo to nie zostanie od razu rozgromione. Uważał, że Czang dawał gwarancję oporu. I dlatego zmusił chińskich komunistów do uwolnienia jeńca. Mao Zedong usłyszał wówczas, że jeżeli przeciwstawi się woli towarzyszy sowieckich, to na Łubiance znajduje się już teczka z papierami mającymi wskazywać, że był on agentem japońskim. Ten argument okazał się kluczowy.

Nie pierwszy i nie ostatni raz pokazał wówczas, jak bardzo jest pragmatyczny...

Co by się stało, gdyby Zhang Xueliang nie porwał wówczas przywódcy KMT?

Najpewniej Mao i jego towarzysze spisywaliby pamiętniki w Moskwie albo zostaliby tam zamordowani, czyli podzieliliby los m.in. koreańskich komunistów. W sensie wojskowym zadanie komunistom przez Czang Kaj-szeka decydującego ciosu było rzeczą banalnie prostą. Sam Czang mówił potem, że zabrakło mu pięciu minut. Następstwa były oczywiście druzgocące. Chociaż faktyczny szef państwa został wypuszczony, to stało się to za cenę zgniłego kompromisu z komunistami, czyli zawieszenia broni. Wielka inwazja japońska była już za rogiem, więc kontynuacja wojny domowej była już niemożliwa z punktu widzenia psychologiczno-piarowskiego.

Jak to się w ogóle stało, że komuniści zaczęli walczyć z nacjonalistami, skoro jeszcze 10 lat wcześniej nie tylko nie było między nimi konfliktu, lecz także wchodzili oni wręcz w skład partii Czang Kaj-szeka?

Wchodzili, z tym jednak zastrzeżeniem, że była to partia Czang Kaj-szeka jedynie w tym sensie, że był on jej członkiem. Na czele KMT stał wówczas dr Sun Yat-sen. W tej historii dużą rolę odegrał Adolf Joffe, znany jako ten, który w imieniu ZSRS podpisał traktat ryski. Działając na Dalekim Wschodzie, podpisał on układ z dr. Sun Yat-senem. Jego warunki zakładały udzielenie przez Moskwę pomocy KMT w walce z „imperialistami".

A „imperialistami" byli rozmaitej maści watażkowie kontrolujący znaczne obszary ówczesnych Chin. ZSRS na prośbę Sun Yat-sena zadeklarował wówczas, że Chiny nie są gotowe na przyjęcie komunizmu. W zasadzie układ ten można porównać do tego, co ZSRS czynił później z różnymi „antyimperialistycznymi" przywódcami państw Trzeciego Świata, wspierając ich walkę, jeśli było to korzystne dla Moskwy. Na przełomie lat 1923 i 1924 w Kantonie, naprzeciw brytyjskiego Hongkongu, na jedynym skrawku terytorium podległym dr. Sun Yat-senowi, wylądowali sowieccy doradcy ze sprzętem wojskowym. Sowieci pomogli stworzyć z KMT sprawnie działającą machinę wojskową. Przy tym wojsku powstała instytucja politruków. Jednym z nich został Zhou Enlai, późniejszy „wieczny premier" ChRL.

Na mocy porozumienia Sun-Joffe doszło do stworzenia swego rodzaju

eprasa.pl 3b69ca0f16

amalgamatu. Chińscy komuniści otrzymali zezwolenie, by wstępować do KMT na zasadzie indywidualnej. Jeden z badaczy porównał to do sytuacji przyjmowania muzułmanów do zakonu jezuitów bez konieczności wyrzeczenia się przez nich islamu. Taki eksperyment mógł się skończyć tylko na dwa sposoby: całkowitym skomunizowaniem partii narodowej albo siłowym pozbyciem się komunistów. KMT zrealizował ten drugi scenariusz.

W komunistycznej propagandzie masakra komunistów, do której doszło w Szanghaju w 1927 r., przedstawiana jest jako zdradziecki mord.

Do masakry tej doszło wówczas, kiedy armia Czang Kaj-szeka notowała coraz większe sukcesy w wojnie o zjednoczenie Chin. Sun Yat-sen nie żył już od dwóch lat. Armia Czang Kaj-szeka przeszła niemal pół Państwa Środka. Doszła do olbrzymiej rzeki Jangcy i opanowała największe chińskie miasto – Szanghaj. Doszło tam do krwawej czystki. Nie broniąc wojsk nacjonalistów, trzeba jednak zauważyć, że nie było to nic niezwykłego. Takimi metodami toczono konflikt w Chinach już od kilkudziesięciu lat. Lew Trocki twierdził, że komuniści mają wycisnąć KMT jak cytrynę, a następnie wyrzucić. Czang Kaj-szek uprzedził jednak swoich komunistycznych przeciwników. Tego akurat Kreml nie przewidział.

Od tej pory nie ma już mowy o kompromisie między obiema partiami. Aczkolwiek walki i rzezie rozpoczynają się też w samej partii komunistycznej. Przeżywają działacze przypadkowi, m.in. Mao. Ku olbrzymiemu zaskoczeniu samych komunistów chińska klasa robotnicza nie udzieliła im poparcia. W związku z tym komuniści musieli uciec na prowincję. Jak już wspomnieliśmy, w prowincjach Jiangxi i Fujian udało im się stworzyć quasi-państewko. Mao nie był jeszcze wówczas na szczycie. Komunistyczne rządy w Jiangxi i Fujian nie trwały długo, ponieważ atak sił Czang Kaj-szeka sprawił, że Mao wraz ze swoimi towarzyszami musiał rozpocząć Długi Marsz.

Jak wyglądało życie zwykłych ludzi w tym czerwonym państewku?

Terror był na porządku dziennym, komuniści stosowali tam wszelkie możliwe metody zabijania, m.in. zakopywali swoich przeciwników żywcem. Samemu Mao – jak się wydaje – tortury i morderstwa sprawiały wyraźną przyjemność. Gdy rządy komunistów zaczęły chylić się ku upadkowi, miejscowa ludność powstała przeciw nim. To mówi chyba wszystko na temat warunków życia w tym państewku.

Czy japoński atak na Mandżurię nie był swego rodzaju odsieczą dla komunistów?

Oczywiście nie było to celem Japończyków, ale faktycznie taki był rezultat ich ataku. Siły rządowe musiały zająć się inwazją zewnętrzną i musiały wstrzymać działania na froncie wewnętrznym. Komuniści znakomicie to wyzyskali propagandowo. Gardłowali, że należy wypowiedzieć natychmiast wojnę Japonii i twierdzili, że zwlekanie z tą sprawą to zdrada ojczyzny. Tymczasem rząd w Nankinie nie mógł wypowiedzieć wojny Tokio nie tylko dlatego, że nie było go na to stać pod względem wojskowym, lecz także dlatego, że Liga Narodów żądała podjęcia negocjacji. W związku z tym to rząd komunistyczny wypowiedział wojnę Japonii. W ciągu kolejnych pięciu lat – do „incydentu w Xi'an" – niezwykle utrudniało to pod względem propagandowym sytuację rządu Czang Kaj-szeka.

Kolejna japońska inwazja, do której doszło w 1937 r., skutkowała zawieszeniem broni między nacjonalistami a komunistami.

Powołano wówczas swoisty Rząd Zgody Narodowej. Wojska komunistyczne stały się sprzymierzeńcami armii rządowej. Doszło wówczas do paradoksalnej, ale niezmiernie wygodnej sytuacji dla komunistów. Z wyjątkiem pojedynczych przypadków wojska komunistyczne nie angażowały się w walkę z Japończykami, wycofały się do swojego refugium w miasteczku Yan'an w prowincji Shaanxi. Ich sytuacja materialna była świetna, ponieważ dostawali od nacjonalistów żołd. Mao odpoczywał, pisał swoje pseudofilozoficzne prace, romansował, a w tym czasie, w miarę, jak siły nacjonalistyczne słabły, jego armia rosła w siłę. Skutek tego był taki, że o ile w 1937 r. stosunek sił nacjonalistycznych do komunistycznych wynosił 60:1, o tyle już w 1945 r. było to 3:1. Na tej wojnie komuniści zrobili znakomity interes. Zresztą Mao powiedział wprost w latach 70. japońskiemu premierowi, że kompletnie niepotrzebne jest przepraszanie za wojnę, bo gdyby nie Japonia, to komuniści dalej ukrywaliby się w jaskiniach.

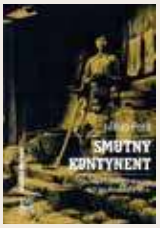

JAKUB POLIT
„SMUTNY KONTYNENT"
ARCANA

Bilans strat Chin w drugiej wojnie światowej przeraża – zginęło ok. 20 mln ludzi.

Jeżeli chodzi o straty pojedynczego narodu, to nawet ZSRS nie zanotował takiego ciosu – straty wojenne Sowietów należy podzielić mniej więcej po równo między Ukraińców, Białorusinów i Rosjan. Równocześnie pamiętajmy jednak, że bilans rządów komunistycznych w Chinach okazał się pod tym względem blisko trzy razy straszniejszy. Skutki gospodarcze japońskiej okupacji również były dramatyczne – bezlitośnie złupione zostały najważniejsze obszary gospodarcze Chin.

Niezwykle ciekawym rozdziałem tej historii jest to, jak zmienił się stosunek Amerykanów do Czang Kaj-szeka po zakończeniu tego konfliktu.

W czasie drugiej wojny światowej Amerykanie udzielili mu ogromnego wsparcia politycznego, wywindowali jego pozycję, m.in. zapraszając go na konferencję w Kairze i dając Chinom stałe miejsce w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Natomiast Czang Kaj-szek nie dostał od Waszyngtonu wielkich pieniędzy – dostał jedynie taką obietnicę. Czang myślał logicznie, że po wojnie USA udzielą mu pożyczki, Japonia zapłaci reparacje, a przejęcie uprzemysłowionej Mandżurii pozwoli rozpędzić chińską gospodarkę. Wszystkie te założenia okazały się fałszywe – amerykańskie pożyczki okazały się symboliczne jak na tak wielkie państwo jak Chiny, Japonia nie zapłaciła reparacji, a Mandżurię zajęli Sowieci.

Kiedy więc jesienią 1945 r. komuniści wzniecili wojnę domową, Czang był bez pieniędzy, bez przemysłu i bez znacznej części armii, ponieważ latem 1945 r. rozpuścił większość wojska do domu.

„To ten Amerykanin, Marshall, który zgubił nas i zgubił Chiny!"

Słowa te wypowiedział Czang Kaj-szek już na Tajwanie. Niewątpliwie uprościł bardzo tę sprawę, ale czy ją za-

eprasa.pl 3b69ca0f16

fałszował? Sądzę, że nie. Kiedy patrzymy na „klasyczny" okres chińskiej wojny domowej, czyli lata 1946–1949, to wyraźnie widać, że nacjonalistów mógł uratować tylko wielki sukces w pierwszych miesiącach walk. Na początku 1946 r. Marshall zmusił jednak nacjonalistów do zatrzymania bardzo obiecującej ofensywy.

Dlaczego Amerykanie tak się zachowali? Przecież w 1946 r. Waszyngton doskonale już rozumiał, jak dużym zagrożeniem jest komunizm.

Rzeczywiście, na pierwszy rzut oka wydaje się to kompletnie niezrozumiałe. W czasie wojny Marshall był zwolennikiem strategii „Europe first". Nie przestał tak myśleć w latach 1946 i 1947. Uważał, że należy poświęcić sprawy azjatyckie dla ratowania Europy. Wydaje się, że celem jego podróży do Chin było przekonanie amerykańskiej opinii publicznej, że nie warto pomagać nacjonalistom, którzy nagle zaczęli być przedstawiani w amerykańskich gazetach jako skorumpowany, krwawy reżim, choć jeszcze niedawno pisano o nich z wielką sympatią. Po prostu nikt w Waszyngtonie nie wyobrażał sobie, że odcięcie Czang Kaj-szeka od pomocy zakończy się całkowitym przejęciem kraju przez komunistów.

Komuniści chińscy wydawali się grupą niezdolną do zdobycia władzy własnymi siłami. Z kolei rząd nacjonalistyczny wydawał się całkiem mocny. Czy to nie brzmi znajomo w kontekście wyobrażeń Joe Bidena na temat Afganistanu? Absolutnie negowano przy tym czynnik sowiecki. Marshall twierdził, że nie widział w Chinach żadnych Sowietów. Oczywiście gdyby chciał się dowiedzieć, czy ZSRS aktywnie wspiera Mao, to na pewno miał ku temu odpowiednie narzędzia. Nie po to jednak przyjechał do Chin – był tam po to, by odwrócić się plecami do Czang Kaj-szeka.

Czyli wystarczyło, żeby USA udzieliły nacjonalistom choć trochę pomocy, by to Mao musiał uciekać na Tajwan...

To nie jest sąd szczególnie oryginalny. W swoich dziennikach Stefan Kisielewski napisał, że nie może pojąć, dlaczego Waszyngton nie bił się o Pekin, a teraz bije się o wiele mniej ważny Wietnam. Nie ulega wątpliwości, że gdyby Amerykanie zaangażowali się w walce o Pekin, do wojny w Wietnamie nigdy by nie doszło. Był to pierwszorzędny błąd polityczny, aczkolwiek nie z perspektywy ówczesnych czasów. Chiny wydawały się niezbyt ważnym krajem, w którym sytuacja jest permanentnie niestabilna i gdzie po prostu nie należy się angażować.

Co ciekawe, początkowo Amerykanie nie przewidywali obrony Tajwanu.

Stało się tak, ponieważ Czang Kaj-szek wydawał się kompletnym bankrutem politycznym i każdy myślał, że jego bastion w niedługim czasie padnie. Czang Kaj-szeka uratował wybuch wojny koreańskiej. Prezydent Truman nakazał VII Flocie USA wpłynąć do Cieśniny Tajwańskiej, osłaniając to państwo od komunistów.

Nie ma pan wrażenia, że dziś Tajwan jest zagrożony jak nigdy wcześniej?

Do końca XX w. komuniści nie posiadali technicznych środków, które umożliwiałyby przerzucenie wojsk inwazyjnych. Obecnie jednak Pekin posiada takie środki. Teoretycznie można byłoby wyobrazić sobie taką sytuację, ale byłaby ona czymś kompletnie absurdalnym. Nie zarzyna się kury znoszącej złote jaja. Jeżeli Pekin chciałby przejąć bogactwa tej wyspy, to trudno sobie wyobrazić, by zamieniał ją w pole bitwy. Myślę, że chińscy komuniści będą chcieli to osiągnąć raczej za pomocą presji politycznej, w sposób quasi-pokojowy. Tajwan to wciąż wielkie marzenie Pekinu. Chiny bez Tajwanu są zablokowane jako mocarstwo morskie. Z kolei Chiny władające Tajwanem stałyby się mocarstwem oceanicznym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Profesor Jakub Polit jest historykiem z Uniwersytetu Jagiellońskiego, znawcą historii Dalekiego Wschodu, w szczególności Chin. Wśród jego najważniejszych książek wymienić można m.in. „Pod wiatr. Czang Kaj-szek 1887–1975" oraz „Smutny kontynent. Epizody i sylwetki z dziejów Azji Wschodniej w XX wieku".

REKLAMA

BELLONA

KULISY WIELKIEJ POLITYKI

Czy Niemcy naprawdę oferowali Polsce pakt?

Dlaczego kilka miesięcy przed wojną oczy całego świata skierowane były na Polskę?

KSIĘGARNIE Świat Książki

swiatksiazki.pl

eprasa.pl 3b69ca0f16

Odkrywkowa kopalnia węgla kamiennego, w której pracowały dzieci, lata 20. XX w. FOT. NAC

Fotoreportaż / Sceny z życia Chińczyków na początku XX w.

Tajemnice Państwa Środka

Chiny zawsze fascynowały Europejczyków. Swoją egzotyką, skalą, unikalną kulturą i obyczajami. Oto kolekcja unikatowych zdjęć z zasobów Narodowego Archiwum Cyfrowego

Skazańcy zakuci w dyby. Lata 20.–30. XX w. FOT. NAC

eprasa.pl 3b69ca0f16

Z lewej: publiczna egzekucja, 1931 r. Sadzenie ryżu FOT. NAC

Wei Sunthou, poseł Chin (na pierwszym planie), po złożeniu listów uwierzytelniających prezydentowi Ignacemu Mościckiemu FOT. NAC

eprasa.pl 3b69ca0f16

Palacze opium FOT. NAC

Gigantyczny posąg Buddy w Sing-Changu FOT. NAC

Tkaczki przy pracy, 1932 r. FOT. NAC

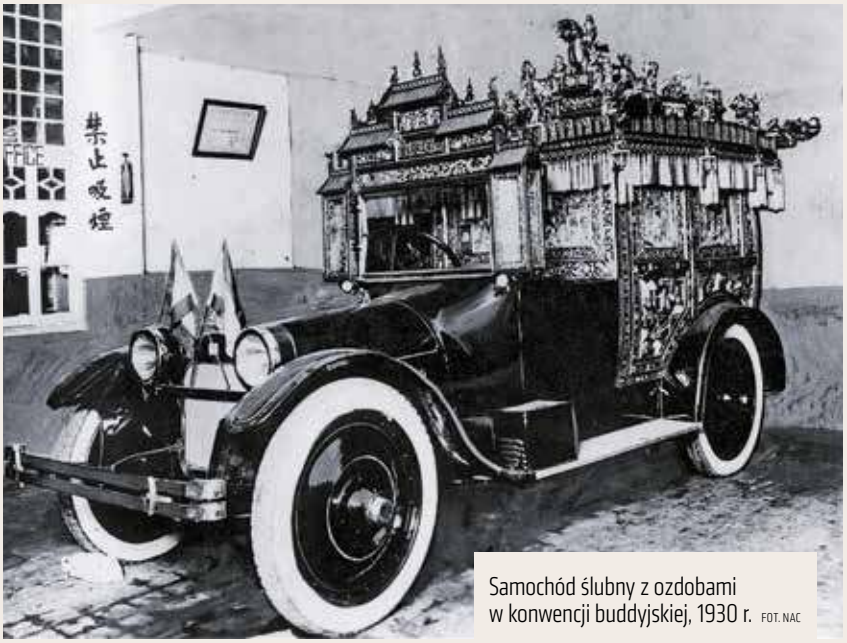

Samochód ślubny z ozdobami w konwencji buddyjskiej, 1930 r. FOT. NAC

Wymierzanie kary chłosty FOT. NAC

Dżonka na rzece Jangcy FOT. NAC

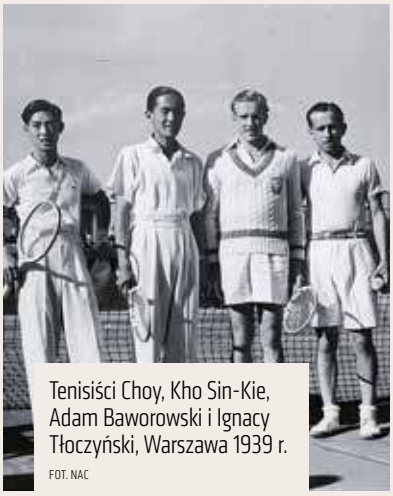

Tenisiści Choy, Kho Sin-Kie, Adam Baworowski i Ignacy Tłoczyński, Warszawa 1939 r. FOT. NAC

eprasa.pl 3b69ca0f16

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE 2 KSIĄŻKI PAWEŁ JASIENICA „POLSKA PIASTÓW" ORAZ „POLSKA JAGIELLONÓW"

CYKL ESEJÓW HISTORYCZNYCH PAWŁA JASIENICY.

„Polska Piastów" - pierwsza część znanego cyklu esejów historycznych Pawła Jasienicy to - według słów samego autora - "swobodne literackie opowiadanie" o dziejach Polski w okresie formowania się jej państwowości. Oglądamy tu losy kraju i narodu, który - rządzony przez przedstawicieli jednego rodu królewskiego - zdobywa sobie poczesne miejsce na mapie Europy. Jasienica wysuwa na plan pierwszy dzieje dynastii, sugestywnie ukazując zmagania, osiągnięcia i koleje życia piastowskich władców Polski.

„Polska Jagiellonów" - w drugiej części słynnego cyklu esejów historycznych Paweł Jasienica kreśli dzieje dynastii Jagiellonów, która stworzyła w drugiej połowie XV wieku potężne imperium, obejmujące Polskę, Litwę, Czechy i Węgry. Było to pierwsze w dziejach Europy państwo wielu narodów, wiar i kultur. I był to prawdziwy Złoty Wiek Rz

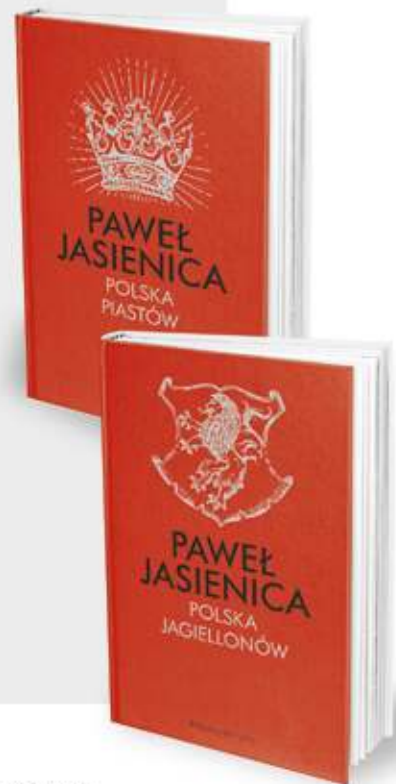

113 zł

oszczędność 93 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 3b69ca0f16

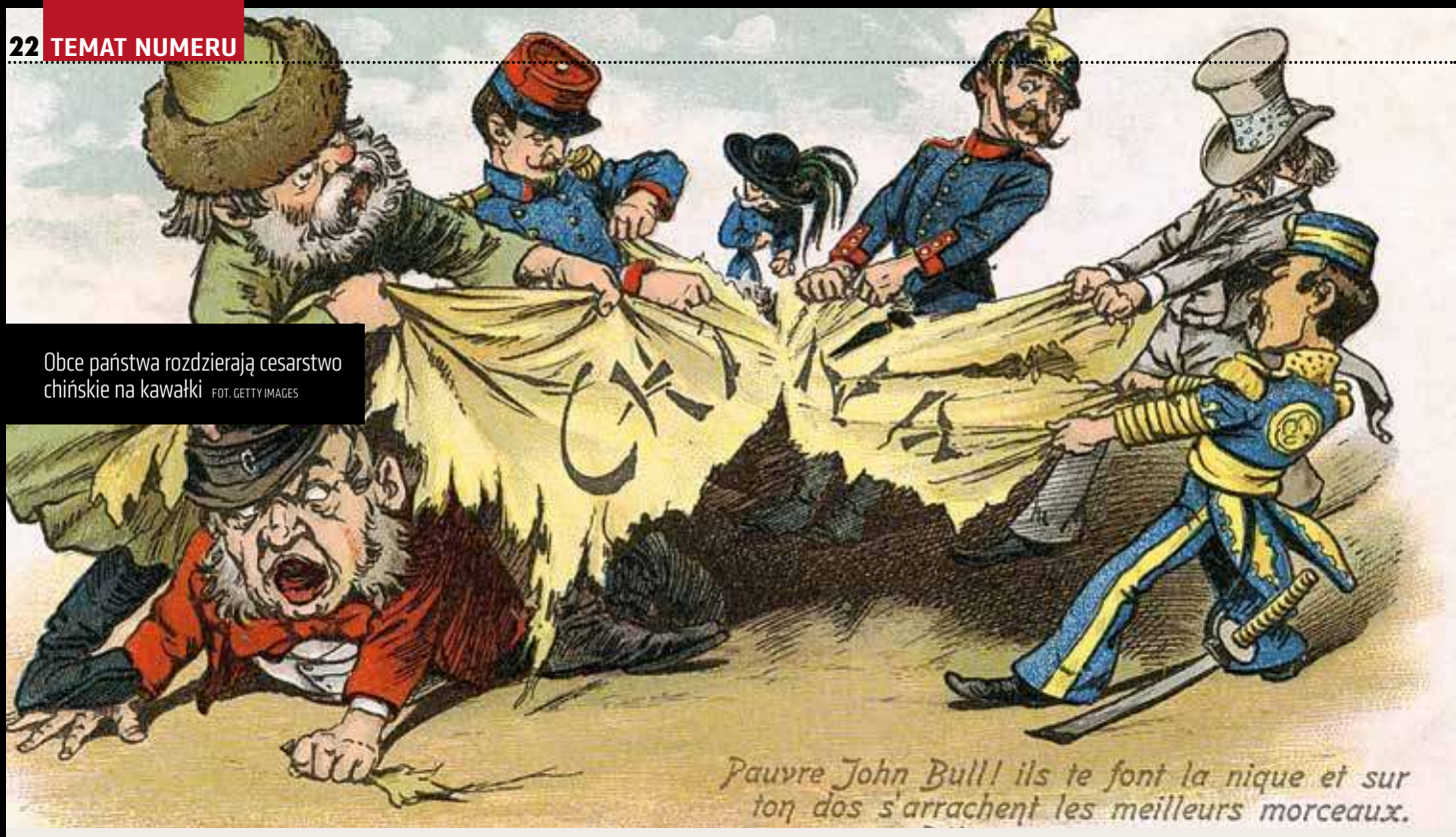

Obce państwa rozdzierają cesarstwo chińskie na kawałki FOT. GETTY IMAGES

XIX w. / Wojny opiumowe, powstania tajpingów i bokserów

Wiek upokorzenia

Maciej Rosalak

Gdy Brytyjczycy rzucili Chiny na kolana, jak hieny zbiegły się do łupu największe państwa świata: Francja, USA, Niemcy, Rosja, Japonia...

W XIX w. Chiny – najludniejszy kraj świata, ze wspaniałą cywilizacją sięgającą trzeciego tysiąclecia przed naszą erą – po ponad dwóch tysiącach lat istnienia państwa zjednoczonego w formie cesarstwa stał się łupem rozwiniętych gospodarczo państw zachodnich, wyzyskiwanym przez nie i upokarzanym bodaj bardziej niż po średniowiecznym podboju przez Mongołów w XIII–XIV w. Panowaniu mongolskiej dynastii Yuan przyniosło kres powstanie chłopskie w 1369 r., którego przywódca – buddyjski mnich Zhu Yuanzhang – ogłosił się cesarzem i założył dynastię Ming. Panowała ona niemal 300 lat, do 1644 r., gdy wojowniczy Mandżurowie, korzystając z wewnętrznego zamętu w Chinach, zajęli Pekin i uczynili swego władcę Shunzi chińskim cesarzem. I odtąd – aż do obalenia cesarstwa w 1911 r. – Chinami władała mandżurska dynastia Qing.

Mimo jakże odmiennej proweniencji oraz wyjątkowo odrażającego terroru mandżurskiej kasty (np. Chińczycy pod

eprasa.pl 3b69ca0f16

karą śmierci musieli na znak uległości nosić warkocze…) rządy obu ostatnich dynastii – Ming i Qing – prowadziły długimi okresami do wzmocnienia państwa oraz jego gospodarczego i demograficznego rozwoju. Za dynastii Qing poszerzyło ono granice aż po Koreę, Wietnam, Birmę i Azję Środkową. Z perspektywy wieków widać, że najbardziej wyjątkowe możliwości zapowiadało panowanie cesarza Yongle z dynastii Ming na początku XV w. Jego genialny admirał – eunuch Zheng he – odbył siedem wypraw morskich na czele ogromnych flotylli „wielkich dżonek" (jedna taka dżonka była 20-krotnie większa od karaki „Santa Maria" Kolumba!).

Szczególną uwagę zwraca wyprawa piąta, w 1421 r., kiedy cztery floty liczące po 300 okrętów rozwoziły do domu gości, którzy przybyli do Chin, by złożyć cesarzowi daniny i hołdy, a także podziwiać potęgę i niebywałe osiągnięcia jego wielkiego kraju w dziedzinie budownictwa (wtedy w Pekinie powstało Zakazane Miasto, czyli wielki pałac cesarski), sztuki, nauki, techniki i organizacji. Posłowie wracali na wybrzeża Azji Południowo-Wschodniej, Indonezji, Indii, Arabii i Afryki (ślady odkryto w Kenii) oczarowani ogromną potęgą cesarza i jego floty. Łaskawe zapewnienia o roztoczeniu niezbyt kosztownej opieki oraz zyski, jakie przynosił handel z Chinami, dawały mocniejszą więź niż brutalna przemoc stosowana jeszcze w tym samym stuleciu przez państwa europejskie podczas podbojów kolonialnych.

Ale oto po śmierci Yongle następcy zniszczyli całą flotę i zamknęli – z małymi wyjątkami – porty. Zamknęli w ogóle Państwo Środka przed światem zewnętrznym. Ogromny kraj – zarządzany przez rozbudowaną biurokrację w prowincjach, a w centrum z cesarzem o boskim statusie, z pasożytniczą kamarylą dworską u jego boku, z tysiącami nałożnic i eunuchów do wszelkich posług – degenerował się coraz bardziej. Zżerały go przede wszystkim wszechobecna korupcja i intrygi. Ów moloch żył kosztem chłopów, którzy niekiedy zrywali się do buntów ogarniających miliony poddanych i ogromne tereny całych prowincji.

Kilkuwiekowe odseparowanie kraju zemściło się najbardziej w ostatnim stuleciu panowania dynastii Qing. Okazało się to przy konfrontacji zbrojnej z armią brytyjską, do której doszło podczas trzech „wojen opiumowych" w latach 1839–1841, 1856–1858, 1859–1860 (w dwóch ostatnich obok Brytyjczyków wystąpili Francuzi). Znacznie liczniejsza armia chińska okazała się po prostu archaiczna pod względem organizacji, dowodzenia i uzbrojenia. Jak jednak doszło do tego, że zagrzmiały działa?

Opium i działa

Otóż Brytyjczycy, stanowiący wzorzec cywilizacji świata zachodniego, rozwinęli w Chinach wyjątkowo ohydny, a zarazem niezwykle dochodowy proceder oparty na nałogu palenia opium.

Był to silny narkotyk, używany przez Chińczyków od kilku wieków jako lekarstwo, ale którego palenie w XVIII w. zostało przez ich władze zakazane, gdyż nadzwyczaj popularny tam nałóg prowadził szybko do wyniszczenia organizmu i degeneracji człowieka. Zarówno panująca od 1837 r. królowa brytyjska Wiktoria, jak i rząd w Londynie, a już najbardziej kierownictwo Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej doskonale wiedzieli, jak zabójczy jest to nałóg. A jednak założona jeszcze przez Elżbietę I Kompania – mająca uprawnienia zarówno handlowe, jak i kolonizacyjne – bez skrupułów wykorzystała chińskie upodobanie do palenia opium.

Ogromne ilości produkowano i sprowadzano z Indii (podbitych już w XVIII w. przez Kompanię), a następnie rozprowadzano po Państwie Środka głównie przez Kanton. Narkotyk trafiał do licznych palarni, a tam płacono srebrem, które trafiało do rąk brytyjskich handlarzy. Ci mogli kupować poszukiwane na Zachodzie towary, takie jak herbata, ryż, porcelana czy jedwab. I tak zysk z handlu trucizną osiągnął 20 proc. budżetu całego imperium brytyjskiego.

Bokserzy – powstańcy z lat 1899–1901 FOT. WIKIPEDIA

Natomiast władze chińskie traciły na takim handlu coraz więcej dochodów, które ulatywały z dymem opium – wraz ze zdrowiem i z życiem poddanych. I oto cesarz Daoguang wysyła w 1839 r. do Kantonu swego specjalnego, nieposzlakowanej uczciwości wysłannika Lin Zexu, który nakazuje blokadę faktorii angielskich i zniszczenie 20 tys. skrzyń z zarekwirowanym opium. Zmieszane z wapnem, solą i wodą trafiało w ciągu 22 dni do morza. Anglikom przypomniało to – o zgrozo! – „herbatkę bostońską" sprzed półwiecza (1773), która zapoczątkowała utratę ich kolonii w Ameryce Północnej. Uznali to za pretekst do wszczęcia wojny przeciwko Chinom. Eskadra okrętów brytyjskich zaatakowała Kanton, leżący u wylotu rozległego estuarium Rzeki Perłowej, a oddziały desantowe piechoty zajęły port i miasto.

Wojna toczyła się u wybrzeży morza i rzek, najeźdźcy zdobywali kolejne forty, o które opierała się chińska obrona, a także wiele miast przybrzeżnych, łącznie z Szanghajem położonym u ujścia wielkiej rzeki Jangcy. Flotylle chińskich dżonek, przeznaczone głównie do zwalczania piratów i kontrabandy, nie miały szans zwycięstwa z wielkimi liniowcami brytyjskimi – hybrydowymi żaglowcami, wyposażonymi również w napęd parowy. Były znacznie szybsze od okrętów chińskich i do bitwy ustawiały się bokami najeżonymi lufami dział, gdy goniący je z trudem przeciwnicy wykorzystywali tylko jedno, dwa działa na dziobie. Doskonała artyleria pokładowa miała większy zasięg od fortecznych, kutych armat chińskich, nietrwałych i używających prochu ze sporą domieszką węgla drzewnego. Z kolei wysokie burty uniemożliwiały abordaż z dżonek. Cesarz Yonglee i admirał Zheng he, których wielkie dżonki mogłyby zniszczyć wszystkie okręty całej współczesnej im Europy, w grobach się pewnie przewracali…

Armia chińska liczyła 200 tys. żołnierzy liniowych i 800 tys. z różnych jednostek pomocniczych, rozproszonych po całym cesarstwie. Taktyka walki piechoty, w 40 proc. uzbrojonej w strzelby o zasięgu do 100 m, opierała się na formacjach zwartych, strzelających

eprasa.pl 3b69ca0f16

salwami. Do ataku – także w zwartym szyku – szli piechurzy zbrojni w piki i halabardy. Rzadko dochodzili do Brytyjczyków – wcześniej kładły ich pokotem artyleria oraz angielskie karabiny kapiszonowe o trzykrotnie większym zasięgu. Nierówna walka z Brytyjczykami przyniosła Chińczykom klęskę.

29 sierpnia 1842 r. podpisano traktat kończący pierwszą wojnę opiumową. Ceremonia odbyła się na pokładzie angielskiego statku „Cornwallis" cumującego w porcie Nankinu nad dolnym biegiem Jangcy (stąd – traktat nankiński). Zwycięska Wielka Brytania zmusiła Chiny do otwarcia pięciu dużych portów – w Kantonie, Fuzhou, Xiamen, Ningbo i Szanghaju – dla statków europejskich, odstąpienia Brytyjczykom Hongkongu oraz zapłacenia wysokiej kontrybucji. Chiny musiały jeszcze zlikwidować zrzeszenie kupieckich gildii kohong, mających monopol na handel z cudzoziemcami. Przyznane zostały prawa eksterytorialne dla Brytyjczyków. Chiny pozwoliły więc na stosowanie obcego systemu prawnego na swoim terytorium. Europejczycy zwolnieni zostali z „koutou", czyli obowiązku trzykrotnego klękania i dziewięciokrotnego uderzania czołem przed cesarzem. To był tylko symbol, ale jakże znamienny.

Późniejszy premier brytyjski, 30-letni wtedy William Gladstone, tak ocenił tę wojnę: „Nie znam i nie czytałem kiedykolwiek o wojnie bardziej niesprawiedliwej w swojej genezie, o wojnie bardziej obliczonej na to, aby kraj ten okryć wieczną hańbą. Rozwija się flagę brytyjską w celu ochrony nikczemnego handlu".

Niebiański Spokój

Zachodnia opinia publiczna podzielała na ogół ocenę Gladstone'a, ale gdy Brytyjczycy rzucili Chiny na kolana, jak hieny zbiegły się do łupu największe państwa świata: Francja, USA, Niemcy, Rosja, Japonia… Podobne do nankińskiego traktaty Chiny podpisały w 1844 r. ze Stanami Zjednoczonymi i z Francją, godząc się na powstanie m.in. eksterytorialnych dzielnic europejskich (tzw. koncesji) w większych portach i miastach. Mocarstwom zachodnim ciągle było mało. W latach 1856–1860, podczas drugiej i trzeciej wojny opiumowej, wojska brytyjsko-francuskie zajęły Kanton (1857) i wkroczyły do Pekinu (1860). Dalsze ustępstwa Chiny usankcjonowały traktatami tiencińskimi z Wielką Brytanią, Francją i USA (1858), traktatem aiguńskim z Rosją (1858) oraz traktatami pekińskimi (1860).

Zdobycie Pekinu przez Europejczyków podczas powstania bokserów w 1900 r.

FOT. WIKIPEDIA

Podczas wojen opiumowych rozwinęły się antymandżurskie i antyfeudalne działania takich tajnych organizacji jak Stowarzyszenie Białego Lotosu, Związek Triady czy Związek Starszych Braci. W 1850 r. na ogromnych obszarach środkowych i południowych Chin wybuchło i trwało do 1864 r. jedno z największych w dziejach Chin chłopskie powstanie tajpingów. Na jego czele stanął charyzmatyczny mistyk Hong Xiuquan, który łącząc niektóre idee chrześcijaństwa i konfucjonizmu, proklamował Niebiańskie Królestwo Najwyższego Spokoju (po chińsku Tajping – stąd nazwa powstania) z Nankinem jako stolicą i z sobą jako królem.

Tajpingów wyróżniały surowe zasady utopijnej równości, wojskowa dyscyplina i organizacja, noszenie żółtej przepaski na głowie i długich włosów bez warkoczyka. Ich zbrojne podboje ogarnęły zwłaszcza centralne Chiny. Walkom towarzyszyły krwawe rzezie żołnierzy i ludności cywilnej. W 1861 r., po śmierci cesarza Tongzhi, w wyniku przewrotu pałacowego przejęła rządy regentki cesarzowa wdowa Cixi, która z pomocą brytyjskiej i francuskiej piechoty, dział i kanonierek stłumiła powstanie. Rzeź Nankinu pochłonęła 100 tys. mieszkańców.

A Cixi – była konkubina, która awansowała w hierarchii Zakazanego Miasta dzięki urodzeniu następcy tronu – zdominowała życie polityczne Chin na niemal pół wieku. Chytra i przebiegła, rządziła bez skrupułów, siejąc strach, intrygi i korupcję. Podejrzewa się, że spowodowała śmierć własnego syna – cesarza Tongzhi i jego żony – a także dozgonny (1898–1908) areszt domowy kolejnego cesarza, swego siostrzeńca Guangxu, którego wprowadziła na tron (1875), gdy miał cztery lata. Chciała po prostu sprawować władzę w charakterze regentki. Siostrzeńca przeżyła o jeden dzień…

Już za pierwszej regencji Cixi – licząc najpierw na wsparcie w walce z powstaniem tajpingów, a następnie z innymi ludowymi buntami wewnątrz kraju – władze w Pekinie kontynuowały politykę uległości i jednostronnych ustępstw. Nierównoprawne traktaty podpisano z Prusami w 1861 r., a z Danią i Holandią w 1863 r., Hiszpanią w 1864 r., Belgią w 1865 r., Włochami 1866 r. i Austro-Węgrami w 1869 r. System nierównoprawnych traktatów, narzuconych siłą cesarstwu Qingów, stworzył warunki do pogłębienia penetracji obcych mocarstw w Chinach oraz ich podziału na strefy wpływów.

Wielka Brytania narzuciła Chinom tzw. konwencję Zhifu (1876), w wyniku której uzyskała dostęp do prowincji Yunnan oraz otwarcie dla obcych statków czterech portów morskich i sześciu rzecznych. W latach 1872–1879 Japonia opanowała wyspy Riukiu, zaś w 1874 r. podjęła próbę opanowania Tajwanu. Wojna chińsko-francuska (1884–1885) zakończyła się traktatem w Tianjinie i uznaniem przez Chiny protektoratu Francji nad Annamem. W 1885 r. Wielka Brytania dokonała aneksji Birmy, a w 1890 r. terytorium Sikkimu.

Klęska w wojnie z Japonią (1894–1895) przyniosła traktat w Shimonoseki, zawarty 17 kwietnia 1895 r. Chiny wycofały się z Korei, Tajwanu, Peskadorów oraz półwyspu Liaotung z Dalianem i twierdzą Port Artur oraz wypłaciły Japonii wysoką kontrybucję. Tylko sprze-

eprasa.pl 3b69ca0f16

ciw Rosji, Niemiec i Francji przeszkodził Japończykom w aneksji półwyspu Liaotung, za to kontrybucję zwiększono z 200 do 230 mln taeli (1 tael – ponad 37 g srebra). Wynik japońsko-chińskiego konfliktu umożliwił dokonywanie faktycznego podziału Chin na sfery wpływów obcych mocarstw i prawie nieograniczoną penetrację obcego kapitału w cesarstwie Qingów, które zostało przekształcone w państwo półkolonialne.

W 1897 r. Niemcy zajęły ponad 500 km kw. oraz port Jiaozhou na półwyspie Szantung. Rosja, współzawodnicząc z Japonią, rozszerzyła swe wpływy w Mandżurii i rozpoczęła budowę kolei wschodniochińskiej. Traktatem z 27 marca 1898 r. dokonano nowego podziału wpływów: port Dalian oraz twierdza Port Artur zostały oddane w dzierżawę Rosji na 25 lat, Wielka Brytania „wydzierżawiła" port Weihai w Szantungu i Półwysep Koulun (Jiulong). USA formalnie nie brały udziału w tym rozgrabianiu Chin przez inne mocarstwa, ale w 1899 r. ogłosiły politykę „otwartych drzwi", domagając się takich samych przywilejów, które uzyskały inne mocarstwa, a także prawa do swobodnego działania poza strefami wpływów tych mocarstw.

Pięść w Imię Pokoju

Katastrofalna sytuacja państwa spotęgowana została w końcu XIX w. klęskami żywiołowymi, z dwuletnią suszą i wystąpieniem z brzegów Żółtej Rzeki. Trudna sytuacja milionów mieszkańców spowodowała powstanie, skierowane tym razem głównie przeciw nazywanym „zamorskimi diabłami" cudzoziemcom, a szczególnie chrześcijanom, znienawidzonym za sprzeciw wobec konfucjanizmu, odrzucenie kultu przodków, nietolerowanie utrzymywania konkubin oraz krępowania stóp małych dziewczynek. Trwało dwa lata (od listopada 1899 do września 1901 r.), a kierowała nim tajna organizacja Pięść w Imię Harmonii i Spokoju.

Wywodziła się ona ze Stowarzyszenia Białego Lotosu, o korzeniach sięgających filozofii chińskiego buddyzmu V w., a znacznie później, po wielu transformacjach – tradycję walki z panowaniem i obaleniem dynastii mongolskiej (powstanie Czerwonych Turbanów, 1351), a wreszcie wzniecania w XVIII i na początku XIX w. powstań przeciw rządom Mandżurów.

Wystąpienie z końca XIX w. nazwano powstaniem bokserów, gdyż rozpętali go właśnie bokserzy (Yihequan) trenujący chińskie sztuki walki. Szli do ataku na karabiny z wiarą, że ich umięśnione ciała i mistyczny trans wywoływany technikami szamańskimi zatrzymają wystrzelone pociski. Ich 100-tysięczną armię tworzyli przeważnie chłopi z Szantungu nad wschodnim wybrzeżem, zdeterminowani i okrutni wobec cudzoziemskich misjonarzy i chińskich neofitów, faworyzowanych zwłaszcza przez Niemców w Szantungu. Powstańcy urządzali im krwawe rzezie.

Cesarzowa Cixi wiosną 1900 r. poparła działania bokserów, których oddziały włączyła nawet do armii cesarskiej, nieodpowiedzialnie kierując je do ataku na dzielnicę zachodnich dyplomatów w Pekinie. Zastrzelili oni niemieckiego posła Clemensa von Kettelera oraz otworzyli ogień do ambasad. W czerwcu władze Qing z królową wdową na czele wypowiedziały wojnę Anglii, Francji, Rosji, USA, Niemcom, Włochom, Austrii i Japonii. Cixi podpisała też dekret wzywający obywateli Chin do pozbawiania wolności cudzoziemców. Za każdego żywego wypłacano nagrodę: 50 taeli za mężczyznę, 40 za kobietę i 30 za dziecko. Działania te spowodowały oczywiście interwencję ośmiu wymienionych mocarstw. Gdy ich wojska zajęły 14 sierpnia 1900 r. Pekin, Cixi uciekła do Xianu, gdzie bez skrupułów wystąpiła przeciw powstańcom po stronie cudzoziemców.

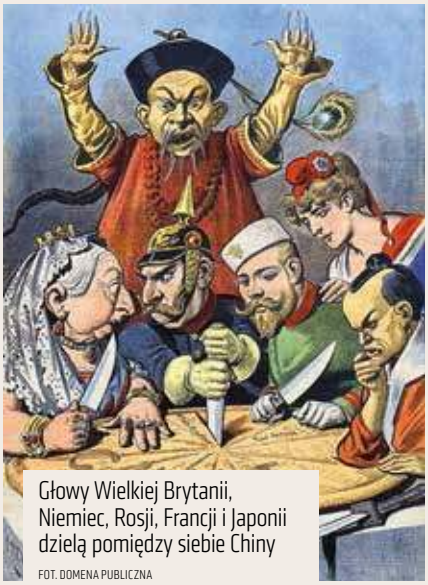

Głowy Wielkiej Brytanii, Niemiec, Rosji, Francji i Japonii dzielą pomiędzy siebie Chiny

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Warto tu też jednak przytoczyć słowa z tzw. mowy huńskiej, którymi cesarz Wilhelm II żegnał żołnierzy skierowanych do Chin: „Tępić bez pardonu, nie brać jeńców, kto wpadł wam w ręce, niech ginie. Podobnie jak tysiąc lat temu Hunowie zdobyli sławę pod przywództwem swojego króla Attyli, co w dużym stopniu pojawia się jeszcze dziś w przekazach i w legendach, tak niech zapisze się dzięki wam na tysiące lat w Chinach imię Niemców w taki sposób, żeby nigdy żaden Chińczyk nie odważył się chociażby krzywo spojrzeć na Niemca".

Od czasu pierwszej wojny opiumowej wojsko chińskie znacznie się zmodernizowało, ale postęp Europejczyków w zakresie organizacji, taktyki, łączności i uzbrojenia sięgnął już poziomu XX w. Na przykład flota dominowała bezapelacyjnie, a desanty wysadzano, gdzie i kiedy było trzeba. 14 lipca 1900 r. korpus ekspedycyjny wylądował np. w Tianjinie – wielkim porcie, będącym oknem na świat Pekinu. 7 września następnego roku Chiny zostały zmuszone do podpisania tzw. protokołu bokserskiego, w ramach którego musiały m.in. zapłacić rekompensatę 330 mld amerykańskich dolarów oraz zaprzestać kupowania sprzętu wojskowego przez dwa lata.

Szacuje się, że podczas powstania bokserów życie straciło ok. 10 tys. cudzoziemców. Oficjalnie zewidencjonowano zamordowanie 240 obcokrajowców, w tym większość misjonarzy, oraz ok. 30 tys. chińskich chrześcijan. A Cixi wróciła jak gdyby nigdy nic do Pekinu. Dopiero trzy lata po jej śmierci – roku w 1911 – obalono mandżurską dynastię Qing.

Ale Sun Jat sen i jego następca Czang Kaj-szek nie zdołali utrwalić republiki w walce Kuomintangu z samozwańczymi dyktatorami-generałami, Japończykami i komunistami. Tym ostatnim udało się wprawdzie z sowiecką pomocą zjednoczyć państwo z Mao Zedongiem na czele, ale Chińczycy przypłacili to cierpieniem terroru i głodu, które pochłonęły 50 mln istnień ludzkich. Wyniosłego pomnika Zhen he i jego naturalnej wielkości dżonki w Nankinie nikt dziś jednak nie ruszy. Przeciwnie – potężne dzisiejsze Chiny patrzą na admirała z dumą i tylko należy się obawiać, kiedy ruszą jego śladem…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3b69ca0f16

Jakub Ostromęcki

Jest bardzo prawdopodobne, że Paweł Jasienica „Nowina" z AK paskudną bliznę na udzie zawdzięczał jakiemuś protoplaście Janka lub Gustlika

Kadr z filmu „Czterej pancerni i pies" FOT. PAP

1944–1945 / „Czterej pancerni i pies"

Zakłamana saga o czołgistach LWP

Serial o czterech pancernych to ikona kina PRL. Moc oddziaływania sagi o czołgistach LWP była tak wielka, że jeszcze na początku lat 90. piosenkę z filmu śpiewali zagorzali kibole jednej z bardziej znanych polskich drużyn piłkarskich, na co dzień deklarujący przecież zajadły antykomunizm i używający niepodległościowej symboliki.

Naczelne arcykłamstwo owego serialu jest powszechnie znane i obnażono je już wielokrotnie. Skąd bowiem na Syberii wzięli się Janek Kos i Gruzin Grigorij? W serialu żyją sobie w chatce z drewna, naprawiają ciągniki, polują, czasem napadnie ich wygłodniały tygrys lub zdziczały japoński lotnik. W tym filmowym świecie nie ma łagrów, gdzie giną tysiącami zarówno Polacy, jak i Gruzini. Pierwsi za to, że z definicji byli elementem antysowieckim, niepewnym, a drudzy na przykład za antybolszewickie powstanie, które wywołali w 1924 r.

T–34

„Wozy bojowe LWP 1943–1983" Janusza Magnuskiego to jedno z ważniejszych opracowań dotyczących oznakowania taktycznego wozów LWP. Opierając się na tej pozycji, wielu entuzjastów historii broni pancernej wyrokuje do dziś: „W 1. Brygadzie Pancernej nie mogło być czołgu o numerze taktycznym 102!". Magnuski odtworzył bowiem system ówczesnego oznakowania i wyszło mu, że w 1. Pułku Czołgów numer wozu szefa sztabu to 101, a w plutonie rozpoznaw-

eprasa.pl 3b69ca0f16

czym kolejne zaczynają się od 104 i dalej już płynnie rosną w kolejnych kompaniach i plutonach. Magnuski zaznaczył jednak wyraźnie, że „w aktach nie udało się znaleźć wiadomości na temat zastosowanego wówczas systemu" i że numerację odtwarza na podstawie zachowanych zdjęć i znanych powszechnie schematów organizacyjnych brygady.

Dochodzi nam jeszcze wspomnienie płk. Wacława Feryńca, który wiele lat po wojnie zrelacjonował, że pod Studziankami dowodził czołgiem o numerze 102, który wchodził w skład kompanii sztabowej 1. pułku 1. brygady. Jesienią 1944 r. system oznakowania brygady zmienił się i faktycznie trudno byłoby tam znaleźć numer 102. Tak więc w odcinkach serialu rozgrywających się od tego momentu mamy, pod względem czysto technicznym, do czynienia z licentia poetica, niezbyt jednakowoż dla historyka dolegliwą.

To jednak nie jest koniec kłopotów z filmowym czołgiem. Przez cały serial po piachach i bezdrożach ZSRS, Polski i Niemiec mknie bowiem czołg w wersji T-34-85, której pierwsze egzemplarze trafiły do 1. Brygady Pancernej dopiero jesienią 1944 r., a w większej liczbie w styczniu 1945 r. Do tego czasu pancerniacy LWP używali starszej wersji czołgu czyli T-34-76 z krótszą lufą o mniejszym kalibrze i mniejszą wieżą.

W filmowym T-34 jest zbyt komfortowo. Filmowi czołgiści bez większych problemów rozmawiają przez laryngofony, a tymczasem z racji koszmarnego hałasu musieli porozumiewać się za pomocą szturchnięć i gestów dłonią. Każdy strzał z działa wytwarzał we wnętrzu maszyny gęsty dym, z którym słabo radził sobie system wentylacji – w wersji 85 poprawiono ów mankament. W obu wersjach czołgu nie było tzw. kosza wieżowego, toteż w czasie, gdy wieża się obracała, działonowy musiał dreptać po skrzynkach z amunicją umieszczonych na dnie kadłuba. Gdy skrzynki owe pustoszały, tworząc pod nogami dziury, gimnastyka ta stawała się jeszcze trudniejsza.

Działonowy w T-34 siedział z prawej strony zamka działa, toteż nabój podawać musiał lewą ręką – dla filmowego Gustlika nie był to problem, ale mało który czołgista był tak silny jak ów skręcający gwoździe palcami Ślązak. Również filmowy kierowca czołgu – Grigorij – radzi sobie z drążkami bez większego trudu, a przecież zmiana biegów w T-34 była istnym koszmarem wymagającym użycia dwóch rąk, a czasem i to nie wystarczało. Wczesna wersja T-34 była zmorą również dla dowódcy, któremu konstruktorzy dali do dyspozycji nędznej jakości peryskop i pozbawili dodatkowej kopuły obserwacyjnej. W T-34-85 nieco poprawiono te braki, ale pole widzenia i tak było węższe niż w czołgach niemieckich czy alianckich.

Reżyser nie mógł pozwolić sobie na to, aby cud radzieckiej techniki się psuł. Tymczasem, choć pod względem siły ognia, pancerza, zdolności pokonywania przeszkód była to maszyna znakomita, to jednocześnie wykonana z lichej jakości sowieckich materiałów, co oznaczało, że wszystko, co w układach czołgu miało się obracać, do siebie przylegać lub się zazębiać, ulegało zniszczeniu zbyt szybkiemu nawet jak na warunki bojowe. Przewidywany przebieg silnika T-34 był dużo niższy, niż zakładali to oficjalnie producenci, i niższy również od tego przewidzianego dla wyśmiewanych powszechnie wśród miłośników militariów amerykańskich Shermanów.

„Popi"

Przeciętny serialowy oficer jest jak ojciec. Doradzi, pomoże, kiedy trzeba udzieli krótkiej połajanki, innym razem sprawdzonymi od wieków sposobami wypędzi drzemiącą tu i ówdzie w duszach żołnierzy wojenną traumę. Nie ma tu żadnej bariery językowej czy obyczajowej. A jednostki pancerne LWP były przecież specyficzne. Gros polskich oficerów – specjalistów od broni zmechanizowanej – znajdowało się na Zachodzie lub spoczywało w zbiorowych mogiłach rozsianych po Kraju Rad. W 1. Brygadzie Pancernej większość oficerów było zatem Rosjanami – tzw. popami, czyli „pełniącymi obowiązki Polaka". Różni byli to ludzie, nieraz dobrzy fachowcy potrafiący uszanować życie żołnierza. Ale – jak wspominał Adam Bromberg, oficer polityczny w dywizji kościuszkowskiej (potem w 1. Brygadzie Pancernej), cytowany w „Memorbuchu" Henryka Grynberga: „Oni narzucali sowiecki styl: przekleństwa, wygrażanie na każdym kroku, bez powodu, na wszelki wypadek. Żołnierze udawali, że nie rozumieją po rosyjsku, a popi nie znali polskiego i nie mogli się obejść bez pomocy oficera politycznego. A zadaniem oficera politycznego było również pilnować, żeby sowiecki dowódca nie pił bez przerwy, nie robił głupstw i żeby dowodził. W każdym oddziale siedział oficer NKWD, który miał swoich donosicieli. Prócz tego mieliśmy oficerów informacji, których służba polegała na pisaniu oficjalnych donosów. […] Dowódca Malutin, jego zastępca liniowy, prawie cały sztab, dowódcy batalionów, i większości kompanii, a nawet poszczególnych maszyn to byli Rosjanie, którzy nie umieli po polsku, nawet jeśli mieli jakieś polskie pochodzenie, i ciągle dochodziło do konfliktów i nieporozumień zwłaszcza po pijanemu. A pili wszędzie – na postojach, w marszu i w warunkach bojowych. W każdym czołgu jechał kanister z wódką, przy każdym czołgu kręciła się dziewczyna, przygodna albo stała, którą ciągnął za sobą dowódca, i wszędzie rosyjskie przekleństwa i mordobicie".

Najsłynniejszym opojem wśród przysłanych do brygady sowieckich pancerniaków był ppłk. Anatol Wojnowski, dowódca 1. Pułku Czołgów. Oficer ten, często napity w trupa miewał w zwyczaju kląć na czym świat stoi za to, że oddelegowano go do dowodzenia Polakami. Raz zdarzyło się, że pijany strzelał do podkomendnych. W ten sposób „dowodził" jednostką przez pół roku, do listopada 1943 r.

Zderzenie kultur nie musiało być aż tak spektakularne. Mogło nastąpić również przy sytuacjach błahych, zgoła świątecznych. Jak wspomina żołnierz jednej z dywizji piechoty LWP: „Wieczorem jesteśmy przy wspólnej wigilii naszego plutonu. Chłopcy ogoleni, umyci, stanęli za stołem. […] Wziąłem opłatek. To pierwszy po pięciu latach z wolnym żołnierzem w polskim mundurze. Zaproponowałem pójść z opłatkiem do dowódcy, majora Gawrikowa. Chciałem, by znał nasz zwyczaj. Nie wiedział, co z tą »bumagą« zrobić, wyjaśniłem mu po rosyjsku. Przybył do nas na wieczerzę, lecz zaczął od wódki. Rozdzielił na wszystkie szklanki i wypił z każdym po kolei". Żadnej z tych dość krępujących, a czasem niebezpiecznych sytuacji nie

eprasa.pl 3b69ca0f16

Replika filmowego czołgu „Rudy"
FOT. TYGYDYMHORSE/WIKIPEDIA

uświadczymy w serialu. Może za wyjątkiem przaśno-okopowych scen, w których żołnierze wyjaśniają sobie terminologię wojskową obowiązującą w obu językach.

Wspomniany wyżej Bromberg, choć przeszkadzał mu prymitywizm Sowietów, nie zmierzał rezygnować z ideowego wychowania młodego wojska. Armię Krajową mieszał z błotem – najmocniej zwłaszcza po powstaniu i w obecności AK-owców wcielonych do LWP. Jak czytamy w „Tankistach" Kacpra Śledzińskiego: „Zareagował tylko jeden żołnierz: Stanisław Wolski […], były żołnierz z 2. plutonu 3. kompanii porucznika Igora ze Zgrupowania »Kryska«. Reakcją kapitana Bromberga […] była kara aresztu dla młodego patrioty".

W filmie bąknie ktoś czasem „Bóg w dom…", ale generalnie trudno uświadczyć tu bohaterów modlących się – a okazji do tego mieliby sporo, choćby nad grobami swoich kolegów poległych w boju czy podczas składania przysięgi. Prawdziwi żołnierze tworzącego się LWP byli bowiem w zdecydowanej większości chłopskimi synami z kresów Rzeczypospolitej, bardzo mocno przywiązanymi do wiary katolickiej. Nawet Stalin wiedział, że chcąc mieć posłuszne sobie wojsko polskie, nie może zacząć od jego brutalnej ateizacji. Stąd na przykład wolno było w owym wojsku urządzać msze polowe prowadzone przez wojskowych kapelanów – że zmuszanych potem w katyńskim lesie do żyrowania sowieckich kłamstw, to inna sprawa.

„Mam coś dla obywatela porucznika" – mówił w pierwszym odcinku Janek, dając Olgierdowi nóż z czasów powstania styczniowego z wygrawerowanym napisem „Honor i Ojczyzna" i rokiem 1863. Gdyby prawdziwy Janek miał jakieś pamiątki po powstaniu styczniowym, to trudno by znaleźć taką, która nie miałaby na sobie jakichś symboli religijnych – haseł czy też zwykłego krzyża.

Serial wyrugował z życia żołnierzy nie tylko religię, lecz także pamięć o polskich o granicach. Wspominał to oficer 2. Pułku Ułanów, por. Kazimierz Wiszniewski: „Przed mostem pontonowym pułk został zatrzymany i aparat polityczno-wychowawczy zorganizował wiec […]. Któryś tam z mówców mocno podkreślał, że za chwilę wkroczymy na naszą ojczystą ziemię… A wtem z szeregów ktoś wrzasnął: »Jak to! Przecież to my już dwa tygodnie jesteśmy na swojej ziemi!«. Powstało małe zamieszanie. Prysła powaga wiecu. Żołnierze gruchnęli śmiechem". Przeciętny żołnierz LWP do połowy 1944 r. nie wywodził się z Lubelszczyzny czy Podlasia, ale z Wołynia, Galicji Wschodniej czy Polesia.

Bij Niemca i AK!

„Ale się tygrysów narąbało" – mruczy z uznaniem Gustlik w czasie jednego z przemarszów. Pośród mijanych przez Rudego wraków Panter, Tygrysów czy PzKpfw IV raz na jakieś czas widać zniszczony T-34. Załoga pochmurnieje, salutuje, ale widz nie może mieć żadnych wątpliwości. Na jeden zniszczony T-34 ma przypadać kilka czołgów niemieckich. Tak jest przez cały serial. Po bitwie pod Studziankami dowódca brygady wymienia straty: „18 naszych maszyn i 40 czołgów i dział pancernych Niemców!". Jest to gruba propagandowa przesada. Prawdziwe proporcje strat czołgów i dział pancernych w owej bitwie kształtują się, zależnie od autorów zajmujących się ową bitwą następująco. Od 26 do 28 zniszczonych i uszkodzonych T-34 wobec 20 niemieckich czołgów i dział pancernych. Straty osobowe jednostki wyniosły prawie 12 proc.

Jak dowiadujemy się z monografii bitwy pod Studziankami Tomasza Matuszaka czy też z „Tankistów" Kacpra Śledzińskiego, przeciętny czołgista brygady nie wiedział, ilu i jak wyposażonych Niemców ma przed sobą. Załogi nie potrafiły skoordynować swoich działań, a zdarzało się, że maszyny ustawiały się bokiem do broniącego się nieprzyjaciela, co raz skończyło się rzezią całej kompanii 1. Pułku Brygady. Dodajmy do tego prowizoryczne przeprawy przez bagna nie wytrzymujące ciężaru czołgu.

Rudego obsiadają bardzo często piechurzy – fizylierzy, którzy desantując się z pancernego kolosa, likwidują kryjących się po zaroślach i chatach Niemców z pancerfaustami i działami przeciwpancernymi. W serialu owa współpraca wygląda modelowo, ale w rzeczywistości do końca wojny piechurzy i czołgi nie mogli się zgrać. Po desancie fizylierzy zostawali często w tyle, a czołgi ruszały samopas prosto w niemieckie pułapki. W jednostce pancernej piechota wspierająca czołgi ma jechać w transporterach opancerzonych. Tych jednak w brygadzie było jak na lekarstwo.

Przy radiostacji spotkamy plutonową Lidkę Wiśniewską, zakochaną zrazu w Janku, potem w Grigorim. Sprzęt działa przeważnie bez zarzutu, meldunki są zrozumiałe. Praca prawdziwych łącznościowców brygady była jednak straszliwie frustrująca. Wiele meldunków składanych drogą radiową, z racji lichego sprzętu do uszu radiotelegrafistów dochodziło jako zwykły bełkot, a nieraz przekazy z kilku jednostek nakładały się na siebie. Tak zorganizowana łączność, a często jej brak, również generowała straty w śród czołgistów i piechoty. Nie do pomyślenia było, aby pokazać tak niewygodne fakty w serialu sławiącym pierwszych pancerniaków LWP.

Jest maj 1945 r. Serialowy happy end gdzieś w Beskidzie Śląskim ma postać aż trzech wesel – Janka, Gustlika i Grigorija. Nie był to jednak koniec bojowego szlaku brygady. Brygada przenosiła się bowiem na Podlasie, do Siedlec. Pomagać kościuszkowcom w zwalczaniu „band reakcyjnego podziemia", czyli mówiąc po ludzku oddziałów poakowskich, głównie 5. Brygady Wileńskiej AK.

8 sierpnia 1945 r. w leśnym fragmencie drogi łączącej Sikory i Paczuski partyzanci pod dowództwem Włodzimierza Łukasiuka „Młota" wciągnęli w zasadzkę ścigających ich kościuszkowców z wydzielonego, 120-osobowego oddziału 2. Pułku Piechoty. Zmotoryzowana kolumna LWP została całkowicie rozbita, tracąc 16 zabitych, 72 jeńców i cały sprzęt. Kościuszkowcy i pancerniacy szybko otrząsnęli się z tej porażki i tym razem to żołnierze „Młota" poczuli się jak ścigana zwierzyna. Jednym z rannych partyzantów w owych potyczkach był Paweł Jasienica „Nowina". Jest bardzo prawdopodobne, że paskudną bliznę na udzie późniejszy wybitny historyk zawdzięczał jakiemuś spieszonemu protoplaście Janka lub Gustlika.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3b69ca0f16

Seder pesachowy w Schronisku dla Uchodźców przy ul. Dzielnej 7 w getcie warszawskim FOT. DOMENA PUBLICZNA

Żydzi w szatach modlitewnych modlą się w synagodze w warszawskim getcie FOT. DOMENA PUBLICZNA

Religijni Żydzi a zamknięcie getta warszawskiego w listopadzie 1940 r.

Rabin Dawid Berman

Utworzenie getta stanowiło wyzwanie dla religijnych Żydów mieszkających w Warszawie. Już po wybuchu drugiej wojny światowej trudno było stosować się do tradycji żydowskich. Przymus przeniesienia się na teren getta jeszcze ten stan pogarszał. Mimo realnych ograniczeń żydowskich praw i tradycji religijnych przestrzegał znaczny odsetek ludności getta warszawskiego.

Jednym z głównych problemów było uzyskanie koszernego mięsa, przygotowanego zgodnie z żydowskim prawem religijnym – halachą. W październiku 1939 r., na skutek rozporządzeń prawnych, oficjalnie zakazano Żydom rytualnego uboju zwierząt. Początkowo dotyczył on tylko bydła, ale rzeźnicy drobiu obawiali się kontynuować działalność. Bano się, że lokalna ludność lub policja zgłosi tę działalność Niemcom. Przekupywano ich łapówkami, ale pochłaniały one znaczną część dochodów ubojni.

Koszerne mięso z bydła rogatego było przygotowywano potajemnie wśród ruin ulic m.in. Niskiej, Miłej, Stawki, Grzybowskiej, Waliców i Krochmalnej. Sprzedawcy ukrywali mięso przeznaczone na sprzedaż np. wśród warzyw i wyjmowali je tylko na życzenie klienta. Zrezygnowano z certyfikacji i nadzoru rabinicznego, co wymagane były przed wojną. Dlatego osoby bardzo religijne powstrzymywały się od spożywania mięsa, chyba że pochodziło z wiarygodnego źródła. Co tydzień ubijano ok. 50–60 sztuk dużego i podobną liczbę małego bydła. Robiono to wieczorami.

Zamknięcie getta niemal uniemożliwiło ten proceder. W pierwszych tygodniach znajdowało się tam jeszcze trochę zwierząt, które przeznaczono na ubój. Później przekupywano strażników, by umożliwić przemyt. Była to jednak niewielka ilość. Skłoniło to do organizowania uboju rytualnego poza dzielnicą. Zawodowych rzeźników potajemnie wyprowadzano z getta. Musieli zgolić brody, przebrać się w nieżydowski strój i przebywać przez pewien czas poza domem. Mięso wwożono w pojazdach służb energetycznych, medycznych i sanitarnych, a strażników opłacano, by przymykali na to oko. Standard uboju rytualnego nie zadowalał jednak ortodoksyjnych Żydów, więc przestali kupować mięso z takich źródeł. Zarzucono więc te wysiłki i zaczęto sprzedawać mięso, które koszerne było jedynie z nazwy.

Kolejna trudność wiązała się z dostępem do rytualnej łaźni – mykwy. W Warszawie zamknięto je już w grudniu 1939 r., pod fałszywym pretekstem, że były niehigieniczne. Stanowiło to źródło poważnych trudności dla religijnych Żydów. Kobiety zaczęły podróżować do podwarszawskich miejscowości np. Otwocka, Falenicy czy Rembertowa, by skorzystać z tamtejszych łaźni. Od 1940 r. podróże pociągiem były dla Żydów zakazane, co utrudniło przestrzeganie tego obrządku. Latem tego roku rabin Icchak Szapiro wraz z Meszulamem Kaminerem wynajęli w tym celu kąpieliska nad Wisłą. Projekt nie przetrwał, gdyż niska temperatura wody niekorzystnie wpływała na zdrowie. Zamknięcie getta uniemożliwiło jakiekolwiek wyjścia. Właścicielom mykw przy ulicach Grzybowskiej 1 i 14, Dzielnej 38 i Smoczej 22 udało się przekupić urzędników i otworzyć lokale z ukrytymi wejściami z sąsiednich budynków. W sierpniu 1941 r. uzyskali zgodę władz na oficjalne otwarcie mykw; utworzono także dodatkową przy ul. Franciszkańskiej 26.

Powyższe przykłady pokazują, jak bardzo warszawscy Żydzi starali się podtrzymywać tradycje. Praktyki te, definiujące ich jako Żydów, miały dla nich tak duże znaczenie, że podważali dekrety niemieckiego okupanta, narażając się na kary, a nawet śmierć.

MGW Muzeum Getta Warszawskiego

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 3b69ca0f16

USS „Nautilus" wpływa do portu w Nowym Jorku, 1958 r. FOT. U.S. NAVY/WIKIPEDIA

Wywiad / Z Iainem Ballantyne'em, brytyjskim marynistą, autorem książki o wojnie podwodnej

rozmawia Piotr Włoczyk

Atomowi zabójcy z

– „Szalony Iwan" był koszmarem NATO-wskich podwodniaków i między innymi dlatego podwodny front był najniebezpieczniejszym frontem zimnej wojny – mówi Iain Ballantyne

PIOTR WŁOCZYK: Co w zimnowojennym układzie sił zmieniało pojawienie się w 1954 r. USS „Nautilusa"?

IAIN BALLANTYNE: Jeżeli miałbym do czegoś porównać tę rewolucję, to byłby to ekwiwalent pojawienia się HMS „Dreadnought" w 1906 r.

Czyli okrętu bez jakiejkolwiek konkurencji.

Tak. Dreadnought był zupełnie nową klasą okrętu, który o całą długość wyprzedzał konkurencję. USS „Nautilus" był pierwszym okrętem podwodnym o napędzie atomowym. Nagle wszystkie inne okręty podwodne stały się przestarzałe. Dlaczego? Dlatego że nie były w stanie dopłynąć tam, gdzie mógł się wybrać „Nautilus", np. daleko pod lód na biegunie północnym. Napęd nuklearny oznaczał bowiem, że jednostka stawała się niezależna od powierzchni. Okręt zasilany silnikami dieslowsko-elektrycznymi może ukrywać się w głębinach aż do momentu, kiedy zmuszony jest wynurzyć się, by za pomocą silnika spalinowego naładować baterie. Reaktor nuklearny na pokładzie oznacza, że ten problem znika. Okręt może przebywać w zanurzeniu nieporównywalnie dłużej – może nawet okrążyć świat w zanurzeniu, co też stało się niedługo po zwodowaniu „Nautilusa".

Wizja pływania pod lodem musiała być bardzo atrakcyjna dla marynarek największych potęg.

Oczywiście. Sowieci mogli się dzięki temu zaczaić w Zatoce Świętego Wawrzyńca, a Amerykanie mogli wykonywać misje w okolicach bieguna północnego. Często się mówi, że jedynym ograniczeniem takich okrętów jest zapas żywności, który można zabrać ze sobą na pokład, ale to nie do końca prawda. Nie mniej ważne jest zdrowie psychiczne załogi, która musi być skompletowana spośród ludzi o nerwach ze stali, którzy nie zawiodą w momencie próby, po wielu tygodniach zamknięcia w ciasnej przestrzeni.

Amerykanie jako pierwsi zbudowali okręt podwodny o napędzie atomowym, ale z kolei Sowieci wyprzedzili ich w wyścigu o umieszczenie

eprasa.pl 3b69ca0f16

głębin

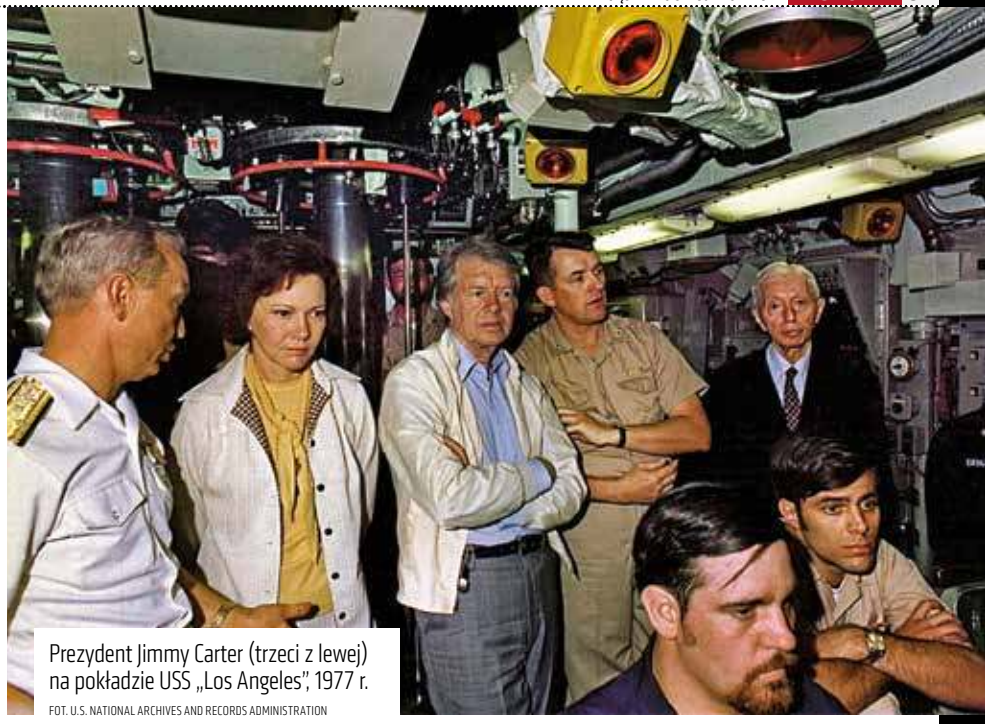

Prezydent Jimmy Carter (trzeci z lewej) na pokładzie USS „Los Angeles", 1977 r.
FOT. U.S. NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION

pod wodą pocisków balistycznych z ładunkami jądrowymi.

Do przenoszenia tych pocisków Sowieci wybrali jednostkę dieslowsko-elektryczną. Pociski miały stosunkowo niewielki zasięg, więc ich okręty podwodne musiały się dostać blisko wybrzeży USA. To z kolei narażało je na atak, tym bardziej że w związku z konwencjonalnym typem napędu jednostki te musiały się co pewien czas wynurzać, by naładować akumulatory. US Navy miało je wówczas jak na widelcu.

W swojej książce przywołuje pan polowanie okrętu podwodnego USS „Grenadier", który tropił właśnie taką sowiecką jednostkę.

To się zdarzyło w 1959 r. Amerykanie długo tropili Sowietów i w końcu zmusili wrogi okręt do wynurzenia w bardzo niekorzystnych warunkach – nad głowami Sowietów latał amerykański samolot wojskowy. W ten sposób kapitan „Grenadiera" udowodnił, że Sowieci mają już pociski balistyczne na pokładach swoich okrętów podwodnych. Ta historia pokazała Moskwie, że mieszanie napędu konwencjonalnego z bronią atomową nie jest dobrym pomysłem. Amerykanie z kolei upewnili się, że instalowanie pocisków atomowych na pokładach okrętów o napędzie atomowym to jak najbardziej sensowny kierunek.

Co ciekawe, tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej dowództwo US Air Force było niesamowicie pewne siebie i uważało, że od tej pory US Navy nie będzie już zbyt wiele znaczyła.

Na samym początku zimnej wojny, kiedy wstrząsające skutki bombardowań Hiroszimy i Nagasaki wciąż były bardzo żywe, można było przewidywać, że przyszłość należy do flot bombowców przenoszących ładunki jądrowe. Życie szybko jednak zrewidowało takie przewidywania. Po pierwsze, bazy sił powietrznych łatwo można było zniszczyć, a po drugie – obrona przeciwlotnicza była coraz skuteczniejsza, przez co przedarcie się nad cele na terytorium wroga było niezwykle karkołomnym zadaniem. Same bombowce nie dawały gwarancji totalnego zniszczenia przeciwnika, a przecież tylko taka perspektywa mogła go wystarczająco odstraszyć przed rozpoczęciem wojny jądrowej. Decydenci z nadzieją zaczęli więc patrzeć w kierunku morza, gdzie w głębinach można było ukryć potężny arsenał atomowy. Sowieci przez pewien czas odstawali od Amerykanów pod względem zdolności budowy okrętów SSBN (Ship Submersible Ballistic Nuclear), czyli okrętów podwodnych o napędzie atomowym, przenoszących pociski balistyczne. Takie olbrzymy mogły – i wciąż mogą! – długimi tygodnia pozostawać niewykryte podczas swoich patroli.

W kategoriach liczbowych Amerykanie nie mieli szans z ZSRS. A jak wyglądał ten wyścig pod kątem jakości?

Sowiecka marynarka wojenna miała więcej okrętów podwodnych wszystkich typów. Jeżeli jednak chodzi o jakość wyszkolenia załóg i w ogóle jakość myśliwskich okrętów podwodnych i tych z rakietami balistycznymi, to przewaga była po stronie Zachodu. Nawiasem mówiąc, kraje NATO nigdy nawet nie marzyły o rywalizowaniu z Sowietami w masowej produkcji okrętów podwodnych.

W gabinecie adm. Siergieja Gorszkowa wisiała ponoć tabliczka z napisem: „Lepsze jest wrogiem dobrego". Co to motto głównodowodzącego sowieckiej marynarki wojennej oznaczało w praktyce?

Gorszkow był świetnym strategiem. To on zbudował olbrzymią sowiecką marynarkę wojenną. Uważał, że postawienie na jakość sprawiłoby, iż w przypadku wojny Sowieci nie mieliby wystarczającej liczby jednostek, żeby pokonać Zachód.

eprasa.pl 3b69ca0f16

K-560 „Severodvinsk" FOT. MIL.RU/WIKIPEDIA

Gorszkow uważał, że ZSRS powinien się skupić na produkcji okrętów, które będą po prostu „wystarczająco dobre", żeby obezwładnić NATO.

Służba na sowieckim okręcie podwodnym nie była chyba w związku z tym najbezpieczniejszym zajęciem...

Opowiem panu pewną anegdotę, która chyba dobrze obrazuje ten problem. Lata temu odwiedziłem Kronsztad i poznałem tam pewnego starego oficera. Byliśmy na pokładzie okrętu wojennego. Dostałem od niego zaproszenie do jego kajuty, gdzie poczęstował mnie szklaneczką wódki. Wznosząc toast, rzucił niby żartem, że w ten właśnie sposób rosyjscy podwodniacy zabezpieczali się przed promieniowaniem.

Śmiech przez łzy?

Nie da się ukryć, że służba na sowieckim okręcie podwodnym była zajęciem bardzo ryzykownym, o wiele bardziej ryzykownym niż służba na okręcie NATO-wskim. Chociaż i po drugiej stronie ryzyko wcale nie było małe. Sowieci szli jednak na skróty, żeby jak najszybciej zwodować kolejny okręt podwodny i dlatego mieli tyle wypadków.

K-19, jeden z ich atomowych okrętów przenoszący pociski jądrowe, zdobył sobie nawet przezwisko „Hiroszima". Chyba nie ma potrzeby tłumaczyć, skąd się to wzięło?

Powiem tak: Zachód powinien dziękować sowieckim marynarzom, i to nie jeden raz, za poświęcenie, z jakim ratowali swoje jednostki. Wielu z nich zginęło, starając się nie dopuścić do katastrofy na niewyobrażalną skalę.

Który moment był „najgorętszy" podczas zimnowojennych zmagań okrętów podwodnych?

Ta historia wydarzyła się w czasie kryzysu kubańskiego. Moskwa wysłała wówczas okręty podwodne w kierunku Kuby. Były one uzbrojone w torpedy z głowicami nuklearnymi. Niezwykłe w tej kwestii nie było to, że taka broń znalazła się na pokładzie okrętu podwodnego, tylko to, że sowieckie procedury przewidywały, iż najważniejsi oficerowie na okręcie – bez konieczności kontaktu z dowództwem – wspólnie mogli zadecydować, czy użyć tej broni. W czasie kryzysu kubańskiego sowiecki okręt B-59 o napędzie dieslowsko-elektrycznym został osaczony przez amerykańskie jednostki. Kapitan B-59 stwierdził, że ma już dość tego potrzasku i był gotów odpalić nuklearną torpedę.

A jednak nic takiego się nie zdarzyło.

Wasilij Archipow, jeden z trzech oficerów decyzyjnych w tej sprawie, sprzeciwił się woli kapitana i nie dopuścił do odpalenia w kierunku amerykańskich jednostek torpedy. Amerykanie spuszczali z powierzchni ćwiczebne bomby głębinowe, żeby zmusić sowiecki okręt do wypłynięcia na powierzchnię, ale Archipow uznał, że mimo upokorzenia jego okręt nie może odpowiedzieć atomem. Jego postawa sprawiła, że kryzys kubański pozostał tylko kryzysem i nie rozwinął się w globalną wojnę jądrową. Nietrudno sobie bowiem wyobrazić, co by się stało, gdyby ta torpeda uderzyła w cel i zatopiła całą grupę amerykańskich okrętów...

Wówczas jednak Amerykanie nie zdawali sobie sprawy z tego, jak bliski był koniec.

Dopiero w latach 90. Rosjanie ujawnili, że ich okręty u wybrzeży Kuby miały nuklearne torpedy i można je było odpalić bez zgody Moskwy.

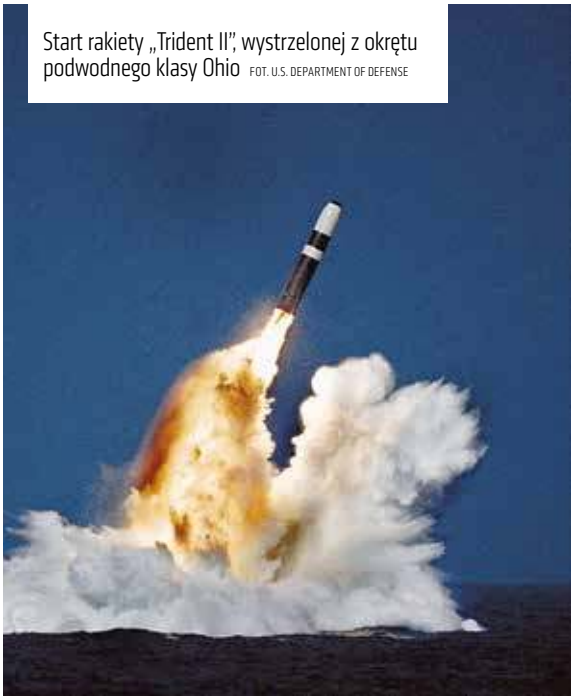

Start rakiety „Trident II", wystrzelonej z okrętu podwodnego klasy Ohio FOT. U.S. DEPARTMENT OF DEFENSE

Czym był „szalony Iwan"?

Był to bardzo ryzykowny manewr praktykowany przez sowiecką marynarkę wojenną. Przez długi czas problemem atomowych okrętów podwodnych było to, że w strefie za rufą powstawało coś na kształt martwego pola – sonar nie był w stanie monitorować tamtego sektora. Sowieci rozwiązali ten problem po swojemu, zresztą na wyraźne polecenie adm. Gorszkowa. Dowódca czerwonego okrętu podwodnego co jakiś czas rozkazywał wykonanie nagłego zwrotu, by za pomocą sonaru umieszczonego na dziobie przekonać się, czy nie ma „ogona". To był ryzykowny manewr, a załoga NATO-wskiego okrętu, który śledził takiego „Iwana", musiała się mieć cały czas na baczności, żeby nie dać się wykryć. Jednostka śledząca miała dwie możliwości: wykonać taki sam zwrot albo po

eprasa.pl 3b69ca0f16

prostu odpłynąć daleko w bok. Wymagało to od załogi NATO-wskiego okrętu maksymalnej koncentracji i błyskawicznej reakcji.

Admirał Gorszkow instruował kapitanów okrętów podwodnych, by w przypadku wykrycia podczas „szalonego Iwana" NATO-wskiego okrętu, z pełną prędkością płynęli na niego jak szarżujący byk. Nie powinno to nas dziwić – wiadomo, że sowieckie dowództwo dużo mniej dbało o swoje załogi i okręty niż kraje NATO. To był koszmar NATO-wskich podwodniaków i między innymi dlatego podwodny front był najniebezpieczniejszym frontem zimnej wojny.

Jak często dochodziło do takich sytuacji?

Słynny USS „Nautilus" sam przeżył przynajmniej jedną taką sytuację, gdy został zaskoczony przez sowiecką jednostkę wykonującą „szalonego Iwana". Dosłownie o włos udało się wtedy zapobiec zderzeniu. Z raportu przygotowanego w połowie lat 70. przez US Navy dla amerykańskiego Kongresu wynika, że w latach 1965–1975 doszło do dziewięciu kolizji okrętów podwodnych

IAIN BALLANTYNE „ZABÓJCZE RZEMIOSŁO. HISTORIA WOJNY PODWODNEJ"
REBIS

na wodach w pobliżu wybrzeży ZSRS. Niestety, wciąż niewiele wiemy na temat takich incydentów, ponieważ do tej pory mnóstwo dokumentów z tamtego okresu nie jest dostępnych dla badaczy.

W swojej książce opisuje pan wypadki z udziałem HMS „Sceptre" i HMS „Warspite" – te dwa brytyjskie atomowe okręty podwodne zderzyły się z sowieckimi jednostkami podczas prowadzenia podwodnych gier. W takich przypadkach brytyjska admiralicja zawsze sięgała po... góry lodowe.

Tak, brytyjskie okręty podwodne wpadały czasem na przedziwne, twarde jak stal góry lodowe, które szarpały poszycia naszych jednostek i jeszcze zostawiały na nich ślady swojej farby (śmiech). Rozmawiałem z członkami załogi HMS „Warspite", który zderzył się z sowieckim okrętem podwodnym klasy Echo II na Morzu Barentsa. Brytyjska jednostka śledziła przeciwnika. W pewnym momencie czerwony okręt wyłączył jedną z dwóch śrub. Brytyjczycy, płynący poniżej, myśleli, że Sowieci skręcają. Ten błąd skończył się zderzeniem. Niewiele brakowało, by zniszczenia okazały się tak duże, że HMS „Warspite" spoczął by na dnie morza. Na szczęście jednak świetne wyszkolenie załogi pozwoliło mu się wynurzyć. Sowieci również wypłynęli na powierzchnię. To musiała być niesamowita scena. Oba okręty miały się w zasięgu swoich peryskopów, ale obaj dowódcy doszli do wniosku, że najlepiej będzie rozejść się do swoich baz i ocenić straty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Iain Ballantyne jest brytyjskim marynistą, wydawcą prestiżowego magazynu „Warships International Fleet Review". W Polsce ukazała się właśnie jedna z jego najbardziej znanych książek: „Zabójcze rzemiosło. Historia wojny podwodnej".

REKLAMA

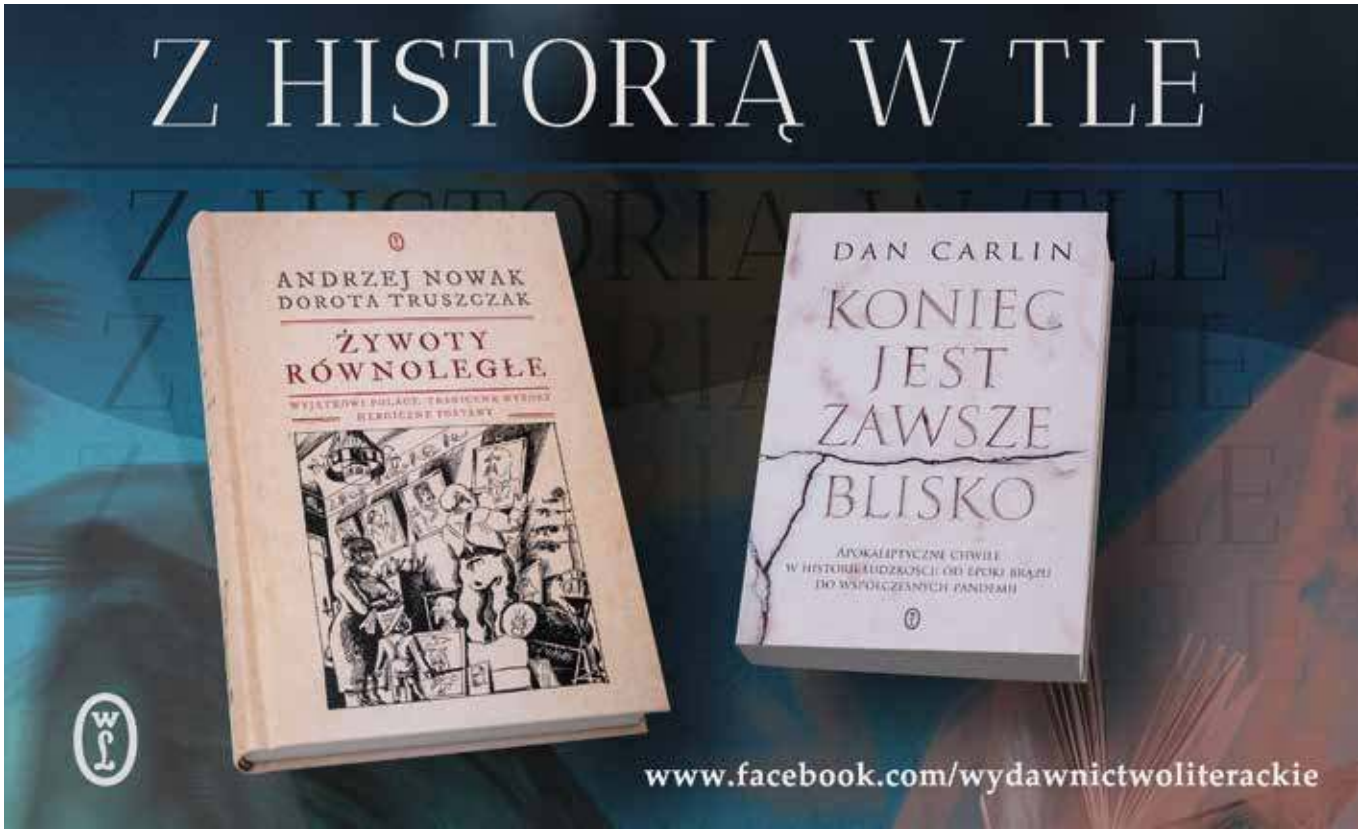

eprasa.pl 3b69ca0f16

Niemieccy jeńcy na stacji kolejowej w Bostonie FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Za drutami / Z Waffen-SS do Teksasu

„Naziści" w Ameryce

Piotr Zychowicz

W trakcie drugiej wojny światowej do obozów jenieckich w Ameryce trafiło 380 tys. niemieckich żołnierzy. Jakie wrażenie zrobiły na nich USA?

Masy samochodów: cadillaców, dodge'ów i chevroletów. Krzykliwe kolorowe reklamy, budki z hamburgerami i hot dogami. Dobiegająca z otwartych okien muzyka jazzowa. Wielokulturowe i wielorasowe tłumy przeciągające szerokimi alejami. Wieżowce, których iglice ginęły w chmurach.

„Moje pierwsze wrażenie w Ameryce to mydło – wspominał Werner Wapler. – Na statku dali nam wspaniałe, pieniące się mydło Palmolive. Dotychczas używaliśmy naszego wojennego, szarego, w połowie złożonego z mydła, w połowie z piasku, które nigdy się nie pieniło. W czasie podróży przez Amerykę – te ich parkingi z samochodami! Patrzyliśmy na to tak, jak w dzieciństwie patrzyliśmy na Świętego Mikołaja. I mówiliśmy do siebie: »I przeciwko temu wszystkiemu tamten dureń postanowił wojować?!«".

Tym durniem był oczywiście Führer Tysiącletniej Rzeszy Adolf Hitler.

„Krwiożerczy naziści" – jak określała niemieckich żołnierzy amerykańska prasa – oczywiście wzbudzali olbrzymią sensację. Otaczały ich tłumy gapiów oddzielone kordonami obojętnych, żujących gumę policjantów w okularach przeciwsłonecznych. Niektórzy przechodnie rzucali jeńcom cukierki i papierosy. Inni przeciągali palcem po gardle.

Kolejne wrażenie – obozy jenieckie. Były przygotowane w typowym amerykańskim stylu. Czyste, białe baraki z ciepłą wodą i centralnym ogrzewaniem. Alejki wysypane żwirkiem i przystrzyżone trawniki. Stołówki, na których uśmiechnięci murzyńscy kucharze nakładali jeńcom na blaszane tace kukurydzę, smażone kartofle i pieczone kurczaki. Coca-cola i ice cream z automatu.

Wydawało się, że jeńcy trafili do eldorado! Wrażenia i przeżycia niemieckich jeńców, którzy trafili do Ameryki, opisał francuski historyk Daniel Costelle w kapitalnej książce „Naziści?". W latach 70. przeprowadził wywiady z wieloma byłymi żołnierzami Wehrmachtu, którzy trafili do amerykańskich obozów. Wszystkie cytaty znajdujące się artykule pochodzą z tej kapitalnej pracy.

Fantastyczne warunki panujące w obozach były konsekwencją tego, że rząd Stanów Zjednoczonych postanowił wobec jeńców ściśle i drobiazgowo trzymać się najbardziej restrykcyjnych zapisów konwencji genewskich. Amerykanom – jak podkreśla Daniel Costelle – przyświecała zasada „Traktuj jeńców tak, jak chciałbyś, żeby byli traktowani twoi żołnierze w nieprzyjacielskiej niewoli".

Waszyngton brał pod uwagę, że kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy US Army

eprasa.pl 3b69ca0f16

jest w niewoli niemieckiej. Obawiał się, że jeżeli zastosuje surowy reżim wobec jeńców niemieckich, to Rzesza natychmiast odpowie pięknym za nadobne.

Swastyka nad Oregonem

Niemcy byli więc w Ameryce świetnie karmieni, zapewniano im rozmaite rozrywki – kino, teatr, cyrk. Pozwalano zakładać orkiestry dęte, uprawiać różne sporty. Mieli prawo do paczek z domów (szły przez neutralną Genewę), a na święta każdy jeniec dostał z Rzeszy ciasto i pozdrowienia od kwatermistrzostwa Oberkommando der Wehrmacht.

Jeńcy pisali listy do domu, które najpierw cenzurowali Amerykanie, a potem gestapowcy. Niektórzy – również korespondencyjnie – kontynuowali studia na niemieckich uniwersytetach. W obozach znajdowały się świetnie zaopatrzone niemieckie biblioteki, w których można było wypożyczyć także... „Mein Kampf".

Takie podejście amerykańskich władz doprowadziło do niekiedy absurdalnych konsekwencji. Otóż zgodnie z konwencjami genewskimi jeńcy mają prawo okazywać wierność wobec swojego rządu. Mają również prawo do stworzenia własnego, równoległego do władz obozowych samorządu. I tak USA powstał cały archipelag hitlerowskich Rzesz w miniaturze.

Oto kilka niebywałych przykładów opisanych przez Costelle'a:

– żołnierze w barakach wieszali nad łóżkami portrety Adolfa Hitlera;

– w święta państwowe, jak na przykład urodziny Führera, urządzali parady wojskowe i wywieszali nad obozami flagę ze swastyką;

– gdy maszerowali przez amerykańskie miasteczka, śpiewali na cały głos „hymn" narodowych socjalistów „Horst-Wessel-Lied";

– gdy któryś z jeńców zmarł, jego trumnę owijano w sztandar III Rzeszy, a nad grobem szeregi jeńców oddawały zmarłemu honory, wyciągając ręce w hitlerowskim salucie;

– jeńcy słuchali niemieckiego radia, wydawali w obozach narodowosocjalistyczne gazety i wieszali na tablicach optymistyczne komunikaty frontowe wyprodukowane przez urząd doktora Goebbelsa.

Mapa obozów dla niemieckich jeńców

FOT. TENNESSEE STATE LIBRARY AND ARCHIVES

Po zamachu na Hitlera 20 lipca 1944 r. rząd Rzeszy postanowił znazyfikować armię. Wprowadził wówczas w armii narodowosocjalistyczne pozdrowienie zamiast tradycyjnego salutowania. Amerykanie natychmiast wprowadzili ten sam przepis na terenie obozów jenieckich w USA! „Pewnego dnia wszedłem do biura komendanta obozu – wspominał Tilman Kiwe. – Czapkę z daszkiem trzymałem pod pachą. Komendant zaczął wrzeszczeć:

– Czy w taki sposób pozdrawiacie swoich zwierzchników w Niemczech?!

Musiałem wyjść i wrócić ze wzniesioną ręką. Trzasnąć obcasami i krzyknąć: »Heil Hitler!«".

Wszystkie te historie można uznać za curiosa z gatunku czarnego humoru. Niestety decyzja Amerykanów o niewtrącaniu się w wewnętrzne życie obozowe przyniosła również tragiczne skutki. Otóż kontrolę nad obozami szybko przejęła tajna organizacja złożona z żołnierzy SS, członków NSDAP i innych fanatyków.

Jej zadaniem było utrzymywanie „bojowego ducha" wśród jeńców. Organizacja ta miała własne sądy kapturowe (Amerykanie nazywali je Kangaroo Courts) i własny „urząd bezpieczeństwa" (tzw. Lager-Gestapo). Służyły w nim największe osiłki, ludzie skłonni do przemocy i sadyzmu.

Jeńcy nastawieni opozycyjnie wobec reżimu Hitlera albo podejrzewani o współpracę z władzami obozowymi byli przez nich upokarzani i piętnowani. Nocami w barakach dochodziło do samosądów. Ludzie byli wieszani, katowani, rżnięci nożami. Wielu zatłuczono pałkami.

Amerykanie wiedzieli o tych nieformalnych strukturach i ich opresyjnej działalności, ale początkowo niespecjalnie się tym interesowali. Uznawali, że Niemcy powinni załatwiać takie sprawy między sobą.

„Nasza praca nie polega na zmienianiu poglądów tych facetów, nasza praca polega na ich pilnowaniu" – mówił jeden z amerykańskich oficerów.

Nie jest zresztą tajemnicą, że takie same Kangaroo Courts powstały w obozach dla alianckich jeńców na Pacyfiku. Tam z kolei Amerykanie i Brytyjczycy mordowali kolegów oskarżonych o konszachty z „Japońcami". Jeden z nich został na przykład utopiony w latrynie.

Wróćmy jednak do USA. Daniel Costelle pisał, że jeńcy „antynaziści" czuli się złapani w podwójną pułapkę. Nie dość, że siedzieli w obozie, to jeszcze byli narażeni na szykany pozostałych jeńców.

W sumie zabójstw takich, przynajmniej oficjalnie, było 167. Gdy sprawa przeniknęła do amerykańskiej prasy, główny komendant obozów jenieckich, gen. Blackshear M. Bryan, postanowił interweniować.

Jeńcy, którym udowodniono udział w linczach, zostali postawieni przed sądami. Czternastu skazały one na karę śmierci. Wciąż jednak Amerykanie bali się niemieckiego odwetu. Pentagon przesłał więc, za pośrednictwem Szwajcarów, akta procesowe do dowództwa Wehrmachtu.

Niemcy mieli trzy miesiące, żeby się do nich ustosunkować. Wygląda jednak na to, że Wehrmacht w 1944 r. miał poważniejsze sprawy na głowie. Dopiero gdy Amerykanie zaproponowali

eprasa.pl 3b69ca0f16

Berlinowi wymianę skazańców na amerykańskich jeńców skazanych na śmierć w Rzeszy, niemieckie władze zareagowały. Zanim doszło do wymiany, wojna jednak dobiegła końca.

Wejście do obozu Camp Swift w Teksasie FOT. WIKIPEDIA

Nazista z rogami?

Najciekawszą częś książki Daniela Costelle'a stanowią opisy kontaktów niemieckich jeńców ze zwykłymi Amerykanami. Główną okazją do tych spotkań była praca, do której Amerykanie wykorzystywali Niemców.

Konwencje genewskie dotyczące jeńców zabraniały wykorzystywania ich do pracy w przemyśle, który napędzał przecież machinę wojenną USA. Większość obozów umieszczono więc na rolniczym Południu. Niemcy zbierali bawełnę i owoce, bo olbrzymia liczba ich młodych rodaków została powołana do US Army i US Navy. W Stanach rozpaczliwie brakowało rąk do pracy.

Mimo to władze wojskowe miały skaranie boskie z niezwykle wówczas w USA wpływowymi związkami zawodowymi. Ich przywódcy bali się, że pracujący za niskie stawki niemieccy jeńcy odbiorą pracę Amerykanom.

Związki zawodowe upierały się, że skoro żołnierze Wehrmachtu i Waffen-SS pracują przy zbiorze kukurydzy, to muszą płacić związkowe składki! Co najmniej 25 centów tygodniowo. Na to jednak za nic nie chcieli się zgodzić amerykańscy przedsiębiorcy. Podwyższyłoby to bowiem koszty pracy.

Oto relacje, które ukazują, jak wyglądało to zderzenie dwóch światów.

Willibald Bergmann: ***Każdego dnia farmerzy podchodzili pod bramę obozu składać „zamówienie" na jeńców. „Ja chcę jednego", „Ja chcę dwóch" itd. Pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że jakaś kobieta życzy sobie pięciu prawdziwych nazistów. Zaintrygowani w pięciu poszliśmy w stronę bramy i zobaczyliśmy czekającą tam przy swoim starym dodge'u może 50-letnią farmerkę. Przyjrzała nam się, marszcząc brwi, po czym wydała wyrok:***

– Nie, to nie są prawdziwi naziści!

A więc my do niej:

– Ależ jesteśmy prawdziwymi nazistami!

A kobieta na to:

– Niemożliwe, prawdziwi naziści mają rogi!

Rzeczywiście, w tamtym okresie komiksy przedstawiały nazistów z rogami.

Herbert Kayser: ***Pewnego dnia jak zwykle pracowaliśmy na naszym polu bawełny, w nieprawdopodobnym upale, aż tu nagle zajeżdża autobus pełen turystów. Staliśmy przed nimi zdumieni, z nagimi torsami, ociekający potem.***

Następnie przewodnik poprosił nas, abyśmy zaśpiewali „Stille Nacht". Strażnicy krzyczeli:

– Dalej, dalej, śpiewajcie!

A więc zaśpiewaliśmy kolędę pod palącym, piekielnym słońcem. I ci starzy durnie, nagle ogarnięci nostalgią, słuchali nas z oczami wzniesionymi ku niebu. I strażnicy patrzący na nas jak zwierzęta w cyrku! Gotów byłem się rozpłakać z wściekłości.

Najwięcej życzliwości niemieccy jeńcy zaznali od Murzynów, którzy również czuli się uciśnieni przez Amerykanów oraz niemieckich emigrantów. Co ciekawe, głównie żydowskich emerytów, którzy w latach 30. osiedli w Miami.

Ludzie ci mimo przeprowadzki za ocean pozostali niemieckimi patriotami i starali się osłodzić „swoim chłopcom" gorzki pobyt w niewoli, podrzucając im różne smakołyki. Raz, gdy zobaczył to amerykański strażnik, bezceremonialnie rozdusił obcasem paczkę słodyczy. „Postępowanie tych starych Żydów głęboko nas wzruszało – wspominał z rozrzewnieniem Heinrich Severloh. – Ach, ci Żydzi i Murzyni!".

Niemieccy jeńcy uciekali chętnie i często. Z reguły szybko ich łapano, gdy szwendali się po okolicach lub pili piwo w pobliskich barach. Nie byli agresywni, a ludzie byli dla nich uprzejmi, biorąc ich za włóczęgów i nie zwracając uwagi na płaszcze Wehrmachtu...

Wielu jeńców, przedostawszy się za druty, wskakiwało do pociągów towarowych i ruszało w stronę dużych miast. Gdy uganiające się za nimi żandarmeria wojskowa i FB ich łapały, uciekinierzy z rozbrajającą szczerością oznajmiali, że chcieli „zobaczyć kawałek Ameryki".

Teoretycznie celem ucieczek było przedostanie się do Meksyku i dalej do sprzyjającej III Rzeszy Argentyny. Stamtąd zaś powrót do Europy, by dalej walczyć za Führera i Vaterland. Teoretycznie. W praktyce wielu uciekinierów miało Zauroczonych amerykańskim stylem życia postanowiło... zostać Amerykanami.

Starali się więc wtopić w społeczeństwo i pod fałszywymi nazwiskami podejmowali pracę. Jeden z uciekinierów wpadł, gdy w autobusie usiadł w części przeznaczonej dla Murzynów. Od razu rozpoznano, że nie jest Amerykaninem!

Jedenastu jeńców Amerykanom nie udało się złapać nigdy. Zapewne dożyli starości w San Francisco, Nowym Jorku lub Chicago jako zwykli Amerykanie.

Gdy 8 maja 1945 r. III Rzesza kapitulowała, Stany Zjednoczone pokazały swoje drugie, brzydsze oblicze. Ponieważ zniknęła groźba niemieckiego odwetu na amerykańskich jeńcach, zmieniono o 180 stopni traktowanie jeńców niemieckich.

Władze drastycznie zmniejszyły Niemcom racje żywnościowe. Zaostrzony został reżim obozowy. Amerykanie poddali również jeńców ideologicznej reedukacji. Za pomocą pogadanek, ulotek i gazet zamierzali przeobrazić bojowych „nazistów" w miłujących pokój „demokratów".

Ostatni jeńcy wojenni wrócili do Europy na początku 1946 r. Hans Werner Richter wspominał, że po kilkuletnim pobycie w Stanach młodzi Niemcy nie byli już tacy sami. Jako dowód opisał scenę, która rozegrała się na statku, którym płynęli do Europy przez Atlantyk.

Pewnego wieczoru poszedłem do pokładowego kina na projekcję filmu z Jane Russel, znaną z pięknego biustu – pisał Richter. – Amerykańscy strażnicy gwizdali, wrzeszczeli, rzucali w ekran wszystkim, co mieli pod ręką. A Niemcy wrzeszczeli zupełnie jak oni.

A więc proces amerykanizacji zakończył się pełnym sukcesem!

DANIEL COSTELLE
„NAZIŚCI? JEŃCY NIEMIECCY W AMERYCE"
ŚWIAT KSIĄŻKI

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3b69ca0f16

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

1942 / Krwawa tajemnica konspiracji polskiej

Kto zabił szefa Muszkieterów?

Sławomir Koper

Stefanem Witkowskim interesowały się wywiady polski, brytyjski i niemiecki oraz prominentne osoby, którym mógł się narazić

Po klęsce wrześniowej powstało blisko 150 organizacji konspiracyjnych. Zadanie scalenia polskiego podziemia zostało praktycznie wykonane przez gen. Stefana Grota-Roweckiego, chociaż nie wszystko przebiegało na drodze pokojowej. Krwawym finałem zakończyło się podporządkowanie ZWZ organizacji Muszkieterowie. Śmierć jej szefa, Stefana Witkowskiego, do dzisiaj wzbudza kontrowersje, zwłaszcza że Grot-Rowecki nie informował o wszystkim przełożonych z Londynu. Po zakończeniu wojny odnotowano kilka zabójstw osób związanych z Muszkieterami, a sprawców tych zbrodni nigdy nie odnaleziono.

Badacze zajmujący się działalnością Muszkieterów albo bezkrytycznie przypisują im wręcz nieprawdopodobne osiągnięcia, albo sceptycznie uważają, że Witkowski zajmował się głównie budowaniem atmosfery sukcesu, a jego osiągnięcia były niewielkie. Bardziej miały go interesować sprawy materialne niż rzeczywista służba na rzecz ojczyzny.

Konflikt z ZWZ

Bez wątpienia Witkowski („Kapitan", „Inżynier") był jednak doskonałym organizatorem, chociaż nie założył organizacji nastawionej na walkę zbrojną i skierował zainteresowania na pracę wywiadowczą. „Witkowski ma już poważną organizację – oceniał jesienią 1939 r. płk Klemens Rudnicki. – […] Ma wielu agentów, rozsyła na wszystkie strony, nawet do Niemiec, nie ma jednak z żadnych znikąd instrukcji, nikogo nie uznaje i chce wprost z Paryżem pracować. Przynajmniej do czasu otrzymania konkretnych rozkazów".

Z tego też powodu organizacja Witkowskiego nie była bezpośrednio dotowana przez polskie władze emigracyjne. Uznawano bowiem, że w okupowanym kraju powinna działać tylko jedna organizacja o charakterze wojskowym. Innym problemem były osobiste kontakty „Kapitana" z wywiadem angielskim datujące się jeszcze od lat 20. Analizując zachowane relacje, można wręcz odnieść wrażenie, że informacjami zdobywanymi przez Witkowskiego i jego podwładnych bardziej byli zainteresowani Brytyjczycy niż polski wywiad w Paryżu czy Londynie.

„Mamy dowody – informował gen. Sosnkowski Grota-Roweckiego – że Witkowski próbował nawiązać z Anglikami bezpośredni kontakt przez swego kuriera w Budapeszcie. To jest niedopuszczalne. Jego raporty powinny iść wyłącznie przez nas. Wymiana materiałów z Anglikami należy tylko do Centrali. Witkowski nie może wysyłać własnych kurierów. Winniście ukrócić jego samowolę". „Kapitan" był jednak człowiekiem upartym i nie trafiały do niego żadne argumenty. Wprawdzie polecił podwładnym współpracować z ludźmi „Grota", ale na równorzędnych zasadach. W prywatnych rozmowach zresztą nie ukrywał, że jego organizacja odnosi większe sukcesy i że to ZWZ jest petentem.

Z absurdu istnienia dwóch struktur wywiadowczych w okupowanym kraju

eprasa.pl 3b69ca0f16

Stefan Rowecki „Grot" i Stefan Witkowski

FOT. WIKIPEDIA, WMROKUHISTORII.BLOGSPOT.COM

doskonale zdawał sobie sprawę Sosnkowski, który w marcu 1940 r. nakazał podporządkowanie Muszkieterów Grotowi-Roweckiemu. Przy okazji stwierdzał, że Witkowski „zasypuje nas bezpośrednimi meldunkami, które w pierwszym rzędzie powinny" interesować ZWZ. Dodawał również, że „Kapitan" był „człowiekiem o wybujałej ambicji, w dużej mierze fantastą, w pracy nieostrożnym". Z czasem miały się pojawić znacznie poważniejsze zarzuty wobec szefa Muszkieterów, także o charakterze kryminalnym. Podobno Witkowski maczał palce w aresztowaniu Ryszarda Świętochowskiego, kierującego Centralnym Komitetem Organizacji Niepodległościowych i miał zdefraudować poważną kwotę pieniężną, którą otrzymał, by uwolnić polityka.

Szerokim echem odbiła się też sprawa zabójstwa współpracowniczki Muszkieterów, niespełna 30-letniej hrabianki, Marii Grocholskiej. Utrzymywała ona liczne znajomości z oficerami niemieckimi z kręgów arystokracji oraz z członkami SS i gestapo. Specjalnie się z tym nie ukrywała, uważała, że wypełnia powierzone jej zadania i nie przejmowała się opinią publiczną. Została zadźgana nożem w Podkowie Leśnej w maju 1940 r., a zabójstwo miał zlecić Witkowski. Twierdzono, że Grocholska podjęła kwotę pół miliona złotych (dziś ok. 250 tys. euro) ukrytą przez jednego z kurierów pod Baligrodem i przekazała ją „Inżynierowi". Ten nie zamierzał się z otrzymanych pieniędzy rozliczyć i zlecił likwidację współpracowniczki.

Natomiast w maju 1941 r. zginął jeden z najbardziej zasłużonych kurierów tatrzańskich, Włodzimierz Szyc „Biegacz". Oskarżono go kradzież 40 tys. dol. (blisko 600 tys. euro), które miał dostarczyć z Budapesztu. Witkowski skazał go na śmierć i osobiście zastrzelił (!), przy czym nie brakowało podejrzeń, że sam przejął pieniądze i pozbył się świadka.

W lipcu 1940 r. wydano rozkaz scalający Muszkieterów z ZWZ, który na wiosnę następnego roku musiał zaakceptować także Witkowski. Został zaprzysiężony na członka organizacji „Grota" i wraz z niewielką częścią swoich ludzi miał zajmować się wyłącznie wywiadem na terenie Rzeszy. Była to jednak tylko gra pozorów, gdyż „Kapitan" nie zamierzał na dłuższą metę respektować ustaleń i zrezygnować z niezależności. Nie przeszkadzała mu w tym coraz bardziej krytyczna opinia Naczelnego Wodza na temat jego organizacji. „[…] separatyzm organizacji Muszkieterów – twierdził Sikorski – uważałem od początku za szkodliwy. Takie stanowisko zajmuję w dalszym ciągu i nie podzielam zdania […], by praca tej organizacji mogła pod odpowiednią kontrolą dać pozytywne wyniki".

Nad Witkowskim zbierały się czarne chmury, także na domowym podwórku. Sprawa „Biegacza" nadszarpnęła zaufanie wśród podwładnych, członkowie Muszkieterów podejrzewali, że „Kapitan" dla zysku zamordował niewinnego bardzo zasłużonego człowieka. W tej sytuacji większość jego podkomendnych z radością przyjęła scalenie z ZWZ, a nawet najbardziej zaufani zaczęli ignorować polecenia Witkowskiego. Nie przeszkadzał im w tym nawet fakt, że byłym Muszkieterom nie pozwolono dalej pracować wspólnie, tylko skutecznie „rozparcelowano" ich po różnych agendach ZWZ.

Niebezpieczna gra

Pod koniec 1940 r. „Inżynier" rozpoczął bliżej niesprecyzowaną współpracę z Abwehrą, starając się jednocześnie o nawiązanie łączności z wywiadem sowieckim. A to już mogło wyglądać na zdradę. Z drugiej jednak strony, kontakty operacyjne z wrogiem są normalną praktyką w działalności szpiegowskiej. Każda metoda jest dopuszczalna i nie bez powodu działalność wywiadowcza nazywana jest „trzecim najstarszym zawodem świata" (po prostytucji i sutenerstwie), gdyż istniała zawsze i wszędzie, a ocena moralna stosowanych metod często bywa dwuznaczna.

Operacyjne kontakty z Niemcami miał także ZWZ, jednak „Grot" dbał, aby nigdy nie przekroczyć pewnych granic. Dlatego uznał, że konszachty Witkowskiego z Abwehrą stanowią poważne zagrożenie, tym bardziej że „Kapitan" nie chciał ujawnić szczegółów. Problem stanowił też fakt, że dużą rolę w rozmowach z Niemcami odgrywało dwóch „białych" Rosjan przebywających na stałe w Warszawie: Włodzimierz Bondorowski i Borys Smysłowski. Od lat pracowali oni na rzecz niemieckiego wywiadu, co nie było w stolicy tajemnicą. Sprawa miała także skandaliczny wątek, gdyż Bondorowski był w tym czasie partnerem żony szefa ZWZ. Roweccy pozostawali w separacji i trudno się dziwić, że kontakty Muszkieterów z Rosjaninem wyjątkowo irytowały „Grota". Generał doskonale bowiem wiedział, że prywatne informacje na temat jego osoby są równie ważne jak wiadomości polityczne i wojskowe.

Jakby tego było mało, pod koniec października 1941 r. w Warszawie pojawił się marszałek Śmigły-Rydz, a ludzie Witkowskiego zapewniali mu ochronę. Jego obecność w okupowanej stolicy stwarzała nową sytuację polityczną, Śmigły nie po to przecież uciekał z rumuńskiego internowania i przedzierał się do Polski, by grzecznie przyglądać się rozwojowi wypadków. Zapewne zamierzał przejąć kierownictwo całego polskiego podziemia, a Witkowski mu w tym miał pomóc. Przy okazji zapewniłoby to „Kapitanowi" wysoką pozycję w nowych strukturach podziemia i prywatną zemstę na „Grocie".

Śmigły został jednak wyeliminowany z rozgrywki na początku grudnia. Według oficjalnej wersji zmarł na anginę pectoris, ale pojawiła się także hipoteza, że Rydz-Śmigły został otruty czy też aresztowany przez ZWZ i wywieziony z Warszawy. Podobno miał popełnić samobójstwo czy umrzeć na gruźlicę kilkanaście miesięcy później.

Jego zniknięcie z polityki przesądziło o losach Witkowskiego. Dla Sikorskiego i Sosnkowskiego Śmigły był osobistym wrogiem i postępowanie lidera Muszkieterów uznano za wyjątkowy przejaw nielojalności. W tej sytuacji Londyn pozostawił „Grotowi" wolną rękę w postępowaniu z „Inżynierem", co niebawem miało doprowadzić do tragicznego finału.

Grota-Roweckiego do prawdziwej wściekłości doprowadzały informacje, że lider Muszkieterów wysyłał do Londynu

eprasa.pl 3b69ca0f16

raporty piętnujące wszelkiego rodzaju „sprawy niezbyt chlubne" w szeregach ZWZ. W odpowiedzi poświęcił wiele uwagi na zdyskredytowanie Witkowskiego nad Tamizą, co zresztą przyszło mu bez większego problemu. W Londynie doskonale bowiem pamiętano o jego poparciu dla Śmigłego-Rydza, a dla niektórych tamtejszych polityków i wojskowych sanacja była większym wrogiem niż Niemcy i Sowieci razem wzięci.

Zabójstwo

18 września 1942 r. „Inżynier" został zastrzelony w bramie domu przy ul. Wareckiej 6 w Warszawie. Zbrodni dokonali ludzie w mundurach niemieckiej policji kryminalnej (Kripo), a do zwłok przypięto kartkę z napisem „Największy polski bandyta". Oficjalnie wszystko miało sprawiać wrażenie, jakby to hitlerowcy pozbyli się Witkowskiego, a okoliczności zbrodni sugerowały, że „Kapitan" wszedł z nimi w interesy i zapłacił za to życiem.

W rzeczywistości jednak „Grot" przekazał sprawę „Inżyniera" Wojskowemu Sądowi Specjalnemu pod przewodnictwem gen. Bora-Komorowskiego, który skazał go na karę śmierci, a Grot-Rowecki natychmiast zatwierdził wyrok. Wykonał go oddział egzekucyjny AK, którego członkowie zostali przebrani w mundury Kripo.

„Grot" w ogóle nie poinformował o całej sprawie Londynu. Witkowski i jego organizacja nagle zniknęli z korespondencji z władzami emigracyjnymi i generał więcej do tematu nie powracał. Dopiero na początku czerwca 1943 r., a zatem po ośmiu miesiącach przesłał do Londynu meldunek specjalny, mający charakter odpowiedzi na pytanie. Można zatem podejrzewać, że raport był wynikiem indagowania o losy Muszkieterów, za czym być może stał wywiad angielski, zaniepokojony nagłym przerwaniem łączności z Witkowskim.

„Wobec systematycznych prób wyłamywania się – meldował »Grot« – prowadzenia dwuznacznej gry z kontrwywiadem niemieckim, gestapo i wywiadem angielskim i sowieckim, uchylania się od kontroli finansowej i organizacyjnej, wreszcie wobec kilkakrotnie stwierdzonych prób fingowania wiadomości dla uzyskania pieniędzy, usunąłem Tenczyńskiego [pseudonim Witkowskiego

SŁAWOMIR KOPER
„HISTORYCZNE ARCHIWUM X. TAJEMNICZE ZGONY ZNANYCH POLAKÓW"
FRONDA

– przyp. S.K.] ze stanowiska komendanta Muszkieterów, przenosząc go do rezerwy. […] Zarządziłem rozwiązanie organizacji Muszkieterów i przekazanie wszystkich służących w niej żołnierzy do mojej dyspozycji. Tenczyńskiego oddałem pod sąd, który skazał go na śmierć. Wyrok zatwierdziłem. W międzyczasie został on zabity na rozkaz niemieckiego szefa kryminalnej policji, z którym miał powiązania na tle afer bandycko-łapówkowych".

Jak widać, „Grot" kilka razy rozmyślnie wprowadził w błąd przełożonych z Londynu. Zapewne nie chciał rozwodzić się na temat kontaktów operacyjnych AK z gestapo i Kripo (co sam zarzucał Witkowskiemu) i wolał przedstawić śmierć „Inżyniera" jako wynik zemsty hitlerowców. Dezawuując w ten sposób „Kapitana", odsuwał też od siebie podejrzenia o załatwianie prywatnych porachunków. Jedno jest pewne, „Grot" działał niezwykle skutecznie i uznawał politykę faktów dokonanych.

Zabójstwo Witkowskiego było początkiem niemieckiej akcji wymierzonej w jego najwierniejszych podwładnych. Czy AK przekazała Abwehrze posiadane informacje, by w ten sposób rozbić pozostałości Muszkieterów? Od ich kul zginął zaś Stefan Chamski, członek AK i granatowy policjant, który brał udział w zabójstwie Witkowskiego. Dalszych przejawów zemsty jednak nie zanotowano, gdyż z powodu aresztowań organizacja przestała istnieć.

Po wojnie popełniono kilka niewyjaśnionych zbrodni, których ofiarami padły osoby związane z organizacją. Na początku lipca 1951 r. na francuskiej Riwierze zginęła Marta Thomas-Zaleska, partnerka życiowa marszałka Śmigłego-Rydza. Z jej mieszkania zginęła cenna biżuteria, a co najważniejsze, pamiątki po marszałku. Wśród nich miały być jego listy oraz pamiętnik, w którym zapisywał wydarzenia następujące po klęsce wrześniowej. Znajdować się w nim miały tajemnice niewygodne dla wielu prominentnych osób, a wśród nich ważne informacje na temat Witkowskiego i Muszkieterów.

Rok później od ciosów nożem zginęła w Londynie Krystyna Skarbek – była agentka angielskiego wywiadu związana z Muszkieterami. Podczas okupacji nie raz pojawiała się w Warszawie jako ich kurierka, zapewniała bowiem łączność Witkowskiemu z Brytyjczykami. Tym razem zabójca został aresztowany, był nim odrzucony kochanek, Irlandczyk Dennis Muldowney. Jego proces był formalnością, nożownik został trzy miesiące później powieszony.

Czy ktoś wykorzystał jego szaleńczą miłość, aby pozbyć się Skarbek? Dzieje tajnych służb notowały już przypadki usuwania niewygodnych osób za pomocą różnego rodzaju desperatów. „Zaprogramowany" zamachowiec bywa doskonałym narzędziem, a szybka egzekucja ucisza go na zawsze.

Zabójstwa Marty Thomas-Zaleskiej i Krystyny Skarbek niekoniecznie musiały być związane z historią Muszkieterów, natomiast śmierć bliskiej przyjaciółki i protektorki Witkowskiego z czasów okupacji, hrabiny Teresy Łubieńskiej, wskazuje wyraźnie, że nie wszyscy uznali porachunki z Witkowskim za zakończone. W maju 1957 r. zgłosiła się ona na policję, twierdząc, że obawia się o swoje życie. Kilka dni później, gdy wieczorem wracała od znajomych, została napadnięta na stacji londyńskiego metra. Otrzymała pięć ciosów nożem i kilka godzin później zmarła w szpitalu. Sprawcy nigdy nie odnaleziono, nie ustalono też motywu zbrodni, chociaż policja przeprowadziła wyjątkowo drobiazgowe śledztwo.

Sprawa śmierci Stefana Witkowskiego do dzisiaj czeka na swoje wyjaśnienie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

„Armia Krajowa w dokumentach", Szczecin 1989.
K. Rudnicki, „Na polskim szlaku. Wspomnienia z lat 1939–1947", Londyn 1984.
J. Wilamowski, A. Zasieczny, „Rozkaz: Zabić Witkowskiego! Tajemnice organizacji wywiadowczej »Muszkieterowie« 1939–1942", Warszawa 2013.

eprasa.pl 3b69ca0f16

1914 r. / Rzeźbiarz Włodzimierz Konieczny i malarz Wilhelm Wyrwiński

Józef Piłsudski na czele żołnierzy. Obraz Wojciecha Kossaka FOT. DOMENA PUBLICZNA

Bohaterowie z krakowskiej ASP

Marek Gałęzowski

Do Brygady Piłsudskiego trafiło wielu wybitnych artystów. Oto czyny dwóch z nich – znakomitych oficerów, którzy w walce złożyli ofiarę życia

Był w kilkunastu bitwach. Chwalił wojnę, nazywając ją dalszym ciągiem swego artyzmu. Mówiono, iż był nieulękłym żołnierzem i wybitnym oficerem. Gdy go widziałem ostatni raz, ze śmiechem twierdził, że nie imają się go kule i omijają go bagnety. Lecz w ostatniej z rzędu bitwie na Wołyniu, kędyś w rowach strzeleckich, mężnie broniąc swego stanowiska, zakłuty został bagnetami przez moskiewskich sołdatów i wraz z utratą owego posterunku wrzucony do wspólnego kędyś dołu, gdyż nie wiadomo wcale, gdzie jest w wołyńskiej ziemi jego mogiła".

Tak Stefan Żeromski wspominał ojca chrzestnego swojej jedynej córki Moniki, rzeźbiarza Włodzimierza Koniecznego, ledwie 30-latka w chwili śmierci pod Kostiuchnówką – w największej bitwie Legionów Polskich.

Rzeźbiarz

Pierwszym, który poznał się na jego talencie, był Stanisław Witkiewicz senior, malarz i znany krytyk literacki okresu Młodej Polski. To za jego to – ojca słynnego „Witkacego" – namową Konieczny, chociaż gimnazjalista, w 1901 r. porzucił naukę we Lwowie i wyjechał do Zakopanego, gdzie uczył się w Szkole Przemysłu Drzewnego. Zyskawszy uznanie dla swoich zdolności artystycznych, dwa lata później zaczął kształcić się w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Studiował najpierw rzeźbę u Konstantego Laszczki, później grafikę pod kierunkiem Józefa Pankiewicza.

Zajmował się przede wszystkim rzeźbą, a także medalierstwem i grafiką. Za dzieło „Immaculata" otrzymał nagrodę na I Wystawie Współczesnej Sztuki Kościelnej w Krakowie. Z prac graficznych uwagę zwracały okładka i ilustracje „Róży" Stefana Żeromskiego i „Na Skalnym Podhalu" Kazimierza Przerwy-Tetmajera. Był też autorem kilku utworów literackich, m.in. wierszy, niepublikowanych dramatów „Wieczny budowniczy" i „Straceńcy" oraz szkiców, które zamieszczał w „Krytyce" i „Krakowskim Miesięczniku Artystycznym", m.in. „Sztuka i rzemiosło". W tym artykule, jak pisała w „Polskim słowniku

eprasa.pl 3b69ca0f16

biograficznym" Irena Huml, wykładał „założenia ideowo-artystyczne polskiego ruchu odnowy rzemiosła". Swoje dzieła rzeźbiarskie wystawiał, poza Krakowem, również w Warszawie, we Lwowie, w Antwerpii, Paryżu, Wenecji i Wiedniu.

„W studiach i rysunkach Koniecznego uderza przede wszystkim żywe, wrażliwe reagowanie na świat prawdziwego artysty, nieustanne przy tym poszukiwanie człowieka, dla którego sztuka jest rzeczywistą wewnętrzną potrzebą i ukochaniem. Rysunki te są ogromnie różnolite: jedne naturalistyczne, inne bardziej syntetyczne [...]. Żaden z nich nie ma martwej, schematycznej formy, wszędzie wyczuwamy rękę artysty, w którym, według słów Żeromskiego, ciągle »żyło święte dziecko«" – pisał o twórczości Koniecznego wiele lat po jego śmierci Józef Czapski.

Młodego rzeźbiarza pochłaniała jednak nie tylko twórczość artystyczna. Wstąpił do „Strzelca" i ukończył kurs oficerski. Jak napisano we wniosku o odznaczenie niepodległościowe: „b.[ardzo] słabego zdrowia, bierze wybitny i żywy udział w pracy Strzelca". W sierpniu 1914 r. widzimy go w oddziale Józefa Piłsudskiego, a potem kolejno w 1. pułku piechoty i – po mianowaniu podporucznikiem – w 5. pp I Brygady.

Wychowanek Witkiewicza obrał tym samym całkiem inną drogę niż zaledwie rok starszy od niego syn tego wybitnego przedstawiciela kultury młodopolskiej. Kiedy po utworzeniu Legionów Stanisław Witkiewicz ojciec pisał, że są one „istotą polskiego życia i jakikolwiek będzie skutek ich czynu dalszy, ostateczny, samo życie takie jak ich, jest najdoskonalszym życiem polskim. Jest tą »górną« chwilą, o której marzył Mickiewicz... Czyn Piłsudskiego jest potężną dźwignią, która wyważyła z bezdni niewoli i upodlenia Polskę. Cześć Jemu i Jego żołnierzom...", jego jedyny syn dokonywał innego wyboru.

Sytuacja ta przejmująco oddawała postawy ideowe Polaków tamtych czasów i – jak zauważył Michał Sokolnicki, który wtedy rozmawiał z Witkiewiczem ojcem – „stateczność jego zaleceń tworzyły przejmujący kontrast z ciężkimi problematami jego własnego, dogasającego życia; nie wiem, czy już wiedział, że własny jego syn jechał w tymże czasie przez Sztokholm do rosyjskiego wojska, zaprzeczając tym samym ideałom i dążeniom ojca" (nie spotkali się już zresztą, gdyż Stanisław Witkiewicz zmarł w 1915 r.).

Tymczasem Konieczny wkroczył z Legionami do zaboru rosyjskiego. Tu szybko mianowany porucznikiem, objął dowództwo kompanii, okazując męstwo w kolejnych bojach, stoczonych przez I Brygadę w Królestwie Polskim, i zyskując wielki autorytet wśród strzelców. „Jednym z wybitnych dowodów jego wpływu na żołnierzy był fakt pozostania w linji mimo odniesionej dość ciężkiej rany poniżej obojczyka – w ataku na pozycje rosyjskie pod Przepiórowem. Mimo próśb ze strony podkomendnych, żeby zechciał odejść choć na parę dni od kompanji do szpitala celem szybszego wyleczenia się, por. Włodzimierz Konieczny od kompanji nie odszedł" – pisano we wniosku o odznaczenie Virtuti Militari.

Wilhelm Wilk-Wyrwiński
FOT. NAC

Włodzimierz Konieczny FOT. WIKIPEDIA

Podobnie jak inni artyści malarze i rzeźbiarze służący w legionowych pułkach nie zaniechał swojej pracy artystycznej, wykorzystując momenty, kiedy wojna przybierała formę pozycyjnej, co czasami trwało nawet kilka miesięcy. Podczas walk pozycyjnych nad Nidą „okopy kompanii śp. Włodzia Koniecznego wyglądały jak jakiś przekunsztowny i przerafinowany, na wpół w ziemię wkopany ogród francuski, pełen klombów, rysowanych w barwiste desenie z ceglanego gruzu i bielonych wapnem kamieni wśród trawników z naniesionej w pocie czoła darniny. Wszędzie dokoła, na miejscach najbardziej widocznych, oczywiście od strony własnej, nie od nieprzyjaciela, na dachach, na ścianach frontowych, nad centralnymi wejściami jaśniały białe orły, obok nich zaś inicjały imienia i nazwiska Komendanta z prawdziwym mistrzostwem wykonane, właśnie z kory brzozowej" – wspominał Bolesław Wieniawa-Długoszowski, sam wrażliwy odbiorca twórczości artystycznej i literatury pięknej.

Najbardziej znaną pracą Włodzimierza Koniecznego z czasów legionowej służby była rzeźba „Piechur", którą dedykował Józefowi Piłsudskiemu. „Rzeźba przedstawiała piechura legionowego w postawie na spocznij, z karabinem o nasadzonym bagnecie. W całej postaci, w jej męskim modelunku, wyrażał się realizm wojny" – pisał Michał T. Brzęk-Osiński.

Pierwszego dnia bitwy pod Kostiuchnówką 4 lipca 1916 r. „uderzył ciężki granat w sam środek małej ziemianki, w której znajdował się śp. por. Konieczny z dwoma sierżantami: śp. Stanisławem Izdebskim i Janem Skrabskim. Ziemianka została rozbita w puch". Obaj sierżanci polegli, Koniecznemu nic się nie stało, sam zdołał wydostać się spod gruzów ziemianki. Mimo propozycji dowódcy batalionu mjr. Tadeusza Wyrwy-Furgalskiego odmówił odesłania na tyły i pozostał na polu bitwy z dowodzoną przez siebie kompanią. Następnego dnia rano poprowadził ją „do kontrataku na Polską Górę, w którym zginął nadzwyczajnie bohaterską śmiercią, broniąc się do ostatniej

eprasa.pl 3b69ca0f16

chwili przeciw otaczającym ze wszystkich stron Moskalom" – jak napisano we wniosku o – pośmiertne – odznaczenie tego wybitnego artysty Orderem Virtuti Militari. Ciała dzielnego oficera, jak wielu innych legionistów poległych w tej bitwie, nie odnaleziono nigdy.

Tak zginął krakowski rzeźbiarz, porucznik Legionów, który „wpływał nadzwyczaj uszlachetniająco na swoich podkomendnych, swoimi niezwykłemi i rzadkiemi zaletami charakteru, a wpływ tychże dawał się wybitnie odczuwać do końca istnienia kompanji, nawet po jego stracie" (VM).

Pomnik Czynu Legionowego w Radomiu. Statuetka Włodzimierza Koniecznego posłużyła za wzór do posągu

FOT. VOYTEK S/WIKIPEDIA

Malarz

Włodzimierz Konieczny musiał znać się ze starszym o cztery lata Wilhelmem Wyrwińskim, gdyż studia w ASP w Krakowie rozpoczęli w tym samym roku, obaj też kształcili się pod kierunkiem Józefa Pankiewicza. Wyrwiński już jako student brał udział w wystawach Towarzystwa Artystów Polskich „Sztuka". Malował najczęściej akwarele – pejzaże i portrety. Jeden z pierwszych portretów miał szczególnego bohatera, przedstawiał bowiem cara Mikołaja II. Obraz monarchy, który symbolizował ucisk Polaków w zaborze rosyjskim, miał jednak specjalne przeznaczenie. Został spalony 2 lutego 1905 r. w czasie demonstracji pod pomnikiem Adama Mickiewicza na Rynku Głównym w Krakowie, co rzecz jasna spowodowało natychmiastowe rozpędzenie przeciwników cara przez policję.

Udział w tej demonstracji dobrze oddawał przekonania młodego malarza. Trzy lata później należał on do pierwszych, którzy zaangażowali się w działalność irredentystyczną Józefa Piłsudskiego w zaborze austriackim, wstępując do Związku Walki Czynnej. Później zaczął działać w „Strzelcu", w którym pełnił funkcję instruktora i komendanta niższej szkoły podoficerskiej. Po wybuchu pierwszej wojny światowej objął dowództwo plutonu w oddziale strzeleckim, który pod komendą Piłsudskiego wkroczył do zaboru rosyjskiego. Był jednym z tych, którzy 9 października 1914 r. w Jakubowicach otrzymali od Komendanta pierwszą nominację oficerską. W czasie bojów legionowych na Kielecczyźnie zyskał opinię oficera mężnego i pełnego inicjatywy, m.in. odznaczył się pod Krzywopłotami. Niedługo później „Wilk", bo taki pseudonim przyjął, przeszedł pod rozkazy jednego z najsłynniejszych oficerów legionowych – Leopolda Lisa-Kuli. Ten wysoko cenił Wyrwińskiego, mówiąc, że gdyby „Wilk" dostał komendę nad batalionem, chętnie służyłby u niego jako dowódca kompanii.

I on nie zaprzestał swojej pracy artystycznej. Jak pisały Wacława Milewska i Maria Zientara w swojej znakomitej książce „Sztuka Legionów Polskich i jej twórcy 1914–1918", „tworzył na ogół akwarelowe i rysunkowe portrety oraz studia portretowe anonimowych żołnierzy. Do dziś przetrwało zaledwie kilka wojennych prac artysty. Jest wśród nich studium portretowe nieznanej z nazwiska kobiety w mundurze legionowym – jedyny znany dotąd artystyczny wizerunek kobiety żołnierza. W tej spuściźnie wyjątek stanowi też jedyny imienny portret oficera legionowego wykonany przez Wyrwińskiego. Przedstawia on dowódcę »Wilka«, por. Leopolda Lisa-Kulę".

Kiedy Rosjanie przełamali front pod Kostiuchnówką, Wyrwiński swoją postawą wzbudził – nie pierwszy raz – uznanie swoich żołnierzy. Wspominał Jakub Hoffman: „Podziwiałem »Wilka«, jak spokojnie rzucał granatami, ręce mu się nie trzęsą. [...] Co parę kroków podbiegamy, »Wilk« krzyczy, w tył zwrot paczkami ogień, poczem znowu w tył zwrot i w nogi. Mochy walą kolumnami; szczęście, że nie strzelają". Następnego dnia bitwy Wyrwiński przyczynił się do odparcia szarży rosyjskiej kawalerii na pozycje legionistów, uniemożliwiając im

eprasa.pl 3b69ca0f16

wdarcie się na tyły Polaków, a w dalszej części zmagań, kiedy Rosjanie opanowali Lasek Polski i zagrozili odcięciem jego kompanii, umiejętnie wyprowadził ją na inną pozycję. Ten czyn w niepodległej Polsce dał mu Order Virtuti Militari.

Po obaleniu władzy austriackiej w Krakowie 1 listopada 1918 r. „Wilk" wstąpił do Wojska Polskiego. Został mianowany kapitanem i dowódcą pociągu pancernego „Piłsudczyk". Był to austriacki pociąg pancerny, zdobyty przez członków Polskiej Organizacji Wojskowej w końcu października 1918 r. na bocznicy kolejowej przy stacji Kraków-Płaszów. Jak pisze znawca dziejów polskich pociągów pancernych Adam J. Ostrówka, ta nowoczesna wówczas maszyna składała się „z dwóch parowozów, dwóch wagonów karabinów maszynowych, dwóch wozów artyleryjskich i jednego szturmowego".

Już od pierwszych dni listopada „Piłsudczyk" patrolował linię kolejową Kraków-Rzeszów. 5 listopada w Bochni pociąg podzielono na dwa – dowództwo pociągu pancernego nr 1 zachował Wyrwiński. Na jego czele wkrótce wyruszył do Przemyśla, gdzie trwały walki z Ukraińcami. Po udziale w zwycięskiej odsieczy miasta w połowie grudnia „Piłsudczyk" Wyrwińskiego został skierowany do Lwowa. Wziął udział najpierw w walkach przy stacji kolejowej w Sądowej Wiszni, za co otrzymał pochwałę Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego, a następnie wzdłuż linii kolejowej Gródek Jagielloński – Lwów, m.in. pod Mościskami i mostem nad Wereszycą pod Gródkiem Jagiellońskim.

W tym ostatnim boju, jak pisał w raporcie Wyrwiński, „ogień karabinów maszynowych pociągu pancernego powstrzymał nieprzyjaciela, zadając mu straty, zwłaszcza zastrzelenie chorążego Ukraińca, który z wielką odwagą popędzał linię nieprzyjaciela do stacji, zdecydowało o odwrocie nieprzyjaciela z tej części miasta […]. Podnieść muszę niestrudzoną postawę i dzielne zachowanie się oficerów 1. pp [pociągu pancernego]. Następnie dzielną obronę mostu na Wereszycy przez żołnierzy i komendanta osłony tego mostu […]".

Dawny znajomy, który go odwiedził w tych dniach, wspominał, że „Wilk" był bardzo zmęczony – spał jedynie dwie godziny na dobę, poświęcając resztę czasu służbie. Tacy to ludzie wywalczyli granice odrodzonej Rzeczypospolitej.

„Piłsudczyk" przybył do Lwowa 28 grudnia 1918 r. na stację Persenkówka. Tego samego dnia, wieczorem, kpt. Wyrwiński opuścił swój pociąg pancerny z dwoma żołnierzami. Chciał nawiązać kontakt z jednym z lwowskich dowódców, rtm. Romanem Abrahamem. Krótko po tym został jednak zaskoczony przez pięcioosobowy patrol ukraiński, który wziął za idących mu na spotkanie żołnierzy polskich. Towarzyszący „Wilkowi" żołnierze zbiegli, on sam, nie zdoławszy sięgnąć po swój browning, zginął zakłuty bagnetami i dobity kolbami karabinów. Taką wersję podała prasa. Jednak oficjalny dokument pochodzący z wojskowych akt personalnych Wyrwińskiego mówi, że poległ on od postrzału w głowę.

Wierni sobie

Śmierć obu tych utalentowanych oficerów była stratą nie tylko dla Wojska Polskiego, lecz także, a może przede wszystkim dla kultury polskiej. W marcu 1919 r. w Pałacu Sztuk Pięknych w Krakowie odbyła się wystawa prac Wilhelma Wyrwińskiego i Włodzimierza Koniecznego. Józef Piłsudski powiedział wówczas o Wyrwińskim: „Kto by przewidział takie bogactwo w tak skromnym człowieku". Nie zapomniał i o Koniecznym. Oto bowiem statuetka legionisty została zabrana w czasie odwrotu spod Kostiuchnówki, a po pewnym czasie legioniści znaleźli najbardziej godnego jej posiadania. „Kiedy brązową statuetkę rzeźby Koniecznego ofiarowano Komendantowi na imieniny, ten (patrząc na nią, a myśląc o artyście) powiedzieć miał smutno: – Tak, pozostał wierny sobie! Do końca!" (Michał T. Brzęk-Osiński).

I wiele lat później na życzenie Marszałka właśnie rzeźba Koniecznego posłużyła jako wzorzec dla pomnika Czynu Legionów, odsłoniętego 10 sierpnia 1930 r. na rynku dzielnicy Miasto Kazimierzowskie w Radomiu. Zniszczony w kwietniu 1940 r. przez Niemców nie został odbudowany w zwalczającej tradycję niepodległościową komunistycznej PRL. Ponownie wzniesiono go jednak w końcu lat 90. – w niepodległej Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

REKLAMA

ADAM JOŃCA POLECA

od 15 listopada

vesper

www.vesper.pl
zamowienia@vesper.pl
tel. 61 86 86 506
fb: Wydawnictwo Vesper

eprasa.pl 3b69ca0f16

Józef Stalin z córką Swietłaną. 1935 r.
FOT. COMMNOS WIKIMEDIA

ZSRS / Krewni dyktatora i Polacy jako ofiary wielkiego terroru

Rodzina Stalina

Mikołaj Iwanow

Józef Stalin nie był pozbawiony uczuć rodzinnych. Jednak owa cecha człowieka cywilizowanego przejawiała się u Stalina w bardzo specyficzny – żeby nie powiedzieć: zwyrodniały – sposób...

Rodzina dla tego człowieka, tak jak niemal wszystko, co go otaczało, była jedynie narzędziem do zachowania i umacniania władzy absolutnej. Trudno w to uwierzyć, ale Stalin nie zjawił się nawet na pogrzebie własnej matki, która zmarła w 1937 r. Miał ważniejsze sprawy – rozpracowywał razem ze swymi podwładnymi – Jagodą i Jeżowem – zasady i praktyki wielkiego terroru. Żądza puszczenia krwi realnym i domniemanym przeciwnikom politycznym pochłonęła go do tego stopnia, że kiedy trzeba było mordować członków własnej rodziny, nie zastanawiał się nad tym ani trochę. Mordował... mordował... mordował, nie robiąc wyjątku dla nikogo.

Ten krwawy szlak rozprawienia się z własnymi krewnymi rozpoczął się od zamordowania własnej żony Nadieżdy Alliłujewej-Stalin, matki jego dwojga dzieci: Swietłany i Bazylego. Istnieje co najmniej kilkanaście wersji tego mordu, który zdarzył się w 1932 r. Według jednej z nich to Stalin osobiście zastrzelił Nadieżdę w czasie kłótni w domu. Niby chciał ją jedynie przestraszyć, ale naładowany pistolet wypalił i Nadieżda była nie do uratowania. Córka Stalina Swietłana twierdzi w autobiografii zatytułowanej „10 listów do przyjaciela", że tragedia wydarzyła się po urodzinach Klementa Woroszyłowa.

Nadieżda za świątecznym stołem powiedziała coś przykrego Stalinowi, ten w odpowiedzi rzucił w nią kawałkiem chleba i trafił w oko. Nadieżda natychmiast opuściła przyjęcie, a w nocy popełniła samobójstwo, zastawiając list pożegnalny Stalinowi, w którym oskarżała go o rozprawienie się z wieloma „starymi" bolszewikami, stworzenie w partii i pań-

eprasa.pl 3b69ca0f16

stwie atmosfery strachu i inne liczne zbrodnie na narodach Związku Sowieckiego. Bliska przyjaciółka Nadieżdy, Polina Żemczużnaja (żona Mołotowa), która za swoją szczerość w wypowiedziach zapłaciła wieloletnim więzieniem w stalinowskim obozie, stwierdza, że na tym przyjęciu u Woroszyłowa Stalin przy wszystkich wielokrotnie obrażał żonę, doprowadzając ją praktycznie do samobójstwa.

Józef Stalin miał niewątpliwy udział w zabójstwie własnego syna z pierwszego małżeństwa Jakowa, który – będąc oficerem Armii Czerwonej – dostał się do niewoli niemieckiej i został zamordowany w obozie jenieckim. Latem 1943 r. Hitler przez ambasadę Bułgarii w Moskwie (Bułgarzy oficjalnie nie prowadzili wojny przeciwko ZSRS) zaproponował wymianę Jakowa na marszałka Paulusa, głównodowodzącego 6. armii Wehrmachtu w Stalingradzie. Stalin odmówił, skazując w ten sposób własnego syna na śmierć. Znana jest słynna wypowiedź Stalina na ten temat: „Ja żołnierzy na generałów nie wymieniam".

W okresie wielkiego terroru rozprawa z własnymi krewnymi była dla Stalina czymś rutynowym. Brat jego pierwszej żony, Jekateriny Swanidze, pochodzącej z rodziny szlacheckiej (zmarłej w 1907 r., rok po ślubie i urodzeniu syna Jakowa), Aleksander Swanidze, będący ludowym komisarzem (ministrem) finansów Gruzińskiej Sowieckiej Republiki Związkowej, trafił za kraty w grudniu 1937 r., oskarżony o malwersacje finansowe i działalność frakcyjną w partii komunistycznej. W trakcie trwania śledztwa w sprawie aresztowano jego siostrę Maro i żonę Marię Swanidze jako rodzinę wroga ludu. Atmosfera powszechnego strachu była tak powszechna i tak przerażająca, że nikt z rodziny nawet nie próbował bronić Swanidzów. Rozstrzelano Aleksandra w 1940 r. W czasie śledztwa do oskarżeń dodano również szpiegostwo na rzecz Turcji. Żony Swanidzego i jego siostry również nie oszczędzono. Zamordowano je w marcu 1942 r.

Stalin śmiertelnie obawiał się klęski w wojnie z Niemcami, dlatego zdecydował nie zostawiać przy życiu ważnych świadków swoich zbrodni. Wtedy wydawało się, że dalsze istnienie jego dyktatury jest realnie zagrożone.

Brat drugiej żony Stalina, Paweł Alliłujew, był wysokiej rangi wojskowym w Armii Czerwonej. Na swoją zgubę w 1938 r. podpisał razem z kilkoma innymi dowódcami wojska zbiorowy list do Stalina z prośbą o zatrzymanie fali represji w wojsku. Po kilku dniach znaleziono go martwego we własnym gabinecie. Są świadectwa, że został otruty. 10 lat później w 1947 r. oskarżono o otrucie własnego męża jego żonę Eugenię Alliłujewą. Aresztowano ją, a także córkę Eugenii i Pawła, znaną aktorkę Kirę Alliłujewą, która próbowała bronić własną matkę. Nie oszczędzono również siostry żony Stalina Anny Redens (z domu Alliłujewą). Kolej na nią przyszła w 1948 r. Oskarżono ją o „antysowiecką propagandę" i skazano na pięć lat pozbawienia wolności. Wyszła z więzienia dopiero po śmierci Stalina.

Nadieżda Alliłujewa i Katarzyna Swanidze

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Los Polaków

Najbardziej spektakularne było jednak zabójstwo jednego z najbardziej znanych czekistów sowieckich Polaka Stanisława Redensa. Urodzony w Mińsku Mazowieckim w 1892 r., był bliskim kuzynem Stalina: jego żona Anna Alliłujewa to młodsza siostra Nadieżdy Alliłujewej. Był bliskim współpracownikiem zarówno Dzierżyńskiego, jak i Jagody i Jeżowa. Szczyt jego kariery czekisty przypadł na lata wielkiego terroru. Wtedy właśnie w 1935 r. otrzymał on najwyższy tytuł wojskowy w ówczesnych sowieckich służbach specjalnych – komisarza GB (bezpieczeństwa państwowego) pierwszej rangi. W NKWD było jedynie pięciu generałów mających ten najwyższy stopień.

Po Dzierżyńskim i Mienżyńskim Stanisław Redens był najwyższym stopniem Polakiem w NKWD. Nietykalność Redensa mogła wynikać również z tego, że był on bliskim przyjacielem i osobistym sekretarzem Feliksa Dzierżyńskiego w czasie wojny domowej i potem.

Gwoli sprawiedliwości odnotujmy, że przed wielkim terrorem Polacy w NKWD zajmowali wiele kierowniczych pozycji. Romuald Pilar (von Pilchau) stał na czele obwodowego NKWD w Saratowie i miał stopień komisarza GB drugiej rangi. Jego zastępcą w Saratowie był również Polak z tytułem generalskim (komisarz GB trzeciej rangi) Ignacy Sosnowski (Dobrzyński). Byłego polskiego szpiega przyjęli jeszcze w 1920 r. do GPU – NKWD na podstawie decyzji samego Lenina, z którym na ten temat rozmawiał Dzierżyński. Szefem NKWD w obwodzie Kalinińskim był Wiaczesław Dąbrowski (starszy major GB). Stanisław Pintal (kapitan GB) kierował regionalnym NKWD obwodu południowokazachstańskiego.

Z tej piątki jedynie Stanisław Redens dożył do 1940 r. Reszta została rozstrzelana jeszcze w 1937 r. w ramach tzw. operacji polskiej.

Z Ignacego Sosnowskiego zrobiono rezydenta II oddziału Polskiego Sztabu Generalnego, wiceszefa POW na cały Związek Sowiecki. Pilar z Dąbrowskim i Pintalem mieli rzekomo wchodzić w skład ścisłego kierownictwa POW. Kolej na Redensa przyszła po upadku Jeżowa, z którym miał on bliskie koleżeńskie stosunki. W czasie śledztwa przyznał się do szpiegostwa na rzecz Polski, ale główne oskarżenie przeciwko niemu polegało na założeniu spisku antypartyjnego i antypaństwowego razem z Jeżowem.

Stanisław Redens złożył w czasie śledztwa obszerne zeznania, pokazujące całą metodykę przestępstw stalinowskich wobec Polaków. We własnoręcznie sporządzonych zeznaniach napisał: „W czasie operacji w okręgu moskiewskim aresztowano ok. 2,5 tys. lub 2,7 tys. Polaków. W tym czasie operacja przyjęła takie rozmiary, że listy skazańców zaczęły spływać w ogromnej ilości i wtedy jeszcze bardziej uproszczono rozpatrywanie tych spraw, zaczęto rozdawać naczelnikom oddziałów wykazy tysięcy aresztowanych, i naczelnicy oddziałów jednoosobowo decydowali o ich losie, a Jeżow – nie czytając – podpisywał gotowe protokoły i to samo, niestety, robił i prokurator generalny Andrzej Wyszyński. Po moim wyjeździe do Kazachstanu Zakowski prowadził jawnie przestępczą działalność w tych sprawach, on przez dwa miesiące aresztował

eprasa.pl 3b69ca0f16

12,5 tys. osób, przy czym aresztowania przeprowadzono przy użyciu książki telefonicznej, byle było nazwisko tylko podobne do polskiego".

Znamienne jest to, że aresztowani kierownicy NKWD prawie natychmiast zaczynali współpracować ze śledczymi, przyznając się do wszystkiego, czego od nich wymagano. Znali oni bardzo dobrze reguły tej śmiertelnej gry, ponieważ jeszcze tak niedawno sami występowali w roli oskarżycieli. Rozumieli bezsens zapierania się.

Stanisław Redens na przesłuchaniu podczas osobistej konfrontacji ze swym niedawnym szefem Nikołajem Jeżowem posłusznie oświadczył, że został przez Jeżowa wciągnięty w spisek antysowiecki. Co Jeżow natychmiast potwierdził. Podobne czekistowskie zachowanie kontrastowało wyraźnie z zachowaniem wielu Polaków wojskowych, którzy uporczywie negowali bzdurne oskarżenia. O dziwo, w kilku wypadkach podobna twardość uratowała skazańcom życie.

Początek kariery Stanisława Redensa w sowieckich organach siłowych zupełnie nie zapowiadał jego niesławnego końca. Urodzony w centrum Polski, dzieciństwo i młodość spędził w miejscowości Kamieńskie nad Dnieprem. Było to miasto bardzo specyficzne, posiadające największy odsetek ludności polskiej na terenie ZSRS. Tak liczna Polonia powstała na południowej Ukrainie w wyniku przeniesienia tam w latach 80. XIX stulecia Warszawskiej Fabryki Stali wraz z jej personelem administracyjno-technicznym i robotnikami. W okresie przedrewolucyjnym liczba mieszkających tam Polaków stale wzrastała, a w roku 1914 sięgnęła 12 tys. W przededniu pierwszej wojny światowej Polacy stanowili w tym mieście prawie 30 proc. ogółu mieszkańców. Powojenna repatriacja minimalnie tylko zmniejszyła liczebność Polonii.

W okresie tworzenia polskiej autonomii socjalistycznej na Ukrainie w Kamieńskich, gdzie nadal mieszkali krewni Redensa, podjęto próbę założenia jedynej w Związku Sowieckim miejskiej autonomii polskiej. Otwarto pięć szkół polskich, kilka polskich żłobków, w zamkniętym kościele (w mieście były dwa kościoły) rozpoczął działalność Polski Klub Robotniczy. W 1929 r. zorganizowano Polskie Technikum Pedagogiczne mające kształcić kadry nauczycielskie dla polskich szkół całej Ukrainy.

Najbardziej aktywne działania podejmowano w celu zachowania polskiego charakteru byłej Warszawskiej Fabryki Stali, znanej w czasach przedrewolucyjnych jako Dnieprowskie Zakłady Hutnicze. Na wstępie nadano im nazwę Zakłady im. Feliksa Dzierżyńskiego, popularnie zastępowaną przez miejscowych Polaków i polską prasę nazwą „Dzierżynka". Drugim krokiem w tej swoistej polonizacji było otwarcie przy hucie specjalnej polskiej szkoły zawodowej, kształcącej w języku ojczystym przyszłe kadry robotnicze pochodzące ze środowiska polonijnego.

Jednocześnie komunistyczni działacze polonijni otrzymali zadanie skierowania do tej szkoły z całej Ukrainy jak największej grupy młodych Polaków – kandydatów na przyszłych polskich świadomych proletariuszy. W mieście wydano polską gazetę „Dzierżyniec", która stała się namiastką rzecznika miejscowej Polonii. Polski charakter „Dzierżynki" przejawiał się także w działalności licznych zakładowych organizacji społecznych, prowadzących swoje prace w języku polskim. Okresowo, do rozpoczęcia wielkiej rozbudowy fabryki, część swoich zebrań prowadziła w języku polskim nawet zakładowa organizacja partyjna (prawie połowę składu osobowego stanowili Polacy). W „Dzierżynce" organizowano także liczne wiece solidarnościowe z walczącym proletariatem polskim, mityngi protestu przeciwko polityce „faszystowskiej Polski" itp. Usilnie dążono do tego, by z „Dzierżynki" za wszelką cenę uczynić trzecią, najważniejszą cześć w całej strukturze polskiej autonomii narodowościowej w ZSRS (na równi z Marchlewszczyzną i Dzierżyńszczyzną).

Katarzyna Geladze, matka Stalina

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Znamienne jest, że właśnie w tym okresie największej rozbudowy tej polskiej autonomii na czele Ukrainy znajdowali się dwaj Polacy: Stanisław Kosior jako pierwszy sekretarz KC KP(b)U i Stanisław Redens jako szef służby bezpieczeństwa GPU. To oni byli posłusznymi wykonawcami woli Stalina i organizowali „sztuczny wielki głód" na Ukrainie. Zapisali się obaj złowieszczo w historii narodu ukraińskiego, dlatego do dziś w tym kraju nie milkną głosy nawołujące do urządzenia wielkiego procesu pokazowego nad tymi, którzy organizował ten głód, mimo że nikt z tych ludzi już nie żyje.

Kres Redensa

Za życia Feliksa Dzierżyńskiego Stanisław Redens był jego osobistym sekretarzem. Szef sowieckiej Czeka jednocześnie piastował kilka innych stanowisk w partii i rządzie bolszewickim, dlatego prawie nigdy nie miał czasu osobiście kontrolować prac Czeka i Redens podejmował za niego wiele rozmaitych działań. Zatwierdzał w imieniu swego szefa listy skazańców. Był panem życia wielu aresztowanych, mógł ratować ludzi przed śmiercią, wykreślając ich z listy skazańców, lub skazywać na śmieć tych, których jego podwładni kierowali do więzień lub uniewinniali. W latach 1919–1924 Redens zajmuje odpowiedzialne stanowiska w Czeka Odessy, Kijowa, Charkowa i na Krymie. Na polecenie Dzierżyńskiego pełnił w Czeka odpowiedzialną funkcję wywiadu wewnętrznego, wykrywał i bardzo często bez sądu rozstrzeliwał tych czekistów, którzy przyłączyli się do sowieckich służb siłowych bez przekonania. Byli to ludzie odpowiedzialni za masowy terror okresu wojny domowej. Bardzo często byli to ukryci psychopaci, sadyści, alkoholicy, narkomani itp.

W 1924 r. Stanisław Redens na prośbę Dzierżyńskiego wraca do Moskwy i znów zostaje osobistym sekretarzem szefa Czeka, ale tym razem w rządzie, gdzie Dzierżyński zajmował posadę sekretarza Wszechzwiązkowego Komitetu Rozwoju Gospodarczego. Po śmierci Dzierżyńskiego Redens kieruje się na Kaukaz. W Tbilisi od 1928 do 1931 r. kieruje on GPU (NKWD) Federacji Zakaukaskiej.

eprasa.pl 3b69ca0f16

Ławrientij Beria z córką Stalina FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Następnie w Kijowie jako szef ukraińskiego GPU prowadzi nadzór nad procesem kolektywizacji ukraińskiego chłopstwa. Dziś w niepodległej Ukrainie traktują go jako jednego z głównych organizatorów wielkiego głodu, który pochłonął ponad 3 mln ofiar.

Szczyt kariery Stanisława Redensa w sowieckich służbach bezpieczeństwa GPU – NKWD przypadł na lata 1934–1938, kiedy stanął on na czele moskiewskiego obwodowego NKWD i był jednym z czołowych wykonawców wielkiego terroru w stolicy kraju. Właśnie wtedy, w 1937 r., otrzymał za zasługi w przeprowadzeniu czystki w stolicy najwyższy order ZSRS – Order Lenina.

W 1938 r., mimo powiązań z aresztowanym głównym stalinowskim katem Nikołajem Jeżowem, nadal zdawał się być nietykalny. Kiedy rozpoczęła się czystka współpracowników Jeżowa, Stalin zdecydował przerzucić swego krewnego z Moskwy do Kazachstanu, tak aby odwrócić od niego żądło nowej nagonki. Okazało się jednak, że prawie każdy z aresztowanych czołowych szefów NKWD w swych zeznaniach wspominał o Redensie jako gorliwym wykonawcy poleceń aresztowanego szefa sowieckiej bezpieki. Pierwszy zastępca Jeżowa Zakowski w swych zeznaniach poszedł tak daleko, że oskarżył Redensa o szpiegostwo na rzecz Polski. Tym razem prawdopodobnie Stalin nie wytrzymał i zgodził się na aresztowanie swego szwagra. Sądzono go w styczniu 1940 r.

Oprócz szpiegostwa na rzecz Polski oskarżono go również o stworzenie w NKWD razem z Jeżowem przestępczej antysowieckiej organizacji specjalizującej się w oczernianiu i zabójstwie czołowych sowieckich działaczy partyjnych, a także w masowych aresztowaniach niewinnych ludzi sowieckich. Zginął Stanisław Redens od kuli kata 12 lutego 1940 r.

Stanisław Redens był niewątpliwie gorliwym wykonawcą woli swego bliskiego kuzyna na Kremlu, może nawet nadgorliwym, co w końcu go zgubiło i na koniec kariery postawiło sam na sam z katem, który wykonał wyrok śmierci. Świadczy o tym odmowa sowieckiego sądu najwyższego, aby zrehabilitować go w roku 1957 na wniosek jego żony Anny. Dopiero w 1961 r. na polecenie samego pierwszego sekretarza KC KPRS Nikity Chruszczowa, który jako szef moskiewskiej organizacji partyjnej przyjaźnił się z Redensem, kiedy ten w latach 1933–1937 był szefem NKWD w Moskwie, zrehabilitowano go. W latach pieriestrojki Sąd Najwyższy zamierzał tę rehabilitację cofnąć. Uznano jednak, że poprzednia decyzja nie może być zmieniona w związku z… przedawnieniem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 3b69ca0f16

Tomasz Stańczyk

XIX w. / W Rosji i na emigracji

Potomkowie targowiczan

Żyli z piętnem hańby, która spadła na ich rody. Jakie były ich życiowe wybory?

24 września 1794 r. odbyło się symboliczne wykonanie kary śmierci na czołowych targowiczanach, skazanych przez Sąd Najwyższy Kryminalny. Umknęli przed wymiarem sprawiedliwości, dlatego też do stryczka zawieszono portrety: Stanisława Szczęsnego Potockiego, Franciszka Ksawerego Branickiego i Wacława Rzewuskiego.

Szczęsny Jerzy Potocki, syn marszałka konfederacji, nie przejmował się rolą, którą odegrał ojciec. Bardziej interesował się swoją macochą Zofią, Greczynką, a po matce Józefinie z Mniszchów odziedziczył zresztą, jak pisał Jerzy Łojek w „Dziejach pięknej Bitynki", zamiłowanie do rozwiązłego i nieuregulowanego trybu życia, który przyspieszył jego zejście z tego świata w wieku 33 lat. „Z polskością nie miał właściwie już nic wspólnego – stwierdzał Łojek – i nie tylko z wyboru, lecz także z braku jakichkolwiek innych powiązań emocjonalnych i światopoglądowych".

Synowie Szczęsnego Potockiego – Aleksander, Stanisław, Jarosław i Aleksander – służyli na dworze i w armii rosyjskiej. Aleksander Potocki opuścił służbę w armii rosyjskiej w stopniu pułkownika, a podczas powstania listopadowego zgłosił się do polskiej armii i zamierzał sformować na swój koszt pułk, lecz inicjatywa nie doszła do skutku z powodu upadku powstania. Po takim zaangażowaniu się w sprawę polską skonfiskowano mu majątek, pozostała mu tylko emigracja. Odrzucił propozycję ze strony rosyjskiego szwagra, by wrócił do Rosji, a on wyjedna mu amnestię. „Na własne utrzymanie zużywał podobno tylko 20 tys. franków, przeznaczając resztę na pomoc dla polistopadowych emigrantów" – pisał Jerzy Łojek w książce „Potomkowie Szczęsnego".

Włodzimierz Potocki (z prawej), pułkownik artylerii konnej Księstwa Warszawskiego

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 3b69ca0f16

Włodzimierz, rosyjski wojskowy, okazał się także patriotą, zgłosił się jako ochotnik do wojska Księstwa Warszawskiego. Ufundował dwie kompanie artylerii konnej, brał udział w bitwie pod Raszynem. Jego artylerzyści w krytycznym momencie bitwy powstrzymali napór oddziałów austriackich. Upamiętniony został na obrazie Wojciecha Kossaka „Bateria w ogniu". Zasłużył się także przy zdobywaniu Zamościa, gdy na czele woltyżerów z sukcesem atakował austriackie szańce przedmostowe, kluczową pozycję obrony. Został odznaczony Orderem Virtuti Militari i Legią Honorową, zmarł w wieku 23 lat, w 1812 r.

Syn Włodzimierza – także Włodzimierz – wziął udział w powstaniu listopadowym. Natomiast Stanisław i Jarosław pozostawali w służbie rosyjskiej. Stanisław był adiutantem wielkiego księcia Konstantego, mistrzem ceremonii na dworze cesarskim, Jarosław zaś – marszałkiem dworu. Poślubili córki targowiczan: Stanisław córkę Franciszka Ksawerego Branickiego, a Jarosław – córkę Seweryna Rzewuskiego.

Wacław „Emir" Rzewuski

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Zemsta cara

Osobne miejsce zajmuje syn Szczęsnego Jerzego – Mieczysław Potocki, który wszedł w posiadanie większej części fortuny po ojcu. Korzystając z nieobecności matki w pałacu w Tulczynie, zabrał jej wszystkie pieniądze, kosztowności i obrazy, które były w jej apartamencie. Wybuchł skandal. Zofia Potocka, która walczyła o udział w spadku po mężu z pasierbami, posunęła się do drastycznego kroku: obwieściła, że Mieczysław nie jest synem Stanisława Szczęsnego, gdyż pochodzi z gwałtu, którego dokonał na niej pewien rozbójnik z Wenecji, gdy podróżowała po Włoszech. Nie ma więc prawa do dziedziczenia. Mieczysław Potocki bynajmniej się tym nie speszył, replikował, że nawet jeśli jest to prawda, to przecież Stanisław Szczęsny uznał go za syna, więc spadek mu się należy. Być może zostałby zapamiętany jedynie jako dobry i skrzętny gospodarz olbrzymich dóbr – a majątek pomnażał także dzięki wręcz patologicznemu skąpstwu – gdyby nie inne cechy charakteru: hardość i nieliczenie się z niczym, nawet najwyższą władzą. Wprawiło go to w nie lada perypetie w kraju samodzierżawia.

W 1822 r., podczas manewrów wojskowych, proszono Potockiego o to, by użyczył swego pałacu Mikołajowi I. Bynajmniej nie z pobudek patriotycznych, dumny magnat oświadczył: „Mój dom przeznaczony jest tylko dla mnie samego. Gdy mieszkałem w Petersburgu, wynajmowałem dom dla siebie. Można więc wynająć także dom dla cesarza. W mieście jest wiele porządnych domów generalskich. Ja natomiast nie mogę się zgodzić na kwaterowanie cesarza u mnie" (za: J. Łojek „Potomkowie Szczęsnego"). Co więcej, Potocki odważył się zainteresować obecną kochanką Mikołaja I, bądź kandydatką na nią, i uprowadził ją niemal na oczach monarchy.

Skończyło się to dla niego źle: został zesłany w 1828 r. do Woroneża. Próbował odzyskać wolność, z zamiarem wyjazdu z Rosji za cenę sprzedaży swego majątku władzom. Propozycja została przyjęta. Jednak Potocki wycofał się, gdy zamiast wypłaty w złocie lub srebrze, zaoferowano mu ruble asygnacyjne. A to oznaczało, jak stwierdzał Jerzy Łojek, że magnat dostanie zaledwie jedną czwartą wartości dóbr. Mniej więcej w tym czasie Potocki podjął decyzję o potajemnym transferowaniu swoich dochodów do banków francuskich. Było to bardzo przezorne.

Po nieudanym małżeństwie z Delfiną z Komarów, przyszłą kochanką i muzą Zygmunta Krasińskiego, Potocki ożenił się z Emilią ze Świeykowskich, która szybko stała się jego wrogiem i przyczyną kłopotów, gdyż gromadziła przeciw niemu dokumenty i świadków w jego licznych sporach majątkowych z sąsiadami i wykorzystała spór z jednym z dzierżawców. Tyle że w tej sprawie był zainteresowany ktoś inny. „Przeciwko Potockiemu – podejrzewał Jerzy Łojek – sprzysięgły się najprawdopodobniej osobistości wpływowe i wysoko postawione, używając sprawy jego konfliktu z żoną do usunięcia z Tulczyna dotychczasowego właściciela". Zadecydowała też o losach magnata osobista niechęć Mikołaja I. W efekcie Mieczysław Potocki został znów zesłany, tym razem do Saratowa, bezterminowo. Obiecywano mu wolność, gdy zaspokoi żądania – słuszne lub nie – ludzi będących z nim w sporze. Zażądano też, by wraz z synem Mikołajem przeszedł na prawosławie.

Dumny magnat ugiął się, nie odzyskał jednak wolności. Próbował uciekać za granicę, złapano go, osadzono w Woroneżu, potem w Wiatce. Wreszcie trafił do osławionego więzienia w twierdzy Szlisselburskiej, gdzie więziono polskich patriotów. Potocki przebywał tam prawdopodobnie do śmierci Mikołaja I, potem wyjechał do Francji, gdzie mógł się cieszyć przezornie zgromadzonymi ogromnymi funduszami. Choć nie był człowiekiem, którego dałoby się lubić, to jednak jego hardość wobec cara Rosji, jego prześladowanie przez władze rosyjskie i walka o wolność budzą pewien szacunek.

Emir i ataman

Jedyny syn Seweryna Rzewuskiego – Wacław – być może byłby się zaustriaczył. „Rodzice pragnęli wyciosać z niego austriackiego feldmarszałka, a co najmniej dyplomatę" – pisał Antoni Rolle w szkicu „Emir Rzewuski". Wacław służył w wojsku i wziął udział w bitwie pod Aspern z armią Napoleona. Oczywiście jako kawalerzysta. Kochał konie, które stały się jego życiową pasją. Fascynował się Orientem, przedsięwziął podróż na

eprasa.pl 3b69ca0f16

Ksawery Branicki FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Wschód, skąd przywiózł wspaniałe araby. Twierdził, że w 14 beduińskich plemionach został wyniesiony do godności emira.

Po powrocie do domu, na ziemiach ukraińskich, Rzewuski wzdychał: „O Boże, daj mi wrócić na pustynię [...]. Oko ginie tam w nieskończoności, wyobraźnia nie ma granic, wolność nie jest tam swawolą, cnota nie jest ułudą". Na pustynię nie wrócił, natomiast ponownie zakochał się w stepie i „skozaczył się". „Z Emira złotobrodego Tadż-el-Fahera stał się batkiem złotobrodym, serdecznym atamanem Rewuchą" – pisał Antoni Rolle.

Wacław Rzewuski miał kompleks na tle ojca – targowiczanina. Przystąpił do Towarzystwa Patriotycznego, był z tego powodu pod obserwacją rosyjskich władz. Kiedy wybuchło powstanie listopadowe, wsadził na swoje konie Kozaków i sformował oddział. Później dowodził liczącym 220 jeźdźców szwadronem. Bił się z Rosjanami pod Daszowem 14 maja 1831 r. Wtedy widziano go po raz ostatni. Zniknął. Ciała nie odnaleziono.

„Emir" Potocki pozostawił po sobie syna, który podczas rewolucji w 1848 r. wydawał pismo o znamiennym tytule „Postęp", a w nim „propagował nieznane dotąd w Galicji idee socjalizmu, czym niebywale zgorszył tamtejszych ziemian" (T. Zielińska, „Poczet polskich rodów arystokratycznych"). Odnowił wspaniały pałac w Podhorcach, gromadził w nim dzieła sztuki i archiwa. Był ostatnim potomkiem hetmana targowiczanina.

Hojny radykał

Władysław Grzegorz Branicki, jedyny syn targowiczanina Franciszka Ksawerego, był rosyjskim oficerem. Walczył m.in. pod Arcis-sur-Aube, gdzie Polacy uratowali Napoleona I od wzięcia do niewoli. Piastował godność naczelnego łowczego dworu carskiego, jednak uważał się za Polaka. W 1815 r. zamierzał przejść do formującej się armii Królestwa Polskiego, jednak Aleksander I się nie zgodził. Podczas powstania listopadowego Branicki zachowywał się neutralnie, co zresztą nie przeszkodziło, że później został wielkim podczaszym dworu. Branicki ożenił się, tak jak dwaj Potoccy, także z córką targowiczanina – Stanisława Szczęsnego Potockiego, która nienawidziła Rosji. I to głównie jej zasługą jest polskie wychowanie synów.

Najciekawszą wśród nich osobowością był Ksawery Branicki. Wspominał, że był przymuszony do służby w rosyjskiej armii – zapewne ze względu na stanowisko ojca – nadmieniał jednak, że wojsko go pociągało. Znalazł się w kręgu liberalnej młodzieży, co z pewnością nie uszło uwadze władz, lecz obyło się bez groźnych konsekwencji. „Jako Polak od dzieciństwa nienawidziłem szczerze cesarza Mikołaja, gnębiciela mojej ojczyzny" – wyznawał. Po śmierci Władysława Grzegorza car mianował Ksawerego swoim adiutantem, lecz nie dlatego, by mu osłodzić śmierć ojca. Mikołaj I chciał mieć młodego Branickiego na oku, gdyż jak powiedział – całkiem słusznie zresztą – „on jest zarażony duchem rewolucyjnym, to Francja rewolucyjna zaszczepiona na starej polskości".

Ksawery Branicki nie zamierzał służyć samodzierżawcy i pod pretekstem leczenia choroby wyjechał na Zachód, wrócił, ale tylko po to, by nadal ze względu na stan zdrowia – choć oczywiście nic mu nie dolegało – poprosić o zwolnienie ze służby i zgodę na opuszczenie Rosji. Dziwił się zresztą, że się na to zgodzono.

Był szlacheckim radykałem, który przerażał swego konserwatywnego kuzyna Zygmunta Krasińskiego. Nie szczędził pieniędzy na wydanie książek anarchisty Proudhona, finansował redagowaną przez Mickiewicza „La Tribune des Peuples", a witając z radością Wiosnę Ludów, stwierdził, że nareszcie w Europie można swobodnie oddychać. Z drugiej strony hojnie wspierał inicjatywy niepodległościowe, wyposażył Władysława Zamoyskiego w pieniądze na formowanie oddziałów polskich w armii sardyńskiej, pomagał Polakom, uczestnikom powstania węgierskiego, którzy po jego upadku przedostali się do Turcji.

Mikołaj I rozkazał mu wracać do Rosji, Branicki ani o tym myślał. Oczywiście majątek został mu skonfiskowany, tyle że sprytna matka uprzedziła to i przetransferowała należące do niego znaczne sumy do Francji. Branicki pomnożył nadesłane pieniądze, okazał się bowiem rzutkim biznesmenem. Wraz z Wołowskim, polskim frankistą założył Crédit Foncier, wielką instytucję finansową, zaangażował się w budowę linii kolejowych. Żył bogato, zbytkownie – jego rezydencją był zamek w Montrésor – miał z czego finansować inicjatywy polskich emigrantów, niepodległościowe i społeczne, wspierał m.in. polską szkołę na Batignolles w Paryżu.

A o Rosji we wstępie do swojej książki pt. „Narodowości słowiańskie" napisał: „Cechą odznaczającą rząd rosyjski jest absolutne zaprzeczenie tego, co cywilizacja wyniosła z Grecji i Rzymu, a utwierdziła na Zachodzie pod nazwą wolności osobistej, poszanowania życia ludzkiego i własności indywidualnej". Dodawał, że w Rosji „podług programu azjatyckiego ludzie nie mają praw, a wszystkie ich obowiązki polegają na bezmyślnym posłuszeństwie".

O dziadku targowiczaninie nie wyrażał się źle, być może z przekory. Odrzucił jednak propozycję kupienia i spalenia obrazu Matejki „Rejtan", na którym artysta uwiecznił Franciszka Ksawerego Branickiego i Stanisława Szczęsnego Potockiego, nieco przesuwając ich zdradę w czasie.

Brat Ksawerego – Aleksander – uznawał, jak pisała Teresa Zielińska, swoje życie „za nieustanne spłacanie długu narodowi jako wnuk haniebnej pamięci Franciszka Ksawerego". Za sympatie do powstania styczniowego został na krótko zesłany do Saratowa, a potem wydalony z Rosji. Nabył zamek w Suchej w Galicji, zgromadził tam duży księgozbiór, składający się w znakomitej większości z pozycji o Polsce lub Polski dotyczących. Pasjonował się ornitologią i entomologią, w tym celu odbywał wyprawy do Egiptu, Afryki, także z podzielającym jego pasję bratem Konstantym, przywożąc liczne okazy fauny do Warszawy. Stały się trzonem przyrodniczego Muzeum Branickich, założonego przez Ksawerego, syna Konstantego.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3b69ca0f16

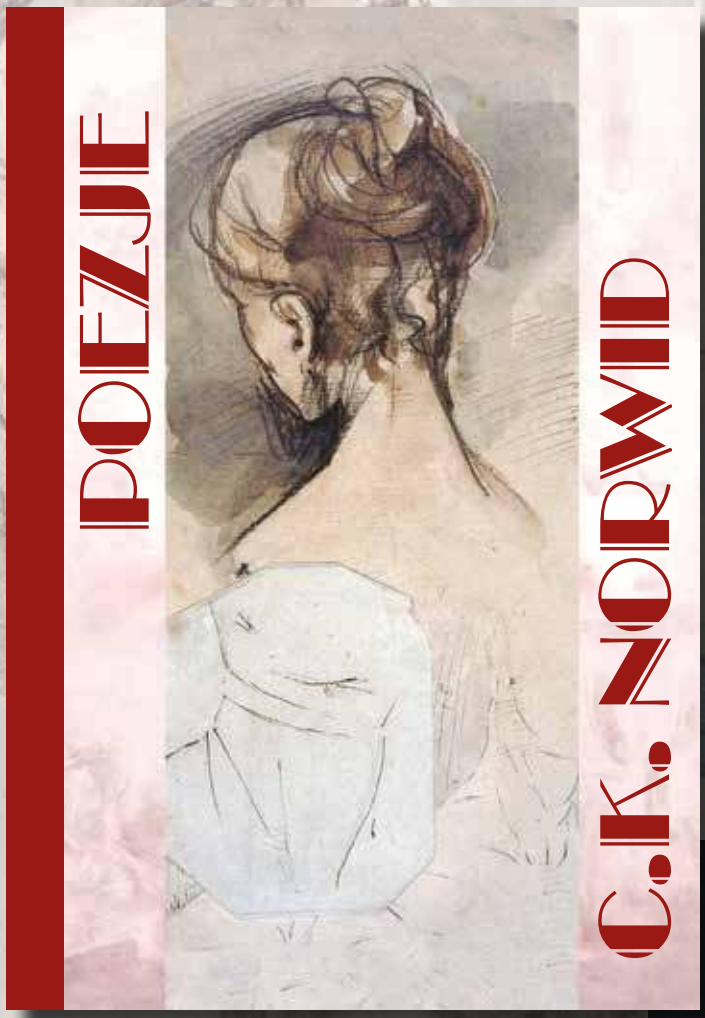

FUNDACJA RATOWANIA DZIEDZICTWA NARODOWEGO
CYMELIUM

www.cymelium.pl

Wznowienie na podstawie wydania z 1863 roku z rysunkami Cypriana Kamila Norwida.

Reprint oryginału z 1929 roku, opisujący obrzędy i tradycje związane z trzema przełomowymi chwilami w życiu człowieka- narodzinami, małżeństwem i śmiercią.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

www.sklep.graf-ika.pl
e-mail: sklep@graf-ika.pl

eprasa.pl 3b69ca0f16

1941 r. / Gra o Bliski Wschód

Brytyjczycy w pojeździe pancernym Rolls-Royce/Fordson

FOT. IMPERIAL WAR MUSEUM/WIKIPEDIA

Antybrytyjska rebelia Iraku

Arkadiusz Karbowiak

Arabowie byli wściekli na imigrację żydowską, Brytyjczycy chcieli zachować obszary roponośne, a Niemcy i Włosi – je zdobyć

Przystąpienie Włoch do wojny po stronie III Rzeszy w czerwcu 1940 r. początkowo nie wpłynęło na wzrost zainteresowań Berlina pozaeuropejskimi teatrami działań wojennych. Jednak słabość włoskiego sojusznika, przekładająca się na klęski militarne ponoszone w Afryce i na Bałkanach, zmusiła wodza III Rzeszy do zrewidowania swojego stanowiska. Zrozumiał on, że utrzymanie się Regio Esercito w Afryce będzie możliwe tylko dzięki udzieleniu przez Niemcy pomocy wojskowej. Dlatego na „czarny kontynent" wyekspediowany został specjalnie przystosowany do walk na pustyni Deutsches Afrikakorps (DAK), dowodzony przez generała, a potem feldmarszałka Erwina Rommla.

Zaangażowanie DAK w toczone z aliantami walki postawiło na porządku dziennym sprawę wyznaczenia celów, jakie należy osiągnąć w toczącej się kampanii. Jednym z nich miało być zajęcie ważnych ze strategicznego punktu widzenia obszarów Bliskiego Wschodu, stanowiących surowcowy rezerwuar Brytyjczyków. Tam właśnie znajdowały się bogate złoża ropy naftowej. Przejęcie nad nimi kontroli przez państwa Osi pozbawiłoby Wielką Brytanię możliwości dalszej ich eksploatacji i stworzyło trudności w zaopatrzeniu wojsk brytyjskich i całej gospodarki imperium w ten niezwykle cenny produkt.

Część bliskowschodnich arabskich elit politycznych była zainteresowana kooperacją z III Rzeszą. Dla Niemców sprawa nawiązania z nimi bliższych relacji była o tyle delikatna, że wiązała się z koniecznością porozumienia w tej kwestii z włoskimi partnerami, jako że Bliski Wschód sąsiadował z basenem Morza Śródziemnego, uznawanym za włoską strefę wpływów. Dodatkowo współpraca z antybrytyjskimi ośrodkami nacjonalistycznymi, głoszącymi hasła panarabskie, niepodległościowe, antykolonialne, stanowiła pewien problem dla dążącego do poszerzania swego kolonialnego imperium Rzymu. Mussolini miał świadomość, że te idee mogły rykoszetem uderzyć we włoskie panowanie w Afryce i zachwiać nim.

Drugim powodem daleko idącej ostrożności w grze kartą arabskiego nacjonalizmu był podpisany w Compiègne układ o zawieszeniu broni z Francją. Co prawda państwo francuskie nie było sojusznikiem III Rzeszy, ale krajem neutralnym, jednak zawarty rozejm przyznawał Francuzom możliwość dalszego władania imperium kolonialnym. Wspar-

eprasa.pl 3b69ca0f16

cie arabskich nacjonalistów w koloniach brytyjskich lub krajach od Wielkiej Brytanii uzależnionych nie pozostałoby zapewne bez wpływu na aktywizację działalności nacjonalistów syryjskich i libańskich. Podminowanie pozycji Francji w Libanie i Syrii skomplikowałoby sytuację władz Vichy i doprowadziło do wzrostu znaczenia Komitetu Wolnej Francji generała Charles'a de Gaulle'a, któremu łatwo byłoby ogłosić się obrońcą rozpadającego się z woli Niemców francuskiego imperium.

Wspomniane ograniczenia uniemożliwiały Berlinowi swobodne posłużenie się arabskim nacjonalizmem w rozgrywce z Brytyjczykami na Bliskim Wschodzie. To stwierdzenie nie oznacza jednak, że Niemcy nie podjęli żadnych działań związanych z ustanowieniem w krajach tego regionu przychylnych sobie rządów.

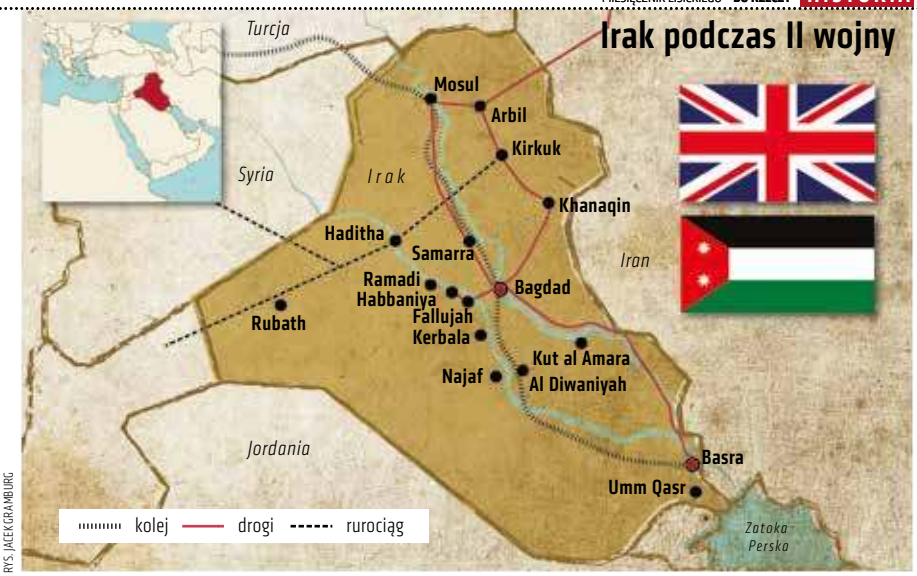

RYS. JACEK GRAMBURG

Premier i mufti

Zwycięstwo Wehrmachtu w wojnie z Francją zwiększyło prestiż III Rzeszy w krajach arabskich. Tamtejsi nacjonaliści, dążący do wyrugowania z Bliskiego Wschodu m.in. brytyjskich wpływów kolonialnych i stworzenia bloku suwerennych państw arabskich, zaczęli intensywnie poszukiwać kontaktów z Niemcami, dostrzegając w Berlinie siłę mogącą im w tym dziele dopomóc. Państwem, gdzie te tendencje najpełniej się ujawniły, był Irak. Kraj ten cieszył się stosunkowo dużym zakresem suwerenności, a także, co ważne, posiadał pewien prestiż w świecie arabskim. Nie bez znaczenia był też fakt dysponowania przez Irakijczyków stosunkową liczną, bo 60-tysięczną armią.

Władzę w Bagdadzie sprawował w imieniu małoletniego króla Fajsala II, zdecydowanie probrytyjski regent Abd al-Ilah wspierany przez premiera Nuri as-Sa'ida. Jednak istotny wpływ na iracki rząd miała grupa nastawionych nacjonalistycznie pułkowników nazywana złotym kwadratem. Czołowymi postaciami tej nieformalnej struktury byli Salah ad-Din as-Sabbagh – dowódca 3. Dywizji Piechoty, Kamal Szabib – dowódca 1. Dywizji Piechoty, Fahmi Sa'id – dowódca oddziałów zmotoryzowanych, Mahmud Salman – dowódca lotnictwa.

Przełomem w dotychczas probrytyjskiej polityce Iraku było objęcie funkcji premiera rządu w marcu 1940 r. przez Raszida Ali al-Kilaniego – polityka o poglądach konserwatywnych, będącego zwolennikiem współpracy z Niemcami. Owa chęć kolaboracji z III Rzeszą nie była wynikiem jakieś fascynacji ideami narodowosocjalistycznymi, lecz kalkulacji politycznych, które miały przynieść wzmocnienie pozycji Iraku na arenie międzynarodowej i uniezależnienie państwa od Wielkiej Brytanii.

Politykę zbliżenia z Berlinem wspierał duchowy przywódca muzułmański, mufti Jerozolimy, Amin al-Husseini. Należał on do grona polityków o nastawieniu zdecydowanie antybrytyjskim. Jego wrogość wobec Londynu była pokłosiem sporów, które toczył z przedstawicielami administracji mandatowej w Palestynie od początku lat 20, sprzeciwiając się systematycznemu napływowi ludności pochodzenia żydowskiego. Brytyjska przychylność dla osadnictwa Żydów w Palestynie wywoływała niezadowolenie ze strony arabskiej społeczności. Jej rzecznikiem i jednocześnie krytykiem brytyjskiej polityki, był właśnie Amin al-Husseini.

Radykalne wystąpienia muftiego podgrzewały i pogłębiały wrogie wobec Żydów nastroje i destabilizowały sytuację wewnętrzną w Palestynie. W konsekwencji dochodziło do antyżydowskich rozruchów. Kiedy mufti wsparł wywołane w 1936 r. powstanie arabskie, Brytyjczycy postanowili go aresztować. Husseini zbiegł wówczas początkowo do Libanu, a potem do Iraku. Jego walka z żydowską emigracją przyniosła mu szacunek w świecie arabskim. Mufti dążył do stworzenia bloku niezależnych państw arabskich. Aby stało to się faktem, konieczne było związanie się z mocarstwem zainteresowanym zmianą układu geopolitycznego funkcjonującego na Bliskim Wschodzie.

Kontakt z Rzeszą

Stąd wynikała jego chęć współdziałania z III Rzeszą i poparcie dla al-Kilaniego. Ten ostatni jednak wbrew pozorom początkowo nie zamierzał całkowicie zrywać stosunków z Wielką Brytanią ani się z tym państwem konfliktować. Przejawem tej polityki było wyrażenie zgody, choć obwarowane różnymi zastrzeżeniami, na czasowy pobyt wojsk brytyjskich w Al-Basrze, gdzie znajdowała się baza Królewskich Sił Powietrznych – RAF. Równolegle przedstawiciele jego rządu próbowali nawiązywać stosunki z politykami niemieckimi. Pierwszy kontakt miał miejsce w Turcji. Tam właśnie minister sprawiedliwości Iraku Nadzi Szukat spotkał się 5 lipca 1940 r. z ambasadorem Franzem von Papenem. Minister podczas rozmowy zaproponował powtórne nawiązanie stosunków dyplomatycznych pomiędzy III Rzeszą a Irakiem, zerwanych 5 września 1939 r. przez Bagdad, pod naciskiem brytyjskim.

Nie tylko rząd podejmował takie inicjatywy. Drugi kanał kontaktowy stworzył sekretarz Husseiniego, Kemal Haddad. Przedłożył on władzom niemieckim napisany przez Husseiniego projekt deklaracji popierającej niepodległość krajów arabskich Syrii, Libanu, Transjordanii, Palestyny, Kuwejtu, Omanu, Muskatu i Jemenu Południowego. W zamian mufti obiecywał nawiązanie stosunków z Irakiem, uzyskanie na

eprasa.pl 3b69ca0f16

preferencyjnych warunkach koncesji na wydobycie ropy naftowej, usunięcie probrytyjskiego szefa irackiego MSZ i wywołanie antybrytyjskich powstań w Transjordanii i Palestynie. Pokłosiem jego inicjatywy była deklaracja nadana w październiku 1940 r. przez radio berlińskie, w której państwa Osi wyraziły poparcie oraz sympatię wobec arabskich dążeń niepodległościowych. Mufti był tym dokumentem bardzo rozczarowany, nie zawierał on bowiem żadnych konkretnych oczekiwanych przez niego sformułowań.

Wysunięta przez władze irackie propozycja nawiązania relacji dyplomatycznych z Niemcami, spotkała się oczywiście z negatywnym stanowiskiem Londynu. Brytyjscy dyplomaci zaczęli domagać się coraz bardziej natarczywie zmiany na stanowisku premiera. Presję na rządu iracki w kwestii pogłębienia współpracy z Wielką Brytanią wywierali również Amerykanie i Turcy. Te naciski skłoniły Kilaniego do jednoznacznego opowiedzenia się po stronie państw Osi. W warunkach toczącego się konfliktu niemożliwe okazało się prowadzenie polityki polegającej na jednoczesnej współpracy z dwoma wojennymi blokami. Konsekwencją dokonanego wyboru było zwrócenie się do Niemiec o udzielenie finansowego wsparcia oraz zakup broni i amunicji. W niemieckim MSZ zaczęto analizować możliwości realizacji tej propozycji. Pomimo opracowania kilku wariantów na żaden nie potrafiono się jednak zdecydować.

Tymczasem skuteczne okazały zabiegi brytyjskie zmierzające do usunięcia z fotela premiera Kilaniego, co nastąpiło w styczniu 1941 r. Nowym szefem rządu został Taha al-Haszimi, polityk bardziej skłonny do współpracy z Wielką Brytanią. Ta zmiana zachęciła Berlin do podjęcia bardziej ofensywnej polityki wobec Iraku, choć nim do tego doszło, główny zwolennik niemieckiego zaangażowania – Joachim von Ribbentrop – musiał w tej sprawie pokonać opór zarówno OKW, jak i samego kanclerza.

W Auswärtiges Amt (niemieckie ministerstwo spraw zagranicznych) ścierały się ze sobą w kwestii irackiej dwa stanowiska. Pierwsze było reprezentowane przez podsekretarza stanu Ernsta Wöremanna, który uważał, że trzeba ostrożnie wspierać środowiska antybrytyjskich dysydentów, a konkretnej pomocy udzielić dopiero wtedy, gdy przejmą one władze. Inną optykę prezentował minister spraw zagranicznych Ribbentrop. Uważał on, iż trzeba wspólnie z Włochami podjąć działania na rzecz przyspieszenia momentu wybuchu antybrytyjskiej rebelii, a gdy wybuchnie, udzielić jej stosownej pomocy. Ponadto obaj panowie byli zgodni co do tego, że konieczne jest zintensyfikowanie działań propagandowych i wywiadowczych w Iraku. Wydano nawet deklarację wspierającą arabskie dążenia niepodległościowe. Treść była bardziej zdecydowana od poprzedniego dokumentu, ogłoszonego przez radio berlińskie, ale wciąż odległa od tego, co chcieli usłyszeć Husseini i inni liderzy ruchu panarabskiego.

Arabscy legioniści i brytyjskie samoloty Gloster Gladiator FOT. WIKIPEDIA

Operacja „Sabine”

Wiosną 1941 r. wydarzenia w Iraku nabrały tempa. 1 kwietnia 1941 r. doszło w kraju do zamachu stanu, który wyniósł na stanowisko premiera al-Kilianiego. Przewrót zorganizowały środowiska oficerów związanych ze złotym kwadratem. Zmiany, jakie zaszły w sytuacji militarnej w Europie i Afryce, bez wątpienia sprzyjały zamachowcom. Na północnoafrykańskim froncie pod koniec marca 1941 r. ruszyła ofensywa wojsk państw Osi, a 6 kwietnia rozpoczęła się na Bałkanach, skierowana przeciwko Grecji i Jugosławii, operacja „Fall Marita”. Oba te wydarzenia spowodowały konieczność przesunięcia w rejony toczących się walk sporej części sił armii brytyjskiej. Ale pomimo tego Londyn nie zamierzał dać za wygraną i uznać nowych władz irackich, choć nie zerwał z nimi stosunków.

Natomiast sztab generalny podjął, za aprobatą Churchilla, przygotowania do inwazji na Irak (operacja „Sabine”). Do jej przeprowadzenia Brytyjczycy potrzebowali czasu, ponieważ jednostki mające wziąć w niej udział musiały być ściągnięte z Indii. Aby go uzyskać, starano się wciągnąć władze w Bagdadzie w długotrwałe rokowania na temat stacjonowania wojsk brytyjskich. Premier Iraku zwrócił się wtedy po raz kolejny do władz III Rzeszy za zapytaniem o możliwość dostarczenia pomocy w postaci broni i amunicji. Ribbentrop przekonał ostatecznie do wyrażenia zgody na realizację tych postulatów sceptycznego początkowo w tej kwestii Hitlera. Kanclerz dodatkowo zdecydował się na ustanowienie stałych kontaktów

eprasa.pl 3b69ca0f16

z rządem irackim oraz zapewnienie pomocy lotniczej.

W Iraku tymczasem rozgorzały walki pomiędzy wojskami brytyjskimi a irackimi. Doszło do nich ze względu na systematyczne powiększanie liczebności brytyjskiego kontyngentu wojskowego, na co Irakijczycy odpowiedzieli notą protestacyjną oraz otoczeniem przez armię bazy lotniczej w Al-Habbaniji. 2 maja 1941 r. samoloty RAF zbombardowały pozycje irackie usytuowane wokół bazy, rozpoczynając zbrojną konfrontację. Teoretycznie armia iracka była znacznie silniejsza niż liczące 9 tys. żołnierzy oddziały brytyjskie. Jednak lepsze morale, uzbrojenie, poziom wyszkolenia i przewaga w powietrzu były atutami Brytyjczyków. Wkrótce zaczęli oni powiększać liczebność swych jednostek, których trzon stanowiła 10. Hinduska Dywizja Piechoty. Służyli w niej, obok sikhów, znani z waleczności górale nepalscy Gurkowie.

Wkraczają Niemcy

Także Niemcy rozpoczęli praktyczną realizację wcześniej złożonych stronie irackiej obietnic. 10 maja 1941 r. pojawił się w Bagdadzie przedstawiciel III Rzeszy dr Fritz Grobba. Poseł przekazał Al-Kilaniemu 10 tys. funtów w złocie, natomiast mufti obdarowany został kwotą 30 tys. dol. W kolejnych dniach środki te uległy zwiększeniu, ale Niemcom nie udało się do momentu upadku powstania wydać całej zaplanowanej na akcję iracką kwoty – 1,5 mln marek. Rebeliantów zaczęła wspierać Abwehra.

Na terytorium Iraku wkroczyła część utworzonej jeszcze w 1940 r. przez niemiecki wywiad tzw. brygady arabskiej, złożonej z przebywających w Rzeszy arabskich volksdeutschów i ochotników. Formacja ta wzięła udział zarówno w walkach frontowych, jak i w działaniach dywersyjno-sabotażowych, prowadzonych pod dowództwem oficerów z Lehr Regiment Brandenburg z b.V 800, czyli 800. Szkolnego Pułku do zadań Specjalnych Brandenburg. Zasadniczą kwestią mogącą zadecydować o zwycięstwie rebeliantów były dostawy uzbrojenia i wsparcie lotnicze.

Wywiązanie się z tych zobowiązań nie było łatwe z uwagi na odległości, jakie zmuszone były pokonać niemieckie samoloty. Jednorazowy przelot z miejsca startu do jakiegokolwiek miasta w Iraku nie wchodził w grę, konieczne było bowiem lądowanie w Syrii. Syria znajdowała się pod kontrolą państwa francuskiego. Aby móc wykorzystać syryjskie lotniska, trzeba było uzyskać akceptację Francuzów na przeprowadzenie takiej operacji. W dniach 5–7 maja 1941 r. odbyły się w Paryżu rozmowy niemiecko-francuskie. Prowadzili je ambasador Otto Abetz, pełnomocnik OKW gen. Vogel i adm. Francois Darlan. Francuski premier wyraził zgodę na tranzyt przez Syrię materiałów wojennych z Rzeszy, lądowanie samolotów niemieckich na syryjskich lotniskach i przekazanie broni z magazynów armii znajdującej się pod kontrolą włoskiej misji rozbrojeniowej.

Dzięki temu porozumieniu dostarczono do Iraku 15,5 tys. karabinów, 4 działa kal. 75 mm, 8 dział kal. 155 mm, 200 karabinów maszynowych, 354 pistolety maszynowe, 32 ciężarówki. Wsparcie lotnicze wojskom irackim zapewnić miała jednostka Fliegerführer Irak. Jej dowódcą został pułk Werner Junk. Składała się ona z 14 Me-110, 7 bombowców typu He-111 i 13 transportowców Ju-52 i Ju-90 (część z nich odesłano do działań na Krecie). Nie były to duże siły. Sztab Fliegerführer ulokowano w Mosulu i podporządkowano go, działającemu od 21 maja 1941 r. na terytorium Grecji, ośrodkowi koordynującemu niemieckie działania w Iraku, znanemu pod nazwą Sonedestab F. Kierował nim generał niemieckiego lotnictwa Hellmuth Felmy.

Wysłannikiem Fliegerführer wyznaczonym do kontaktu z władzami irackimi był syn feldmarszałka Wernera von Blomberga, mjr Alex von Blomberg. W trakcie podróży do Bagdadu 15 maja 1941 r. jego samolot został przypadkowo ostrzelany przez Irakijczyków w wyniku czego poniósł on śmierć.

Tego samego dnia samoloty Luftwaffe, występujące w irackich barwach rozpoznawczych, po raz pierwszy zaatakowały wojska brytyjskie. 23 maja 1941 r. Hitler wydał w sprawie pomocy dla Iraku sławną dyrektywę nr 30. Ale wojska irackie ponosiły w starciach z Brytyjczykami sromotne klęski. Pod koniec maja na skutek strat do zaledwie dwóch samolotów skurczyły się siły niemieckiego kontyngentu lotniczego. Co prawda na pomoc Luftwaffe przybyło 12 włoskich myśliwców CR-42, ale nie mogły one wpłynąć na wynik walk, ponieważ wzięły w nich udział jedynie w ostatnim dniu operacji w Iraku.

29 maja 1941 r. Niemcy opuścili Mosul, następnego dnia wyjechał dr Grobba. 31 maja do niebronionego Bagdadu wkroczyły wojska brytyjskie. Rebelia upadła. Al-Kilani oraz Amin al-Husseini opuścili Irak i przez Iran i Turcję dostali się do Włoch, a potem do Niemiec. Obaj zmarli na emigracji w Libanie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Ilustracja Franka Wottona przedstawiająca brytyjski atak podczas bitwy o Habbaniję

FOT. HISTORYNET.COM

eprasa.pl 3b69ca0f16

Piotr Semka

Epopeja belgijskiego oddziału, walczącego w Rosji, który okrążył kulę ziemską, aby wrócić do kraju, rozpala do dziś wyobraźnię Flamandów i Walonów

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

1915–1918 / 400 Belgów na froncie w Rosji

Pancerne zuchy króla Alberta

W Polsce dawno już zapomniano o ogromnej popularności, którą w latach pierwszej wojny światowej zdobyła Belgia z królem Albertem II. To dysponujące niewielką armią państwo, położone między Morzem Północnym a Ardenami, padło w sierpniu 1914 r. ofiarą agresji Niemiec. Plan feldmarszałka Alfreda von Schlieffena zakładał szybkie podbicie Belgii i następnie zajęcie Paryża. Ta koncepcja strategiczna z całkowitym cynizmem zakładała z góry zlekceważenie neutralności skromnego królestwa. Już sam ten fakt oburzył Europę i skłonił m.in. Wielką Brytanię do przystąpienia do wojny. Belgia dodatkowo zdobyła szacunek wielu narodów swoją odważną walką przeciwko pruskiej gigantycznej machinie wojennej. Poza tym świat obiegły informacje o brutalności Prusaków, którzy palili, mordowali i gwałcili. Uchodźców z Belgii przyjmowano z otwartymi rękami w Wielkiej Brytanii i we Francji.

Jesienią 1914 r. powstrzymano niemiecki napór z pomocą wojsk francuskich i brytyjskich. Król nadal rządził formalnie swoim państwem z niewielkiego skrawka Belgii nad Morzem Północnym. Linia frontu ustabilizowała się na wysokości miasta Ypres, a walki zamieniły się w wojnę pozycyjną na wyniszczenie. W tym samym czasie car Rosji Mikołaj II zwrócił się do Belgii z propozycją wysłania na front wschodni jakiegoś oddziału belgijskiego. Była to powszechna wówczas moda zarówno w wypadku aliantów, jak i państw centralnych. Przykładowo: na froncie zachodnim walczył

eprasa.pl 3b69ca0f16

Pojazd pancerny belgijskiego korpusu ekspedycyjnego w Rosji FOT. WIKIPEDIA

specjalny korpus ekspedycyjny armii rosyjskiej. Dla odmiany Turcja wysłała w 1916 r. 30-tysięczny korpus XV armii osmańskiej na front wschodnio-galicyjski. Obie strony chciały w ten sposób zademonstrować, że prowadzą wojny nie tyle dla własnych interesów, lecz także bronią pewnych idei. W wypadku Niemiec, Austrii, Turcji i Bułgarii była to walka z rosyjskim imperializmem. W wypadku aliantów podkreślano z kolei antycywilizacyjny rys niemieckiej agresji, którego symbolem były zbrodnie armii kajzerowskiej w Belgii.

W Moskwie i w całej Rosji powstawały komitety pomocy dla uchodźców belgijskich, a prasa rosyjska przedstawiała Króla Alberta II jako wzór niezłomności walki z „Giermańcami". Albert – świadomy tego, jak duże znaczenie dla jego poddanych mają demonstracje solidarności z Belgią na całym świecie – potraktował propozycję Petersburga z najwyższą uwagą. Sztabowcy doradzili monarsze, by Rosjanom wysłał na pomoc jednostkę samochodów pancernych. Wskutek przejścia do walk pozycyjnych popularne „pancerki" nie miały na razie szerszego zastosowania.

Należy pamiętać, że Belgia przed wojną należała do producentów wysoko cenionej broni. Belgijska wytwórnia samochodów marki Minerva wprowadziła już parę lat przed wojną linię samochodów pancernych budowanych na podwoziach luksusowych limuzyn. Były to tzw. wozy Mors-Minerva. Chociaż nie były w stanie szturmować umocnionych pozycji, zapewniały piechocie mobilne wsparcie ogniowe oraz wykonywały zwiad, rozpoznanie i inne role podobne do kawalerii. Pojazdy były uzbrojone w karabiny maszynowe, osiągały prędkość 40 km/h, napędzał je solidny silnik 16CV i miały bardzo dobre pancerze. O ich walorach bojowych świadczy fakt, że Niemcy, którzy też rozbudowywali w czasie wojny wojska pancerne, wykorzystali wszystkie zdobyte pojazdy Mors-Minerva na froncie walk z Rumunią w 1916 r.

Wróćmy jednak do przygód Belgów w Rosji. Z powodów formalnoprawnych belgijski oddział nie mógł być wysłany pod czarno-żółto-czerwonym sztandarem. Formalnie Belgia po złamaniu jej neutralności przez Niemców walczyła jedynie z państwem kajzera. Ustalono więc, że Belgowie będą w sensie prawnym ochotnikami, którzy zgłaszają się do armii rosyjskiej. 1 grudnia 1914 r. belgijski oddział przybył do Paryża, gdzie powołano korpus ekspedycyjny, a po przeszkoleniu 21 września 1915 r. „zuchy Króla Alberta" wypłynęły brytyjskim statkiem s/s „Wray Castle" z Brestu w kierunku Rosji.

Odważni sojusznicy

13 października 1915 r. ponad 400 Belgów dopłynęło do Archangielska na północy Rosji. Siedem dni później wraz ze swoimi samochodami pancernymi przybyli koleją do Piotrogrodu i zostali zakwaterowani w okolicy carskiej rezydencji Peterhof, położonej ok. 50 km od ówczesnej stolicy Rosji. 6 grudnia odbyła się uroczysta defilada korpusu ekspedycyjnego w obecności cara Mikołaja II w Carskim Siole. W Rosji do jego szeregów dołącza 33 Rosjan. Korpus posiada 58 pojazdów, w tym 12 pojazdów opancerzonych Minerva, a także 23 motocykle i 120 rowerów.

W połowie stycznia 1916 r. Belgowie zostali wysłani na front galicyjski, który był wówczas przedmiotem zmartwień rosyjskiego sztabu generalnego. Jednostka wysłana przez króla Alberta walczyła na terenach, które są Polakom bliskie. Belgowie stacjonowali w koszarach w Zbarażu koło Tarnopola. 16 czerwca jednostka

eprasa.pl 3b69ca0f16

Żołnierz belgijskiego korpusu ekspedycyjnego i okładka wspomnień z Rosji FOT. WIKIPEDIA

przeszła chrzest bojowy, uczestnicząc w ofensywie generała Aleksieja Brusiłowa w czasie bitwy z Austriakami pod Worobiewką. Potem jednostka zdobyła wysokie oceny Rosjan, walcząc 11 sierpnia 1916 r. pod Cebrowem i Jeziorną. Wreszcie w tym samym sierpniu 1916 r. uczestniczyli w bitwie pod Zborowem, która najbardziej jest znana z odważnego udziału jednostek czechosłowackich walczących przeciwko Austriakom u boku Rosjan. Sierpniowe boje były tak wyczerpujące dla belgijskiej jednostki, że we wrześniu 1916 r. przesunięto je na wypoczynek do Buczacza, a potem do Kosowa, Czortkowa i Jeziorny.

W grudniu 1916 r. rozpoczęto w wojskach belgijskich rekrutację do drugiego kontyngentu korpusu w Rosji, który dotarł tam w połowie czerwca 1917 r. Zasileni świeżymi rekrutami Belgowie zostali znów wysłani na front galicyjski. Tym razem przybysze z zachodu służyli już Rządowi Tymczasowemu pod wodzą Aleksandra Kiereńskiego. Na froncie galicyjskim trwał wtedy wszczynany przez bolszewików rozkład moralny armii rosyjskiej. Kiereński miał nadzieję, że przybycie jednostki belgijskiej o wysokim morale bojowym wpłynie pozytywnie na zachowanie żołnierzy rosyjskich. Jednostka króla Alberta wzięła udział w bitwie pod Koniuchami (2 lipca 1917 r.) i Kosowem (21 lipca 1917 r.).

W sierpniu 1917 r. zostali wycofani do Zbaraża, a po wybuchu rewolucji październikowej nastąpiło zamrożenie działań wojennych z rozkazu Lenina. W grudniu 1917 r. oddział wycofano ze strefy frontowej i przerzucono do Kijowa. Belgowie zaczynają się zastanawiać, jak wydostać się z rosyjskiej otchłani wobec coraz wyraźniejszych oznak dogadywania się bolszewików z Niemcami. Samochody pancerne niszczą, aby nie wpadły w ręce Czerwonej Gwardii, a część broni wymieniają na pokaźne zapasy samogonu. To była wtedy najlepsza waluta w Rosji ogarniętej wojną domową.

De profundis

Droga na zachód zablokowana jest frontem niemieckim, a ze szlaku północnego wiodącego do Murmańska i Archangielska dochodzą sygnały o wyłapywaniu przez bolszewików oficerów alianckich próbujących wydostać się z Rosji. W lutym 1918 r. docierają do Moskwy. Na szczęście dla Belgów jest jeszcze stosunkowo wczesna faza rewolucji rosyjskiej, w której Lenin próbuje jak najdłużej grać na neutralność Wielkiej Brytanii i Francji wobec rewolucji.

Bolszewicy zgadzają się na wyjazd Belgów w kierunku Władywostoku trasą transsyberyjską. Podróżują przez Wołogdę, Perm, Jekaterynburg, Omsk, Irkuck i Czytę, a 27 maja przedostają się do Mandżurii. Do Władywostoku, miasta kontrolowanego już przez wojska ententy, przybywają 18 kwietnia 1918 r. To właśnie ten powrót do kraju okrężną drogą przez Syberię skłonił potem korpus Czechów i Słowaków, którzy walczyli razem z Belgami pod Zborowem, do wyboru tej samej trasy niedługo później.

24 kwietnia 1918 r. zostają zaokrętowani na statek s/s „Sheridan", by dotrzeć ponad trzy tygodnie potem, 12 maja, do portu w San Francisco. Przybywają akurat w momencie wielkiej kampanii werbunkowej do Armii USA. Ameryka wysyła właśnie swe oddziały za Atlantyk do walki z armią kajzera. Belgowie odbywają tournée propagandowe: San Francisco – Salt Lake City – Ogden – Des Moines – Chicago – Nowy Jork. Wszędzie czekają na nich pełne entuzjazmu tłumy i zaproszenia do uroczystych parad patriotycznych, w których tak lubują się Amerykanie. W końcu, 15 czerwca 1918 r. wsiadają w Nowym Jorku na pokład s/s „Lorrain" i 24 czerwca przybywają do Bordeaux. Zostają zgrupowani w obozie wojskowym w Eu. To tu 16 lipca 1918 r. następuje oficjalne rozwiązanie jednostki. Za parę miesięcy skończy się wojna i żołnierze Korpusu wrócą do ojczyzny w aurze bohaterów.

Większość z nich z ulgą wspominała wyrwanie się z kraju bolszewików. Z jednym wyjątkiem. Były żołnierz Korpusu Julien Lahaut został po powrocie do Belgii żarliwym komunistą. Doszedł nawet do stanowiska I sekretarza Komunistycznej Partii Belgii, ale nie przyniosło mu to szczęścia. W 1950 r. został zastrzelony w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach.

Epopeję odważnych Belgów przyćmiła druga wojna światowa. Dopiero od niedawna Walonowie i Flamandowie zaczęli przypominać sobie o „zuchach króla Alberta". Muzeum wojska w Brukseli rekonstruuje samochód pancerny Mors-Minerva, a niezwykłej przygodzie Belgów w Rosji poświęcono w 2015 r. pełnometrażowy film animowany „Cafard".

Nawet małe narody potrzebują własnych legend.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3b69ca0f16

#włączprawdę

REPUBLIKA

DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

eprasa.pl 3b69ca0f16

Krzysztof Masłoń

1931–1988 / Najgłośniejszy „naturszczyk" PRL

Himilsbacha jazda na puentach

Za dwa lata minie ćwierć wieku, odkąd nie ma go między żywymi. Jako aktor przetrwał dzięki powtarzanym w nieskończoność filmom i serialom („Jan Serce"!), ale co z Himilsbachem pisarzem?

Zmarły siedem lat temu Zbigniew Irzyk, krytyk literacki przez dłuższy czas przyjaźniący się z Janem Himilsbachem, nie tylko aktorem – jak sądzi dziś młodzież – lecz także pisarzem, tak pisał o twórcy „Monidła":

„Na sławę Janka Himilsbacha po pierwsze złożył się film, po drugie legenda, anegdoty powtarzane z ust do ust, niekoniecznie prawdziwe, i po trzecie fama pisarza, który koncentrował się na człowieku, a nie na systemie. Dziś wydaje się nam to normalne, ale w czasach socrealizmu to podejście było nowatorskie i odkrywcze. Bohaterowie Himilsbacha, mimo tego, że zwykle pochodzili z nizin społecznych, walczyli o prawo do miłości, wolności i samorealizacji. Janek pokazał ten swój świat z innej perspektywy niż na przykład Uniłowski, który opisywał życie lumpenproletariatu z punktu widzenia inteligenta, była to dla niego egzotyka. A opowiadania Himilsbacha przedstawiały realia, w których się wychował. On nic nie miał, jego bohaterowie też nic nie mieli. Nikt nikomu niczego nie zazdrościł. W jego opowiadaniach widać zadziwiającą różnorodność postaci, każda z nich ma swój własny mikrokosmos. Nawet na takim najniższym, wydawałoby się szczeblu egzystencji. Alkoholik budzi się rano z ciężkim kacem. Boli go głowa, łomocze serce, nie chce mu się wstać. Ale zwleka się z łóżka i idzie pod budkę z piwem, bo musi »wyleczyć się« ze złego samopoczucia. Jest na swój sposób bohaterem, choć przeżywa swój dramat egzystencjalny na najniższym pułapie.

FOT. PIOTR BARACZ/EAST NEWS

eprasa.pl 3b69ca0f16

Jego myślenie i świadomość społeczna są zawężone do podstawowych dylematów: skąd wziąć pieniądze na alkohol, z kim się napić, gdzie się przespać i z kim, czy ona go nie okradnie… I to jest ten świat autentyczny. Sprawdzalny".

Za dwa lata minie ćwierć wieku, odkąd Himilsbacha nie ma między żywymi. A przecież przetrwał dzięki powtarzanym w nieskończoność filmom i serialom („Jan Serce"!), ale co z Himilsbachem pisarzem?

No cóż, Jerzy S. Sito, człowiek elegancki i światowy, późniejszy prezes, wiceprezes, a nawet ambasador, tłumacz Szekspira i Eliota, po przyjeździe z Anglii do Polski w roku 1959 szybko stał się ważną postacią wśród literatów. Wszystkich ciekawił autor powracający z Zachodu, z Londynu i Cambridge, on zaś poznawał nowych kolegów po piórze. Któregoś dnia w barze Jontek na Wiejskiej spotkał Himilsbacha, który – cytuję Romana Śliwonika – „zaprosił go na drinka. Sito zaproszenie przyjął i udali się na przyjęcie do sąsiedniej kamienicy.

Himilsbach wprowadził Sitę na klatkę schodową, wyciągnął z kieszeni pół litra czyściochy, odbił dłonią korek, wręczył Jerzemu butelkę i powiedział:

– To tutaj. Pij.

Takie było pierwsze party środowiskowe przybysza z Anglii".

Najtrwalsze są sentymenty

Zdarzyło mi się przed laty brać udział w telewizyjnych wspomnieniach o Himilsbachu razem m.in. z reżyserem Januszem Kondratiukiem. Ciekawe, że choć znał go wiele lat, obsadzał w swoich filmach („Dziewczyny do wzięcia", „Pies", „Czy jest tu panna na wydaniu?"), wspólnie napisali scenariusz „Jedenastego przykazania", ale nie wiedział nic o jego poetyckich dokonaniach. A te, jak wszystko w życiu Himilsbacha, były niezwyczajne. Przynajmniej w przypisach do dziejów PRL-owskiej poezji powinien się znaleźć wiersz o najdłuższym tytule w historii naszej liryki: „Na przyjazd Ali-Ben-Sulejmana, delegata Arabskiego Związku Młodzieży Demokratycznej, który przybył na Festiwal Młodzieży do Warszawy 15 lipca 1955 roku, Dworzec Główny, peron szósty, tor drugi". Uff! A utwór miał zaledwie kilka wersów.

Tablica pamiątkowa na murze warszawskiego domu Jana Himilsbacha FOT. WIKIPEDIA/ADRIAN GRYCUK

Przez lata pisał legendarną powieść o Marianie Buczku, której fragmenty odczytywał kolegom, a ci po paru zdaniach prosili go, by nie kontynuował tej czynności. Po latach ukazał się wyimek dzieła pod tytułem „Żądam prokuratora". Niepodobna orzec, czy mogłoby z tej wprawki pisarskiej powstać coś sensownego czy też nie. Wśród odnalezionych po śmierci autora maszynopisów, wydanych następnie przez krakowskie wydawnictwo Vis-à-Vis Etiuda było więcej podobnych kiksów. Dość poczytać teksty zgrupowane w takich tomach jak „Monolog i inne zapiski" czy „Rozwałka i inne szkice". Z kolei w „Raju na ziemi i innych historiach" znajdziemy opowiadania, w których bywa dobry pomysł, dobra kompozycja, dobrze poprowadzona fabuła, są dobre dialogi i tylko nigdzie nie ma tego wszystkiego naraz. W rezultacie ożywiamy się najbardziej wtedy, gdy zamajaczą nam postaci czy choćby tylko nazwiska znane z wydanych za życia Himilsbacha zbiorów, takie jak policjant Kielak i dzielnicowy Tufta, Kalwinista, Stefan Cykulada, Gańko… Cóż, najtrwalsze są sentymenty.

Wydawca Grzegorz Ciepły przyznawał wprawdzie, że np. w tomie „Monolog…" są „zaledwie szkice, często widać, że są to teksty niedokończone, zarysy jakichś pomysłów. Ale jest też kilka tekstów całkowicie zakończonych, jakby czekały tylko na to, kiedy autor złoży je w wydawnictwie. Nie zdążył? Nie był ich do końca pewien? Nie miał czasu, entuzjazmu, zapił? Tego się już nie dowiemy. Ale możemy i po nich poznać miarę talentu Jana Himilsbacha".

Z ciekawostek: to w tomie „Moja oszałamiająca kariera" znalazło się opowiadanie z racji treści zapamiętane przez tych, którym autor streszczał je przy kieliszku, a – pamiętajmy – niejedna osoba twierdziła, że wolała Himilsbacha słuchać niż czytać. W każdym razie chodzi o opowiadanie zatytułowane „Wielki byznes", w którym niejaka Helena Winiarek którejś nocy zastała swego męża, dorożkarza, „jak stał okrakiem na kołooblach, pomiędzy koniem a dorożką i kobyłce nazwanej kiedyś przez niego Kasią zadawał ból. Krócej mówiąc: miłował ją". Helena Winiarek zarąbała siekierą najpierw konia, a potem męża, którego następnie przywlokła do domu i zrobiła mu widelcem dwadzieścia dziur w podbrzuszu. Ten gustowny tekst Himilsbach zadedykował Gustawowi Holoubkowi, temu samemu, który według jednej z najbardziej znanych anegdot z autorem „Wielkiego byznesu" w roli głównej, po tym, gdy ten, pijany wtargnął do restauracji SPATiF-u z okrzykiem: „Inteligencja, wypierdalać!", miał wstać od stolika i oznajmić: „Nie wiem, jak państwo, ale ja wypierdalam".

Nie matura, lecz chęć szczera

Miał przygotowanych, jak utrzymywał, 700 wersji swego curriculum vitae, tym trudniej więc oddzielić ziarno od plew i zawyrokować, co w himilsbachowym micie ma ręce i nogi, a co jest całkowicie pozbawione kończyn. Niemniej jednak Anna Poppek, autorka na poły

eprasa.pl 3b69ca0f16

Zdzisław Maklakiewicz i Jan Himilsbach w filmie „Wniebowzięci"
FOT. FILMOTEKA NARODOWA

reporterskiej książki „Rejs na krzywy ryj, czyli Jan Himilsbach i jego czasy…" porządnie wykonała swoją pracę, przede wszystkim docierając do ludzi, którzy – bywało – z Himilsbachem się przyjaźnili, popijali z nim nie tylko okazjonalnie, bywali u niego w domu, wiedzieli coś więcej niż ci, którzy wyłącznie go znali. Bo znaliśmy go wszyscy.

Znaliśmy Himilsbacha, wielu powtarzało (i powtarza) z emfazą: kochaliśmy go, cytowaliśmy w nieskończoność. A przecież nie brakowało osób, które nie znosiły tego – nie oszukujmy się – zapijaczonego mędrka, przeświadczonego o własnej wyjątkowości, ordynusa o aparycji nie Spencera Tracy (jak sam uważał), ale menela z Mińska rodem, jakże często po prostu chama popisującego się własnym chamstwem.

Ciekawe pod tym względem i pozostające w opozycji do obiegowych sądów zdanie prezentował, cytowany przez Poppek, dobrze znający Himilsbacha, malarz Adam Wieczorek. Mówił on:

„Himilsbach otworzył drogę tym, którzy uwierzyli, że nie trzeba mieć w głowie, aby zostać popularnym celebrytą. Koniec lat 50., lata 60. to była apoteoza kultury więziennej, którą propagowali Sowieci w swoim kraju. I przeszczepili to na Polskę. Wtedy nasi inżynierowie dusz zaczęli szukać i znaleźli Himilsbacha, żeby pokazać, że nie liczą się kultura, wiedza, obycie. Że uczyć się nie trzeba. Bo: »Nie matura, lecz chęć szczera zrobi z ciebie oficera«, jak mówiło ówczesne przysłowie. I potem Marek Piwowski zrobił »Rejs«. Kiedyś mnie ten film bawił, teraz już zupełnie nie śmieszy. Bo pokazuje całą nędzę duchową tamtych lat.

Wieża z kości słoniowej

Z kolei, jeszcze w 1976 r. w »Kalendarzu i klepsydrze«, Tadeusz Konwicki sugerował: „Himilsbach udaje kamieniarza warszawskiego, ale jest – jak się zdaje – synem plutokratycznej rodziny z Mińska Mazowieckiego. Takiej familii, co miała wszystkie młyny w powiecie albo tartaki. Himilsbach mówi ochrypłym, zapijaczonym głosem, ale nad jego dykcją i manierami pracowali francuscy guwernerzy. Himilsbach używa brzydkich słów, ale jego codzienną lekturę przed zaśnięciem stanowią najnowocześniejsi filozofowie zachodni. Himilsbach ma wykształcenie i umysłowość przenikliwego krytyka literackiego i gdyby uprawiał krytykę, byłby pierwszym eseistą Europy. Himilsbach to chory, perwersyjny kwiat przerafinowania w dziurawych portkach z Cedetu.

On gra przed wami niezbyt trafnie chama i opoja. On się maskuje, z trudem udając lumpa, którego podpatrzył w waszych powieściach. Dlatego z taką rozpaczą rzucił się w otchłań filmu. Tam przynajmniej po raz pierwszy w życiu nie musi grać siebie. Tam może wreszcie zagrać człowieka.

Himilsbach gra dziwną grę ze strachu przed życiem. Himilsbach z niewiadomych mi przyczyn panicznie boi się życia. To udawanie jest jego wieżą z kości słoniowej. Chroni go przed waszym chamstwem i waszym niewczesnym amikoszoństwem.

Dajcie mu spokój z tym poklepywaniem. Ów sześćdziesięcioletni starzec, którego zmuszacie, żeby udawał czterdziestolatka, wychował już kilka pokoleń prozaików. Himilsbach nie jest dziecko. Himilsbach wie, co robi. Uszanujcie tajemnicę tego polskiego Prousta skrytego w cieniu budki z piwem".

Wszystkiego w bród

Konwicki z faktami był jednak na bakier. Himilsbach nie dożył sześćdziesiątki. Miał lat 57, gdy w listopadzie (prawdopodobnie 11) roku 1988 zmarł po kilkudniowym pijaństwie u znajomych na Powiślu. Tak jak nie do końca pewna jest data jego zgonu, tak też różne dziwne opowieści krążą na temat wczesnego dzieciństwa Himilsbacha i samego dnia jego urodzin (jak powszechnie wiadomo, w metryce wpisano mu dzień, którego nie było – 31 listopada roku 1931).

eprasa.pl 3b69ca0f16

On sam podawał (patrz: opowiadanie „Chrzciny"), że urodził się 1 maja tegoż roku w oficynie hotelu Borensztajna przy ul. Legionów 10 w Mińsku Mazowieckim. Jego matka, być może Rosjanka, zmarła w roku 1942. Swego ojca, podobno ułana stacjonującego przed wojną w Mińsku, chłopiec nie znał.

Antoni Krauze, reżyser Himilsbachowego „Monidła" (1969) i „Party przy świecach" (1980), uważał z kolei, że rodzice „Jasia" byli Żydami, którzy zginęli w mińskim getcie, a wtedy chłopcem zajęła się znajoma matki, uwieczniona w opowiadaniach Himilsbacha, prostytutka Mańka Pędzel.

W opisywanym w „Monidle" czy „Przepychance" świecie o francuskich guwernerach nikt nie słyszał. Pełno było za to robociarzy, złodziei, wszelkiego rodzaju farmazonów, łatwych kobiet, no i poli(mili)cjantów. Bywali też komuniści.

Władzy nie kochał, ale po trzeźwemu raczej nie zadzierał z nią, wstąpił nawet do neo-zlepu, choć nie przywiązywałbym do tego wagi, bo w końcu na podobnej zasadzie zapisał się ponoć kiedyś do… SD (satelickiego wobec PZPR Stronnictwa Demokratycznego). Z pewnością jednak złudzeń odnośnie do krajowej rzeczywistości był pozbawiony. W liście wysłanym za ocean pisał: „Pytasz, czy przysłać mi jakieś lekarstwo, nie potrzeba. Tam podobno są one drogie, a u nas mam je za pół darmo. My tu mamy w bród wszystkiego, poczynając od biedy i ciemnoty, poprzez milionerów z ulicy Chmielnej, kończąc zaś na laureatach Nobla". Coś się od tamtej pory zmieniło, ale niewiele – leki podrożały, i to znacznie. Noblistów i ciemnoty przybyło.

Mina pobitego Sokratesa

Stanowił nieodłączną parę ze Zdzisławem Maklakiewiczem („Wniebowzięci"!), w późniejszych latach na stołecznym szlaku widywało się go często ze Zbigniewem Buczkowskim. Z tym że popularny „Sibą" bardziej się nim opiekował, niż mu towarzyszył w alkoholowych nasiadówkach. A poznali się jeszcze w 1972 r. na planie „Dziewczyn do wzięcia", po roku podczas realizacji „Psa" miał już z nim Buczkowski krzyż pański. „To była prawdziwa męka – wspominał. – Po zdjęciach Janek nie wracał do pokoju, żeby sobie odpocząć, przygotować się na następny dzień. On zawsze pędził do knajpy. Był prawdziwą duszą towarzystwa, za każdym razem zbierał się wokół niego wianuszek słuchaczy, a on godzinami opowiadał różne zabawne historyjki". U schyłku życia Himilsbacha było już znacznie mniej zabawnie: „Janek był nieprzewidywalny. Bałem się, że się upije i wywoła jakąś burdę, złapie laskę, o której się poruszał, i rozgoni całe towarzystwo. Był do tego zdolny".

Książkę „Rejs, czyli szczególnie nie chodzę na filmy polskie" Maciej Łuczak rozpoczął od zdania: „»Rejs« nakręcono po to, żeby Jan Himilsbach miał pieniądze na wódkę". Bardzo możliwe.

„Zaczynałem jak 99 proc. młodych pisarzy – tokował najsławniejszy naturszczyk kinematografii polskiej, co potem zostało zapisane. – Ten jeden procent, zanim zacznie, ma ciocię, wujka lub innego znajomka pracującego w kulturze. Po prostu wysłałem wiersze do »Expressu Wieczornego«. Odpisali mi, że powinienem popracować nad ortografią, ale równocześnie skierowali do Związku Literatów Polskich. Pracowałem wtedy w kamieniu, nawet blisko Domu ZLP, bo na Długiej na rogu Podwala. Droga więc mnie nie zmęczyła. Nie wiadomo, jak by się dalej potoczył mój los, gdybym pracował na przykład przy nagrobkach na Bródnie".

Jan Tomaszewski, siostrzeniec Jadwigi Kaczyńskiej, matki Lecha i Jarosława, opowiadał, że ciotka pracując w Instytucie Badań Literackich, „ni stąd, ni zowąd dostała list napisany odręcznie na kartce wydartej z zeszytu szkolnego o treści: »Proszę o przyjęcie mnie do Związku Literatów. Piszę od jakiegoś czasu podobno nieźle«, podpis: Jan Himilsbach".

Jak było, tak było, w każdym razie legitymacji ZLP, którą bardzo się chwalił, doczekał się; wydał także dwie książki: „Monidło" (1967) i „Przepychanka" (1974), z czasem doszły jeszcze „Łzy sołtysa" (1982). Reszta jego utworów ukazała się już pośmiertnie. Dla porządku dodam jeszcze, że długo utrzymywało się podejrzenie, że w rzeczywistości opowiadania te napisał Zdzisław Maklakiewicz. Widać, trudno było uwierzyć, że ktoś z taką aparycją, do tego rzucający „kurwami" w co drugim zdaniu, może sklecić jakąś sensowną fabułę. A jednak…

Ernest Bryll tak go postrzegał: „Jak mówią złośliwi (ja bym tego nie powiedział), ta jego charakterystyczna mina pobitego Sokratesa wynikała z tego, że on się strasznie skupiał, żeby zapamiętać parę słów roli. Miał problemy z pamięcią. Ale co tu dużo kryć, był aktorem, który zostawał w pamięci i to poniekąd zabiło jego pisarstwo".

Zdaniem Roberta Terentiewa: „Mówił mało, ale świetnie puentował". A Zbigniew Irzyk uważał nawet, że „był mistrzem celnych ripost", z którą to oceną – wydaje się – przesadził.

Są postaci, które wymykają się krytycznemu „szkiełku i oku". Na pewno Jan Himilsbach jest jedną z nich. Na swoją legendę zapracował uczciwie, jeśli zaś chodzi o jego pisarstwo, to znalazł sobie miejsce w literaturze polskiej, bo… bardzo mu na tym zależało. To Henryk Bereza orzekł kiedyś, że „jeśli ktoś się decyduje żyć tak jak Janek, to może pisać, jak chce, bo ma swoje pisanie, i nas, którzy to czytamy – w dupie".

A dzisiaj na wizerunek autora „Łez sołtysa" nakłada nam się portret scenarzysty Narożnego z filmu Andrzeja Kondratiuka „Jak to się robi". No więc, jak to się robiło? Tak właśnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3b69ca0f16

Edward Gierek i amerykański polityk Carl Albert, 1974 r.

FOT. CARL ALBERT RESEARCH AND STUDIES CENTER/ CONGRESSIONAL COLLECTION

Książka miesiąca / „Uroki" PRL

Tęsknota za Gierkiem

Pamiętam, jak w moim osiedlowym sklepie na warszawskim Ursynowie pierwszy raz zobaczyłem kiełbasę „jak za Gierka". Muszę przyznać, że byłem tym mocno zaskoczony. Podobnie jak deklaracją, którą podczas spotkania z mieszkańcami mojej dzielnicy złożył w 2013 r. – ówczesny lider opozycji – Jarosław Kaczyński.

Otóż zapowiedział on licznie zebranej publiczności, że kiedy PiS dojdzie do władzy, będzie budował… 300 tys. mieszkań rocznie. – Tak jak za Gierka! Bo za Gierka budowano 300 tys. mieszkań rocznie – oświadczył Kaczyński. Słowa te wywołały wyraźny entuzjazm wśród słuchaczy, głównie z kategorii wiekowej 60+.

Z kolei w 2010 r. na spotkaniu z wyborcami w Sosnowcu Kaczyński oświadczył, że cenił w Gierku to, że „chciał siły Polski" i miał „zdrowe ambicje", aby uczynić z PRL „kraj ważny". Mocarstwo! Marionetkowy, sterowany z Moskwy, przywódca miał być – według prezesa PiS – „komunistycznym, ale patriotą".

Jak wytłumaczyć tę tęsknotę części Polaków za PRL w jego gierkowskim wydaniu? Skąd ten – wydawałoby się – szokujący w kraju tak doświadczonym przez komunizm sentyment za czerwonym aparatczykiem z lat 70.? Odpowiedź znajdą państwo w ciekawej książce Piotra Gajdzińskiego „Czas Gierka".

Kluczem do sukcesu była oczywiście kasa. Wbrew wyobrażeniom niepoprawnych idealistów dla masowego wyborcy takie sprawy jak wolność czy niepodległość są drugorzędne. Kluczowe jest jego własne – używając fachowego języka – bezpieczeństwo socjalne. To zaś, w przekonaniu wielu ludzi, powinno zapewniać państwo.

Po biednej, szarej i smutnej epoce Władysława Gomułki Edward Gierek – człowiek obyty w świecie – wydawał się nowoczesnym europejskim politykiem. Za Gierka władze PRL uchyliły nieco granice. Zaczęły sprowadzać z Zachodu niewidziane w Polsce od czasu drugiej wojny światowej zachodnie towary. Kupiono licencję na produkcję malucha.

„Siła Gierka brała się z tego, że był inny niż Gomułka – pisze Gajdziński. – Nosił eleganckie, dobrze skrojone garnitury, kolorowe krawaty, nie miał wciąż ponurej miny, która cechowała jego poprzednika. To się spodobało, aspirujący naród z ulgą powitał przywódcę, którego entourage niewiele różniło się od tego, którym wyróżniali się przywódcy Europy Zachodniej czy Stanów Zjednoczonych".

Dodatkowo Gierek łechtał megalomanię narodową, pompując – wspominane z admiracją przez Jarosława Kaczyńskiego – mocarstwowe ambicje. PRL miała być rzekomo 10. potęgą gospodarczą świata. Oczywiście była to bzdura. Gierkowski „cud" był robiony na kredyt i pod koniec lat 70. zaczął się walić z hukiem.

Gdy reżim w 1976 r. ogłosił drastyczne podwyżki podstawowych produktów, rozczarowani, wściekli ludzie wyszli na ulice. W Radomiu i warszawskim Ursusie doszło do zamieszek. Gierek miotał się z wściekłości i wyzywał protestujących od „warchołów". Jego mit zaczął się walić.

„Wbrew propagandowym zaklęciom – pisze Piotr Gajdziński – autorytet Gierka i jego ekipy rozsypuje się w proch. Nigdy nie był wielki, zawsze był oparty wyłącznie na poprawiających się wskaźnikach gospodarczych, rosnącej stopie życiowej. Teraz, gdy te wskaźniki zaczęły spadać, gdy Polacy zrozumieli, że rzeczywistość wystawia rachunek za socjalistyczne eldorado z lat 1971–1975, patrzą na rządzącą ekipę z rosnącym rozczarowaniem".

Nie sprawdziły się również nadzieje, że Gierek „udemokratyczni" PRL. Był wiernym wykonawcą woli Moskwy. W książce Gajdzińskiego znalazło się zdjęcie Gierka dekorującego Leonida Breżniewa Orderem… Virtuti Militari. Autor książki podkreśla, że szczytowym punktem serwilizmu ekipy Gierka wobec Sowietów było wpisanie do konstytucji słów o „nierozerwalnych więzach przyjaźni" z ZSRS. Tego nie zrobili nawet Bierut i Berman!

No cóż, ale lata mijają i wielu ludzi z epoki Gierka zapamiętało tylko pełne sklepowe półki (na chwilę), kolorowe telewizory i wczasy w Bułgarii. Całe szczęście książki takie jak „Czas Gierka" przypominają, jak było naprawdę. Nie ma co tęsknić za PRL! ©℗

Piotr Zychowicz

PIOTR GAJDZIŃSKI
„CZAS GIERKA. EPOKA SOCJALISTYCZNEJ DEKADENCJI"
BELLONA

eprasa.pl 3b69ca0f16

Kobiecy seks średniowiecza

Jest to książka pisana lekko, ale czy wszystkim wyda się zabawna – nie wiem. Miejscami przypomina „Opowieści kanterberyjskie" Pasoliniego, tyle w niej księży, mnichów i zakonnic. We wstępie autorka ostrzega przed przyjmowaniem nieprawdziwego spojrzenia epoki wiktoriańskiej na zdominowane przez Kościół średniowiecze. Jeśli chodzi o pasy cnoty, uznane za koronny dowód średniowiecznego kołtuństwa, to autorka odkrywa, że dwa najstarsze, które opisano, należały do Marii Medycejskiej (XVI w.) i Anny Austriaczki (XVII w.), które nigdy ich zresztą nie nosiły, natomiast najwięcej wytworzono ich w XIX w., i to właśnie w Anglii, która wtedy „obfitowała w kosmate myśli".

Życie seksualne kobiet wynikało oczywiście ze zdecydowanie podrzędnej pozycji kobiety – zwłaszcza niezamężnej – w społeczeństwie. Stąd brak szczęścia w pożyciu z często niechcianym małżonkiem, kłopoty w osiąganiu (potępianego zresztą) zaspokojenia płciowego czy udawanie dziewictwa lub odstręczanie od łożnicy budzącego niechęć pana i władcy za pomocą jakichś niebezpiecznych ziół i odpychających środków. Radzono np. obcięcie jąder samcowi łasicy i przywiązanie ich sobie w intymnych miejscach (!). Za zdradę małżeńską karano z reguły kobietę. Ciężki los czekał zwłaszcza kobiety z ludu, będące też częściej ofiarami gwałtów.

A o tym, jak daleko posuwała się tzw. miłość dworska, wiemy z pieśni trubadurów opiewających w XII w. uroki saksońskiej księżnej Matyldy i jej rodzicielki Eleonory Akwitańskiej. Bertram de Born tak sławił uroki ciała Matyldy: „Im bardziej się ją rozbiera, tym bardziej kusi i tym bardziej się jej pragnie. Jej olśniewający biust zmienia noc w dzień. Gdy spojrzeć niżej, słowa zaczynają gorzeć. Jak wspaniale jest tulić w ramionach jej rozkwitłą i gibką nagą postać!". Matka nie była wcale gorsza, a jej wielbiciel wyznawał: „Umrę chyba, jeśli moja piękna nie zaprosi mnie tam, gdzie zwykła odpoczywać, abym mógł całować, pieścić i tulić w ramionach jej białe, pulchne i gładkie ciało".

Nie zabrakło na koniec aż dwóch rozdziałów poświęconych ciężkiemu losowi lesbijek. Jedną z nich, posługującą się zmyślnym penisem ze skóry, bawełny i drewna, skazano nawet w 1477 r. na śmierć. Oto Katherina Hetzeldorfer ze Spiry „sprawiała orzekającym same kłopoty. Po pierwsze, była kobietą, co było złe samo w sobie. Po drugie, lubiła kobiety, co było jeszcze gorsze. Na domiar wszystkiego jako kobieta chciała być mężczyzną, co było tak złe, że brak słów". ©℗ ***Maciej Rosalak***

ROSALIE GILBERT
„TAJEMNE ŻYCIE SEKSUALNE KOBIET W ŚREDNIOWIECZU"
REBIS

Wyjątkowi Polacy

Kapitalne są te rozmowy, najpierw emitowane w programie I Polskiego Radia, a teraz wydane drukiem. Profesor Andrzej Nowak rysuje – przedstawiane parami – postacie naszych dziejów najnowszych i odkrywa pasjonujące szczegóły z ich życia. Warto wiedzieć na przykład, że Henryk Sienkiewicz tuż po akcie 5 listopada 1916 r. na łożu śmierci docenił znaczenie czynu legionistów Piłsudskiego, że wyjątkowo nieudolny dowódca sowiecki Karol Świerczewski zasłużył się w Hiszpanii, likwidując przeciwników komunistów na lewicy, a także dlaczego Jacek Kuroń uchronił esbeka Lesiaka przed utratą z pracy w tzw. służbach. ©℗ ***(m.r.)***

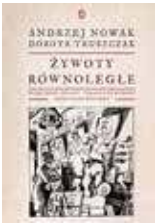

ANDRZEJ NOWAK, DOROTA TRUSZCZAK
„ŻYWOTY RÓWNOLEGŁE"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

KAZIMIERZ BEM
„AMERYKAŃSKIE MILIONERKI"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

PERFECT MATCH

Oni mieli nazwiska, one miały pieniądze. Był to więc – używając angielskiego określenia – perfect match. Mowa o kilkuset małżeństwach zawartych na przełomie XIX i XX w. między amerykańskimi milionerkami a zubożałymi kawalerami ze znakomitych europejskich rodów arystokratycznych. Jedną z tych Amerykanek była Jennie Jerome, matka Churchilla. Pasjonująca książka! ©℗ ***(p.z.)***

DANTE ALIGHIERI, TŁUM. JAROSŁAW MIKOŁAJEWSKI
„BOSKA KOMEDIA"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

REPORTAŻ Z PIEKŁA...

Oto nowy przekład fundamentalnego dzieła kultury europejskiej. Tłumacz rezygnuje z poetyckiego piękna jedenastozgłoskowych rymów dla wiernego oddania relacji z wędrówki Dantego przez Piekło i Czyściec do Nieba. Jak pisze, „w głupstwie i brzydocie dzisiejszych zdarzeń... »Boska komedia« przypomina o niezwykle ambitnych, zapominanych dziś dążeniach życia i sztuki". Istotnie. ©℗ ***(m.r.)***

STANISŁAW KALIŃSKI
„BOLIMÓW 1915"
BELLONA

YPRES FRONTU WSCHODNIEGO

Od końca roku 1914 do lata 1915 nad Rawką i Bzurą walczyły z Rosją wojska Niemiec i Austro-Węgier. Celem było zdobycie Warszawy. Niezgodnie z konwencją genewską Niemcy użyli w styczniu gazów bojowych – jeszcze przed zastosowaniem ich pod Ypres na froncie zachodnim. Ataki gazowe powtarzano w maju, czerwcu i lipcu. W książce wykorzystano niepublikowane dotąd dokumenty z archiwów rosyjskich i niemieckich. ©℗ ***(t.s.)***

eprasa.pl 3b69ca0f16

Jan III Sobieski i husaria. Obraz Wojciecha Kossaka

FOT. MUZUEM NARODOWE W KRAKOWIE

Wszystkie bitwy husarii

Najprawdopodobniej nikt już nie napisze lepszej książki o bitwach polskiej husarii, niż to uczynił Radosław Sikora. Jego dzieło jest popisem erudycji i klarownej narracji, z wykorzystaniem źródeł z epoki – relacji uczestników bitew i kronikarzy. Autor opisuje bitwy niemal minuta po minucie, poprzedzając ich przebieg przestawieniem ogólnego tła historycznego. Husaria – legendarna formacja wojsk Rzeczypospolitej – doprowadziła do wspaniałych zwycięstw pod Kircholmem, Chocimiem, Wiedniem. Lecz książka traktuje także o bitwach mniej znanych, a także przegranych. Sama obecność husarii nie zawsze wystarczała do zwycięstwa.

Pierwszą omówioną bitwą jest zwycięska walka pod Lubieszowem w 1577 r. z gdańszczanami. W 1581 r. pod Mohylewem 300 husarzy z pomocą 200 kawalerzystów lekkiej jazdy przepędziło spod miasta 10 tys. żołnierzy moskiewskich. Pod Kircholmem straty husarzy były niewielkie, ale ogromne wśród ich koni. Jak pisze autor, być może dlatego, że koni używano jako żywych taranów do łamania szwedzkich pik, poświęcano wierzchowce dla osiągnięcia zwycięstwa. Pod Kłuszynem „husaria wspięła się na absolutne wyżyny możliwości kawalerii", osiągnęła zwycięstwo, wytrzymując prowadzony z bezpośredniej bliskości ogień muszkietów i ostrzał artylerii. Pod Chocimiem 600 husarzy rozpędziło 10-tysięczną armię turecką. W 1656 r. Szwedzi mieli niemal rozstrzelać szarżujących husarzy pod Gniewem. Autor stwierdza, że to mit, czarna legenda, która nie ma nic wspólnego z faktami. Podobnym mitem jest rzekoma przegrana husarii pod Kłeckiem w 1656 r. Szwedzi wprawdzie utrzymali plac boju, ale ponieśli znacznie wyższe straty niż wojsko Rzeczypospolitej. Pod Hodowem, w 1694 r., husarze pokazali, że potrafią znakomicie walczyć także pieszo.

Podziw budzi znakomita strona ilustracyjna. A składają się na nią zarówno plany bitew, zdjęcia miejsc, w których je toczono, imponująca ikonografia z epoki – obrazy, sztychy przestawiające bitwy oraz ich uczestników – jak i portrety współczesnych husarzy rekonstruktorów. ©℗

Tomasz Stańczyk

RADOSŁAW SIKORA
„NIEZWYKŁE BITWY I SZARŻE HUSARII"
ZNAK HORYZONT

Kresowe twierdze

W XVII tomie „Kresowej Atlantydy" Stanisław Sławomir Nicieja pisze o twierdzach w Kamieńcu Podolskim, Chocimu, Okopach św. Trójcy, Trembowli i Jazłowcu. Ale książka nie jest poświęcona jedynie historii militarnej.

Kamieniec Podolski to „najdalej wysunięte na południowy wschód miasto, w którym mocno objawiła się polska kultura w jej materialnym chrześcijańskim obliczu" – stwierdza prof. Nicieja. Profesor Nicieja przypomina wybitnych Polaków – mieszkańców Kamieńca: Antoniego Rollego, autora znakomitych gawędziarskich szkiców historycznych. A także fotografa Michała Greima, porównywanego ze światowej sławy francuskim fotografem Atgetem. W rejonie kamienieckim zidentyfikowano 593 nazwiska zamordowanych podczas „operacji polskiej" NKWD.

W Okopach św. Trójcy bywał Zygmunt Krasiński i tam umieścił akcję ponadczasowego dramatu „Nie-Boska komedia" o walce sił tradycji i konserwatyzmu z rewolucją i „postępem". Jazłowiec kojarzy się dziś może najbardziej z ułanami jazłowieckimi – 14. Pułk Ułanów otrzymał to miano po zwycięskiej walce pod Jazłowcem z Armią Czerwoną w 1919 r. To także miasto słynne z klasztoru Niepokalanek i ich szkoły. ©℗

Tomasz Stańczyk

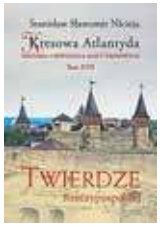

STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA
„TWIERDZE RZECZYPOSPOLITEJ. KRESOWA ATLANTYDA. HISTORIA I MITOLOGIA MIAST KRESOWYCH"
TOM XVII
WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU OPOLSKIEGO, WYDAWNICTWO MS

eprasa.pl 3b69ca0f16

Siła-Nowicki w WIN

Mecenas Władysław Siła-Nowicki jest postacią, której przedstawiać specjalnie nie trzeba. Jego wojenną biografię autorstwa Ewy Rzeczkowskiej opublikowało wydawnictwo IPN. Siła-Nowicki nie pełnił w strukturach Polskiego Państwa Podziemnego kierowniczych funkcji. Inaczej rzecz wyglądała w podziemiu antykomunistycznym. „Stefan", bo taki nosił pseudonim, znalazł się w szeregach Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość jesienią 1945 r. Został początkowo szefem komórki propagandy Obwodu WIN Lublin-miasto. Nadzorował wtedy kolportaż prasy podziemnej, redagując artykuły i ulotki. W lutym 1946 r. zastąpił na stanowisku komendanta Obwodu WIN Lublin-miasto Franciszka Abraszewskiego „Borutę". Komenda obwodu – ze względu na masowe aresztowania, do których doszło na początku 1946 r. – borykała się z poważnymi problemami kadrowymi. Nowickiemu udało się częściowo tej sytuacji zaradzić dzięki odbudowaniu struktur obwodowych.

W lipcu 1946 r. porucznik „Stefan" został mianowany zastępcą inspektora Inspektoratu Lubelskiego WIN, co w praktyce oznaczało kierowanie Inspektoratem, „Boruta" bowiem przebywał poza terenem Lubelszczyzny. Lubelskie struktury WIN, wbrew nakazom kierownictwa organizacji, prowadziły działalność nie tylko o charakterze politycznym, lecz także zbrojnym. Największym oddziałem WIN było zgrupowanie dowodzone przez mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zaporę". „Stefan" – zwłaszcza od czasu objęcia funkcji inspektora Inspektoratu Lubelskiego WIN, do czego doszło po aresztowaniu w listopadzie 1946 r. „Boruty" – z racji pełnionych obowiązków, sprawował nadzór nad działalnością zbrojnych grup partyzanckich.

Kiedy więc komuniści ogłosili w styczniu 1947 r., po sfałszowanych wyborach, amnestię, czuł się w obowiązku doprowadzić do ujawnienia członków oddziałów leśnych. Dlatego uczestniczył w rozmowach z funkcjonariuszami UB, dotyczących rozwiązania tego problemu. Sam ujawnił się 22 marca 1947 r. w Warszawie wraz z Komendą Okręgu Lubelskiego WIN. Nie wszyscy lubelscy konspiratorzy zamierzali skorzystać z amnestii. Spora część nie wierzyła w dobre intencje komunistów, uważając, że amnestia jest manewrem taktycznym, mającym na celu ujawnienie struktur konspiracyjnych, a potem zastosowanie wobec ich członków masowych represji.

EWA RZECZKOWSKA
„WŁADYSŁAW SIŁA-NOWICKI. ŻOŁNIERZ I KONSPIRATOR 1939–1945"
IPN

Siła-Nowicki nie widząc perspektyw dalszego funkcjonowania w komunistycznej rzeczywistości, podjął decyzję o opuszczeniu Polski i ucieczce na Zachód. Pomocy w operacji przerzutowej udzielił mu wypuszczony z więzienia „Boruta", który – jak się okazało – współpracował z Urzędem Bezpieczeństwa Publicznego. Wyjazd z kraju okazał się prowokacją bezpieki. W jej efekcie Władysław Siła-Nowicki, Hieronim Dekutowski, Roman Groński, Arkadiusz Wasilewski, Stanisław Łukasik, Jerzy Miatkowski, Tadeusz Pelak i Edmund Tudruj zostali aresztowani na punktach przerzutowych m.in. w Nysie.

Po ponad rocznym śledztwie wyżej wymienionych postawiono przed sądem. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie wyrokiem z dnia 15 listopada 1948 r. skazał ich wszystkich na karę śmierci. Rodzina Siły-Nowickiego podjęła gorączkowe starania o ułaskawienie. Zasadniczą rolę w tych działaniach odegrała jego ciotka, Aldona Kołłajewiczowa, będąca rodzoną siostrą Feliksa Dzierżyńskiego. Jej rozmowa z sowieckim ambasadorem Wiktorem Lebiediewem przełożyła się na ułaskawienie „Stefana". On sam dowiedział się o tym w godzinach rannych 7 marca 1949 r. Tego samego dnia wieczorem wykonane zostały wyroki śmierci na jego podkomendnych. Siła-Nowicki odbywał karę dożywotniego więzienia m.in. w Strzelcach Opolskich i Wronkach. Zwolniono go z więzienia 1 grudnia 1956 r. ©℗ ***Arkadiusz Karbowiak***

HISTORYCZNE BITWY

Gabiene

Na solnej pustyni w pobliżu Gabiene – dziś irański Isfahan – zażartą bitwę stoczyli Antygon Jednooki oraz Eumenes. Obydwaj byli utalentowanymi wodzami Aleksandra Macedońskiego, ale po jego śmierci (323 r. p.n.e.) znaleźli się we wrogich koalicjach tzw. diadochów, którzy pragnęli przejąć władzę nad zdobytym przezeń światem. Obydwie kilkudziesięciotysięczne armie składały się z weteranów macedońskich: ciężkozbrojnej arystokratycznej jazdy i piechurów potrafiących z zabójczym skutkiem władać sarisami – długimi dzidami niezwyciężonej falangi. Obok nich występowali najemnicy greccy i azjatyccy oraz oddziały sojuszniczych plemion. Antygon wiódł wojska wyraźnie liczniejsze, ale siłę Eumenesa wzmacniały Srebrne Tarcze (kilka tysięcy najbitniejszych falangistów) oraz nieco więcej słoni bojowych (ponad setka). W tumanach słonego kurzu słonie walczyły tu przeciw słoniom, a falangiści przeciw falangistom. Srebrne Tarcze utopiły wprawdzie we krwi centrum wojsk Antygona, ale jego znacznie liczniejsza jazda rozbiła wrogów na skrzydle i zdobyła ich obóz. Groźba utraty bogatych łupów zgromadzonych podczas kilkunastoletniej wojaczki – a także żon! – skłoniła Srebrne Tarcze do zdrady. Za obietnicę zwrotu swego dobytku weterani pojmali nieszczęsnego Eumenesa oraz swego dowódcę Antygenesa i wydali ich Antygonowi na pewną śmierć. Zdradził też satrapa Peukestas, z 10 tys. perskich żołnierzy. Wojny tzw. diadochów – w zmieniających się sojuszach – trwały niemal 40 lat. Jednooki zginął w 301 r. p.n.e. ©℗ ***Maciej Rosalak***

MICHAŁ PIEKARSKI
„GABIENE 316 P.N.E."
BELLONA

eprasa.pl 3b69ca0f16

Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Zapomniana komuna

/ Każda kobieta bez męża **musiała natychmiast wejść w kolejny związek z pierwszym, kto tego zażądał, pod karą śmierci**

Roczne rządy w niemieckim mieście Münster niejakiego Jana Bockelsona, zwanego też Janem z Lejdy, anabaptysty, służy bardzo ciekawym przykładem do analizy szaleństwa tłumów. Tyleż ciekawym, co dziś niepotrzebnym, bo przecież późniejsza historia dała nam dużo poważniejszych przypadków do badania mechanizmów totalitaryzmu, na dodatek lepiej udokumentowanych.

Rzecz miała miejsce w czasie wojen chłopskich. Roku Pańskiego 1534 do miasteczka opanowanego już wcześniej przez anabaptystów – radykalny odłam protestantów – przybył ich współwyznawca z Niderlandów, właśnie wspomniany Bockelson. Panujące porządki w zasadzie zasłużyły na jego pochwałę – katedrę już spalono, innym kościołom obcięto wieże, zniszczono biblioteki, paląc książki, upierających się przy katolicyzmie, ale też i luteranizmie oraz innych nieanabaptystycznych wyznaniach wygnano, względnie wymordowano, za to ze wszystkich stron świata ściągnęli do zdobytego miasta anabaptyści, na których nowa władza mogła się mocno oprzeć.

Wciąż jednak to nie było to. Krótko po przybyciu Bockelson zaczął zachowywać się nietypowo: ponoć najpierw biegał po całym mieście nago, potem na trzy dni znieruchomiał i zamilkł, aż wreszcie zwołał mieszkańców Münsteru i ogłosił, że doznał objawienia. Otóż to on właśnie, Jan, a nie Jezus z Nazaretu, jest zapowiedzianym w Piśmie Świętym mesjaszem, królem, który stworzy Nowe Jeruzalem. Nie za duża mieścina Münster – raptem kilkanaście tysięcy dusz – to dopiero początek władztwa, które rychło ogarnie cały świat.

O porządkach tego Nowego Jeruzalem zachowało się niewiele. Zniesiono własność prywatną i ogłoszono, że wszystko, co się w mieście znajduje, należy do wszystkich. Współcześni twierdzili co prawda, że tej zasady nie przestrzegano, bo sami przywódcy rewolucji zgromadzili w krótkim czasie wcale poważne majątki – no, ale my po doświadczeniach kolejnych komunizmów wiemy już, że jedno drugiemu nie przeszkadza. Utworzono też z mieszkańców miasta postulowane pięć wieków później przez Trockiego „armie pracy". Każdy z mieszkańców, będąc teoretycznym współwłaścicielem wszystkiego (a więc w istocie nie posiadając niczego), zmuszony był do pracy dla dobra wspólnego, czyli do takiej, jaką mu wykonywać nakazywali „mesjasz" lub jego przyboczni.

Ciekawym rysem rządów Jana z Lejdy było nałożenie na kobiety obowiązku współżycia – nie tolerowano u nich stanu wolnego, każda, która z jakiegoś powodu przestała być w związku, miała obowiązek natychmiast wejść w związek kolejny z pierwszym, kto tego zażądał, pod karą śmierci. Podobno parę takich wyroków wykonano. A ponieważ po latach wojen kobiet było w mieście więcej niż mężczyzn, wprowadzono poligamię – sam Mesjasz miał aż 16 żon.

Najciekawsze było to, że nowe prawa początkowo zostały przyjęte z autentycznym entuzjazmem. Ludzie uwierzyli, że są świadkami wydarzeń zapowiedzianych w Biblii, że nadszedł koniec świata i powstaje świat nowy. Zapewne życie w tamtym czasie, w okresie nieustających wojen chłopskich i religijnych, sprzyjało takiemu przekonaniu nie mniej niż kataklizmy XX-wieczne, z wielką wojną i wielkim kryzysem na czele.

Potem, cóż – katolicy w końcu zdobyli miasto, mesjasz został w wymyślny sposób stracony, co zgasiło wiarę jego wyznawców, a wydarzenia z Münsteru przez pewien czas budziły szok i niedowierzanie, aż o nich zapomniano. Problem z ludzkością na tym właśnie polega, że stale o takich sprawach zapomina. ©℗

eprasa.pl 3b69ca0f16

Piotr Semka

/ Felieton

Nierozważny Skobielew

Nazywano go „białym generałem" – po turecku Ak-Pasza. Wymyślili to określenie tureccy sztabowcy, którzy za pomocą lornet oglądali rosyjskiego dowódcę na pierwszych liniach frontu w czasie wojny z Rosją o Bułgarię w 1877 r. Przydomek pochodził od nienagannie śnieżnych mundurów, w których lubował się gen. Michaił Dmitriewicz Skobielew (1843–1882). Lekceważąc osmańskich strzelców, pojawiał się na koniu, sprawdzając umocnienia swoich żołnierzy. W dziesiątkach tysięcy rosyjskich mieszczańskich domów wisiały po 1878 r. portrety „białego generała". Bywały dowodem rosyjskiego patriotyzmu, a niekiedy demonstracją poparcia dla jego słowianofilskiej i antyzachodniej postawy.

Skobielew pierwsze doświadczenia bojowe zdobywał w Polsce. Zgłosił się ochotniczo do armii rosyjskiej, aby tłumić powstanie styczniowe. Potem jego kariera rozwijała się szybko. Ukończył Mikołajewską Akademię Wojskową w Petersburgu. Później przychodzą kampanie „kolonialne": w 1873 r. podbija Chiwę, a potem tłumi antyrosyjskie powstanie w Kirgizji i wreszcie zostaje gubernatorem zdobytej świeżo uzbeckiej Fergany. Prawdziwą ogólnorosyjską sławę zdobywa jednak jako dowódca Brygady Kozaków wysłanej na wojnę z Turcją o wolność Bułgarii. Zasłynął przy szturmie Plewny w lipcu 1877 r., zdobywa Łowecz. Żelazną ręką utrzymuje sprawność bojową wojska w czasie ciężkiej zimy z lat 1877 i 1878. To on jest najlepszym dowódcą w bitwie pod Szejnową i w lutym 1878 r. zajmuje San-Stefano pod Stambułem. Do dziś jego nazwiskiem czci się place, ulice i parki w wielu bułgarskich miastach.

W latach 1880–1882 dowodzi tzw. drugą ekspedycją ahałtekinską, która kończy się zajęciem Turkmenii. Jest u szczytu sławy. Ale pewność siebie gen. Skobielewa zaczyna zwracać uwagę otoczenia cara Aleksandra III. Spadkobiercy czapki Monomacha na Kremlu nigdy nie lubili wojskowych, którzy zaczynają się wymądrzać na temat polityki międzynarodowej. A oto w marcu 1882 r. „biały generał" odwiedza Paryż, gdzie udziela wywiadów z budzącymi entuzjazm w Rosji aluzjami, że po pobiciu Turcji Rosja winna osłabić stan posiadania Austro-Węgier jako ciemiężyciela narodów słowiańskich. Tego typu tezy budzą zachwyt słowianofilów marzących o podboju Bośni i „podaniu ręki Serbom".

Cztery miesiące później Skobielew umiera w łóżku moskiewskiej damy niecięzkiego prowadzenia o niemieckich korzeniach. Czy Skobielew został zgładzony czy też jedynie miłosne uniesienia okazały się zbyt wyczerpujące dla jego serca? To drugie wyjaśnienie budzi wątpliwości. W końcu Skobielew w chwili śmierci miał jedynie 39 lat – jak na standardy rosyjskiej generalicji wiek wręcz młodzieńczy. Teorię skrytobójstwa na zlecenie cesarza wzmacnia bardzo skromny pogrzeb bohatera wojny w Bułgarii. Zwraca też uwagę mało efektowne miejsce pochówku generała – rodowy majątek Spasskoje-Zaborowo na Riazańszczyźnie.

Wersję, w której „białego generała" zgładzili wysłannicy Petersburga, spopularyzował ostatnio poczytny pisarz Borys Akunin w powieści „Śmierć Achillesa". Mało kto wie, że w Warszawie w 1911 r. odsłonięto popiersie ku czci Skobielewa obok dawnych koszar carskich przy dzisiejszej ulicy 29 Listopada. W 1935 r. władze stolicy nakazały demontaż pomnika pacyfikatora polskiego zrywu 1863 r. A Skobielew jest dziś w Putinowskiej Rosji przywracany do patriotycznej czci. W 2014 r. odsłonięto jego pomnik przy Akademii Sztabu Generalnego w Moskwie. Cóż się dziwić? W końcu słowianofilskie poglądy znów są modne w kraju Władimira Władimirowicza... ©℗

/ W 2014 r. odsłonięto jego pomnik przy Akademii Sztabu Generalnego w Moskwie. Cóż się dziwić? Słowianofilskie poglądy znów są modne w kraju Władimira Władimirowicza...

eprasa.pl 3b69ca0f16

XX w. / Lwów, ruch niepodległościowy

Korony na karabiny

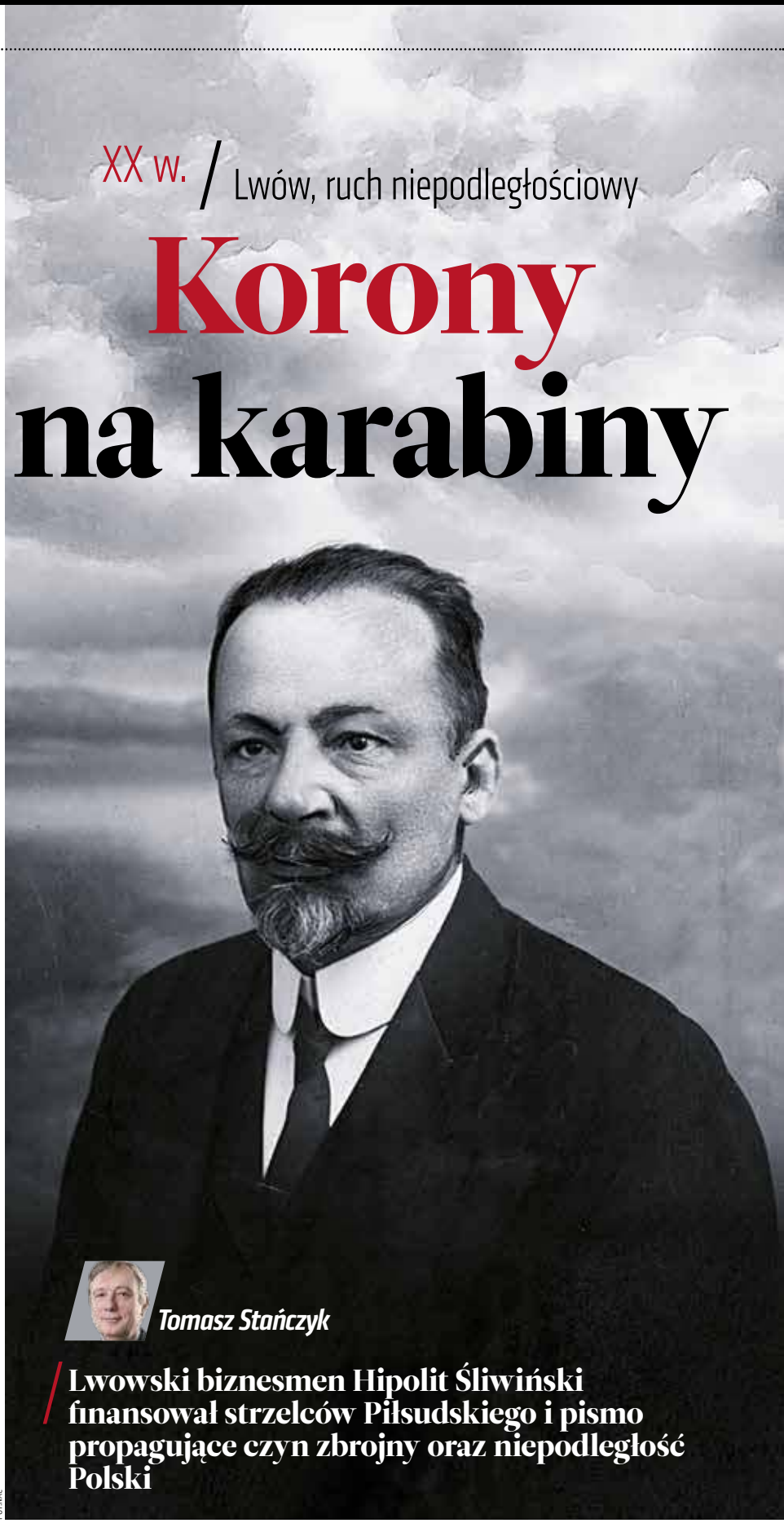

Tomasz Stańczyk

Lwowski biznesmen Hipolit Śliwiński finansował strzelców Piłsudskiego i pismo propagujące czyn zbrojny oraz niepodległość Polski

FOT. NAC

Ulica Bohaterów Majdanu we Lwowie, za polskich czasów ulica Kadecka. Pod numerem szóstym znajduje się okazała kamienica ze zdobioną fasadą. Nad wejściem przetrwała tablica z napisem: „Tu w domu Hipolita Śliwińskiego przebywał i pracował Komendant Główny Związku Walki Czynnej i Związku Strzeleckiego Józef Piłsudski ze swoim sztabem w latach 1908–1914". Tablicę tę wmurowano w 1933 r.

Śliwiński, budowniczy własnej kamienicy, inżynier architekt, miał firmę architektoniczną i budowlaną, jego spółka miała dwie cegielnie w Drohobyczu i Rzeszowie oraz kopalnię torfu w Dolinie. Urodził się w Gródku, niedaleko Lwowa w 1866 r., ukończył studia na miejscowej politechnice. Kandydował z sukcesem w 1902 r. do rady miejskiej Lwowa. W książce „Nowi ojcowie miasta. Zdjęcia migawkowe" Michał Marian Winiarski (Emwin) pisał:

„Twarz zdecydowanie artystyczna i regularnie rzeźbiona. Ognisty brunet z rozrzuconą z miłym zaniedbaniem fryzurą, przypomina mocno Włocha, już zaś stanowczo zgrabną bródką... neapolitańskiego gondoliera. Zamaszysty i trochę nerwowy w ruchach, zdradza temperament sangwinika, któremu 36 lat życia ani trochę krwi nie przytępiło". Działał jako architekt i przedsiębiorca budowlany, we Lwowie wybudował siedzibę banku przy Wałach Hetmańskich (dziś Prospekt Swobody 10) zdobywał zamówienia rządowe, wznosił gmachy sądowe.

Artykuł wiary

Autor książki o radnych Lwowa pisał, że Śliwiński nie ukrywał swoich socjalistycznych przekonań, a nawet „zalatywał komunardem francuskim". Sam zaś architekt mógłby dodać, że już w młodości był członkiem konspiracyjnej, niepodległościowej organizacji Orzeł Biały, związanej z Ligą Polską.

Takiego to właśnie człowieka spotkał we Lwowie Józef Piłsudski. Śliwiński oferował mu mieszkanie w swojej kamienicy przy Kadeckiej, gdy ten przyjeżdżał do Lwowa. Myślał bowiem o tym samym celu, do którego zmierzał Piłsudski. „Idea niepodległości, czynu zbrojnego była –

eprasa.pl 3b69ca0f16

jak u wszystkich moich współczesnych – artykułem mojej wiary, treścią mojego życia, a praca zarobkowa była raczej tylko środkiem do celu" – wyznawał Śliwiński (M. Janik, „W służbie idei niepodległości. Pamięci Hipolita Śliwińskiego").

Podobno Hipolit Śliwiński wydał na cele ruchu niepodległościowego przed pierwszą wojną światową 400 tys. koron (równowartość dzisiejszych 9 mln zł). Pisząc o „swoich współczesnych", miał na myśli takich jak on i Piłsudski, gdyż znakomita większość Polaków w Galicji, zadowolona ze swobód, jakie dawała autonomia, nie zaprzątała sobie głowy niepodległością. A jeśli marzyła o niej, to nic w tym kierunku nie robiła. Jednak do tych, którzy nie byli obojętni, właśnie z „Górki Kadeckiej", domu Śliwińskiego szły – jak sam pisał – rozkazy Piłsudskiego.

Śliwiński wspominał: „Z prawicą tzw. narodową byliśmy wówczas w wojnie. Byliśmy z ich strony przedmiotem ataków i drwin, kiedyśmy z karabinami… na sznurkach chodzili na ćwiczenia strzeleckie. Tylko ulica, szary tłum przyjmował nas z zachwytem, z entuzjazmem. […] Znalazł więc Piłsudski w mieście naszym grunt podatny i przygotowany. I miasto to w historii zajmie niewątpliwie swoją własną, poczesną, wielką kartę" (Z. Zygmuntowicz, „Józef Piłsudski we Lwowie").

A do zakupu karabinów dla strzelców Piłsudskiego dołożył się znacznie właśnie Śliwiński. I to także dzięki temu wsparciu, dzięki gościnie, jakiej udzielił Komendantowi, Józef Piłsudski mógł, dekorując herb Lwowa Orderem Virtuti Militari, pokazać, że wielce ceni to miasto, gdyż w nim znalazł życzliwe przyjęcie i grunt dla pracy niepodległościowej. To we Lwowie powstał w 1908 r. z inicjatywy Kazimierza Sosnkowskiego, współpracownika Piłsudskiego – Związek Walki Czynnej. Organizacja ta objęła patronat nad założonym dwa lata później Związkiem Strzeleckim (we Lwowie) i Strzelcem (w Krakowie). Śliwiński był członkiem komisji rewizyjnej ZWC i członkiem zarządu Związku Strzeleckiego.

W 1910 r. powstało Polskie Stronnictwo Postępowe, którego współzałożycielem był Śliwiński. Partia jawne mówiła, że jej celem jest niepodległa Polska Ludowa i reprezentowała „minimalny program socjalny", jak stwierdził Michał Janik, jeden z głównych działaczy PSP. Wspierało ono niepodległościowy i zbrojny ruch Piłsudskiego. Śliwiński był wydawcą pisma „Życie", które ukazywało się od 1910 r. we Lwowie i oddziaływało w tym duchu na środowiska inteligenckie.

Przeciwnicy polityczni Śliwińskiego twierdzili, że związał się z PSP po to, by z jej ramienia kandydować na posła Rady Państwa w Wiedniu, w zamian za sowitą dotację dla stronnictwa. Były to insynuacje. Władysław Studnicki, człowiek bezkompromisowy i bezstronny, nie miał żadnej wątpliwości, że Śliwiński jest ideowcem. Inna to sprawa, że gdy Śliwiński został posłem, zapewne zwiększyło to jego możliwości uzyskiwania zamówień publicznych.

Kamienica Hipolita Śliwińskiego we Lwowie FOT. STAKO/WIKIPEDIA

Skarb wojskowy

Gdy w sierpniu 1912 r. do Zakopanego zjechali przedstawiciele stronnictw niepodległościowych z Galicji i Królestwa Polskiego, nie mogło zabraknąć tam Śliwińskiego. Postanowiono wtedy powołać do życia Polski Skarb Wojskowy, który miał zbierać pieniądze na finansowanie ruchu strzeleckiego. Sekretarzem PSW został zaufany człowiek Komendanta – Walery Sławek, a skarbnikiem, jakżeby inaczej, Hipolit Śliwiński, który chyba jedyny w PSW znał się na finansach. Już w 1905 r. Śliwiński wszedł do rady nadzorczej, która czuwała nad funduszami PPS. Znów zaatakowano go, że bogaci się kosztem skarbu wojskowego, tymczasem – jak stwierdzał Studnicki – Śliwiński wspomagał kasę Polskiego Skarbu Wojskowego z własnej kieszeni.

A wpływy pieniędzy nie były duże, znacznie mniejsze niż potrzeby ruchu strzeleckiego. Piłsudski skarżył się i wówczas, i później na słabe poparcie jego ruchu przez polskie społeczeństwo Galicji. Prosił więc Śliwińskiego w liście, by w jego wydatkach „był największy sukurs dla mnie, to jest dla moich celów". Podkreślał: „Gdyby więc co było Panu zbywającego, może by Pan wysłał do mnie, byłbym Panu bardzo wdzięczny". Piłsudskiemu zależało wówczas na wsparciu finanso-

eprasa.pl 3b69ca0f16

wym nowego roku szkoły Związku Strzeleckiego. Biznesmen nie odmówił. W 1913 r. Komendant pisał do niego, że Sosnkowski ma jego – Piłsudskiego – polecenie „co do wydatkowania pieniędzy jak waszych, tak zarówno owych angielskich, o ile przyjdą" (J. Piłsudski, „Pisma zbiorowe", t. 3).

Chodziło raczej o pieniądze amerykańskie, od Polonii w Stanach Zjednoczonych. To właśnie ona w wielkim stopniu zasiliła kasę Polskiego Skarbu Wojskowego. Tymczasem sprawozdanie PSW za lata 1912–1913, podpisane przez Śliwińskiego jako skarbnika, wykazywało, że hojnych ofiarodawców z Galicji (którzy wpłacili 1 tys. koron, ok. 20 tys. dzisiejszych złotych), było tylko dwóch… Większość pieniędzy uzyskano ze składek nawet tylko jednokoronowych (20 zł), od inteligencji, studentów, uczniów, robotników i chłopów.

Jesienią 1912 r. w wiedeńskim mieszkaniu Hipolita Śliwińskiego odbyło się spotkanie niepodległościowych działaczy z różnych partii z Galicji i Królestwa Polskiego. Doszło wówczas do pewnego zgrzytu. Przewodnictwo obrad powierzono bowiem nie – jak wypadało – gospodarzowi, tylko Włodzimierzowi Tetmajerowi, przedstawicielowi ruchu ludowego. Śliwiński się obraził i nie brał udziału w dyskusji. Lecz to był tylko incydent... Najważniejszym rezultatem wiedeńskiego spotkania było powołanie Tymczasowej Komisji Stronnictw Niepodległościowych.

Śliwiński był zaufanym człowiekiem Piłsudskiego. Gdy na polecenie Komendanta Marian Kukiel sporządził memoriał o „znaczeniu Polski rosyjskiej z punktu widzenia interesów Austrii", dokument ten to właśnie Śliwiński, korzystając ze statusu posła do Rady Państwa, złożył na ręce następcy tronu, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, przychylnie usposobionego – jak pisał Ryszard Świętek w „Lodowej ścianie" – do polskiej irredenty przeciw Rosji.

28 czerwca 1914 r. Śliwiński pojawił się na zebraniu Zarządu Głównego Związku Walki Czynnej z informacją o zamordowaniu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. „Wywołała ona ogólne poruszenie – pisał Tomasz Nałęcz w książce o irredencie polskiej – ale nikt z Komendantem na czele nie przeczuwał zbliżającego się kataklizmu". Podobnie jak nikt w Europie…

W przededniu pierwszej wojny światowej, w ostatnich dniach lipca 1914 r. Hipolit Śliwiński i Stanisław Downarowicz, jako wysłannicy Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, rozmawiali w Wiedniu, w ministerstwach spraw zagranicznych i wojny o perspektywach i możliwości polskiego zbrojnego udziału w wojnie przeciw Rosji. Śliwiński wspominał: „Największym sukcesem moich osobistych zabiegów był układ z Austrią o stworzeniu armii polskiej, sparaliżowany i sprowadzony w połowie sierpnia [1914 r. – przyp. T.S.] do roli Legionów". Wątpliwy to był jednak sukces, skoro nie przekuł się w czyn i polska armia – oczywiście pod dowództwem Piłsudskiego – nie powstała.

Śliwiński i Downarowicz uzyskali aprobatę dla powstania polskiego w zaborze rosyjskim. Jak wiadomo, nie wybuchło, Austriacy zażądali rozwiązania oddziałów Piłsudskiego, zresztą nie dlatego, że byli rozczarowani. Piłsudski na zajętych terenach organizował polską administrację, a to z ich punktu widzenia było niedopuszczalne. Gdy 16 sierpnia 1914 r. powstawał Naczelny Komitet Narodowy i proklamował powołanie do życia Legionów, Śliwiński był jego członkiem. Wraz z Józefem Hudecem i Arturem Hausnerem reprezentował lewicę demokratyczną.

U progu niepodległości, jesienią 1918 r., Hipolit Śliwiński wziął udział w szczególnej misji. Na początku listopada pojechał do Warszawy, by – jak wspominał Ignacy Daszyński – „podburzywszy lewicowców-warszawiaków", zażądać od członków Rady Regencyjnej, by podali się do dymisji, grożąc im jakimś „dyrektoriatem".

Podobno Zdzisław Lubomirski i kard. Aleksander Kakowski byli skłonni ustąpić ze stanowisk, natomiast Józef Ostrowski zapytał o to, któż to taki zasiada w owym „dyrektoriacie", którego oczywiście nie było. Hipolit Śliwiński odparł na to, że nie przyszedł na pertraktacje, tylko z żądaniem ustąpienia regentów. „Tego było za wiele wielkiemu panu Ostrowskiemu, żachnął się więc na swym regenckim łożu i powiedział: »W takim razie nic z abdykacji«. Na co Hipcio zrobił swoją najbardziej rewolucyjną minę, postrzygł wąsikami i wypalił: »W takim razie...« I tutaj przejechał sobie po szyi palcem, naśladując nóż królobójczej gilotyny" (J. Lechoń, „Dzienniki", t. 3).

Koryto i świnie

Po odzyskaniu niepodległości Śliwiński od 1919 do 1928 r. był posłem. W dziejach polskiego Sejmu zapisał się chyba najbardziej tym, że jako architekt zaproponował, by sala poselska nowego gmachu parlamentu uzyskała kształt amfiteatralny – co zostało zrealizowane – i wszedł do komitetu rozbudowy budynków władzy ustawodawczej. W parlamencie reprezentował różne

Hipolit Śliwiński, Józef Piłsudski, Walery Sławek i Michał Sokolnicki, 1914 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 3b69ca0f16

lewicowe partie ludowe. Jak wspominał, w Sejmie przystąpił „z polecenia pewnych czynników" do klubu Stronnictwa Ludowego (grupy Stapińskiego). Oczywiście tym czynnikiem był Piłsudski lub jego otoczenie. Śliwiński deklarował się jako piłsudczyk z krwi i kości, ale nie podobało mu się „odkomenderowanie gryzipiórków z przedpokojów pałacowych [Belwederu – przyp. T.S.] do sejmu i powiedzenie Piłsudskiego: „Mianuję pana posłem". Po jednej ze zmian koalicji rządowej powiedział: „Koryto to samo, tylko świnie się zmieniły". A na oburzenie znajomej, że jakiś poseł kradł publiczne pieniądze, odpowiedział: „A jakie miał kraść inne? Za prywatne to się idzie do więzienia".

Śliwiński był m.in. członkiem Stronnictwa Chłopskiego, które poparło przewrót majowy, potem został z niego wyrzucony, bo partia zmieniła poglądy, a Śliwiński pozostał zwolennikiem Marszałka. Znalazł się następnie w utworzonym prorządowym Związku Chłopskim. Bez powodzenia kandydował z ramienia tej partii do Senatu w 1928 r. Najwyraźniej jednak liczył na to, że zostanie jeszcze doceniony i wykorzystany politycznie przez piłsudczyków. Żalił się: „Dzisiaj jestem już dla pewnych ludzi za ubogi, aby mnie ktoś potrzebował; z bolesną tedy dumą śledzę życie polityczne z wyżyny »Górki Kadeckiej« w roli obserwatora. W tej roli ani ja pierwszy, ani ostatni z dawnego świętego »Zakonu Niepodległościowców«". Piłsudczycy trzeźwo jednak ocenili, że Śliwiński nie ma żadnych wpływów politycznych, nie przyciągnie wyborców, i przestali się nim interesować.

Hipolit Śliwiński był od 1918 r. do końca życia radnym miasta Lwowa. W 1927 r. był wśród współzałożycieli lwowskiego Klubu Republikańsko-Demokratycznego, który chciał działać w myśl wskazań Marszałka, a więc walczyć z komunizmem, faszyzmem, nacjonalizmem i klerykalizmem (A. Biedrzycka, „Kalendarium Lwowa 1918–1939").

Bez powodzenia startował w wyborach na wiceprezydenta Lwowa w 1930 r. W tym czasie trwała realizacja jego ostatniej budowy: domu dla kolejarzy przy dzisiejszej ulicy Poliszczuka 76. Zmarł dwa lata później i został pochowany na cmentarzu Łyczakowskim. Niestety, grób człowieka, który przeznaczał pieniądze na karabiny dla strzelców Piłsudskiego, jest bardzo zaniedbany.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Esterházy

Tomasz Stańczyk

I Węgrzy mają swoje kresy, ziemie utracone. W tym roku minęła setna rocznica trianońskiego traktatu rozbiorowego – podyktowanego przez mocarstwa – który okroił ziemie Korony św. Stefana do wielkości obecnych Węgier. Dla Węgrów jest to nadal wielka trauma. Na niektórych z licznych pomników są dwa kontury: Królestwa Węgier sprzed traktatu trianońskiego oraz dzisiejszego państwa. W Trianon pozbawiono Węgrów ziem i miejsc związanych z ich historią i kulturą. Także tych, na których stanowili większość: Siedmiogrodu oraz fragmentu, który został oddany Czechosłowacji. Była to część Górnych Węgier, czyli ziemie słowackie. Po Trianon pozostał na swojej ojcowiźnie János Esterházy, z jednego z najsłynniejszych węgierskich rodów. Jego matka była córką profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, hrabiego Stanisława Tarnowskiego. Stała się węgierską patriotką i w takim duchu wychowała syna. Dodawać chyba nie trzeba, że wychowała go w duchu katolickim. János Esterházy był działaczem mniejszości węgierskiej w Czechosłowacji. Państwo niemieckie i sudeccy Niemcy spowodowali jej rozpad i likwidację. Esterházy pozostał w utworzonym marionetkowym, uzależnionym od Berlina państwie słowackim. Zarówno Czechosłowacja, jak i Słowacja, dyskryminowały ludność węgierską, nie zapewniały jej prawa do kultywowania własnego języka i tradycji. Tak samo postępowała Litwa i Niemcy przed drugą wojną światową wobec Polaków. Esterházy protestował przeciw dyskryminacji, ale nawet jego przemówienia w parlamencie czechosłowackim nie były drukowane w gazetach.

We wrześniu 1939 r. János Esterházy wydatnie pomagał polskim żołnierzom, opuszczającym kraj po podwójnej, niemiecko-rosyjskiej agresji, i przechodzącym do Węgier. Do kraju, który odmówił pomocy Niemcom w ataku na Polskę. Esterházy organizował zaopatrzenie i zakwaterowanie dla Polaków. W 2009 r. prezydent Lech Kaczyński odznaczył go Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. O podjętej decyzji władz marionetkowej Słowacji, zezwalającej na deportację Żydów do niemieckich obozów zagłady, Esterházy powiedział, że depcze ona prawa boskie i ludzkie. Nazwał to hańbą. Dawał schronienie Żydom w swoich majątkach. W kwietniu 1945 r. słowaccy komuniści wydali go władzom sowieckim. W moskiewskim procesie oskarżono go, fałszywie, że starał się przyspieszyć wojnę przeciw Związkowi Sowieckiemu i kolaborował z Niemcami, i z jego polecenia – jak pisał Imre Molnár autor książki „Zdradzony bohater", rozpowszechniano „prowokacyjne" artykuły o tym, że mordu katyńskiego dokonało rosyjskie NKWD. Wyrok: dożywotnie uwięzienie w łagrach. Niezależnie od tego komunistyczna Słowacja skazała go na śmierć. Nie załamał się. Molnár podaje w swojej książce: „Jestem takim, jakim mnie ukształtowało najlitościwsze serce Pana naszego, Jezusa". A także ofiarował swoje cierpienia za oswobodzenie narodu węgierskiego. Sowieci przekazali Czechosłowakom bardzo chorego na gruźlicę Esterházyego. Zmarł w więzieniu w 1957 r., już po rewolucji węgierskiej.

Obecnie toczy się jego proces beatyfikacyjny. Nie na Słowacji i nie na Węgrzech. Zapewne dlatego, by uniknąć politycznych kontekstów. Proces odbywa się w diecezji krakowskiej, skąd pochodziła jego matka. Postulator procesu o. Paweł Cebula stwierdził, że János Esterházy, łączący trzy narody – Węgrów, Słowaków i Polaków – powinien być patronem pojednania i leczenia ran przeszłości. ©℗

eprasa.pl 3b69ca0f16

Książę d'Enghien prowadzi jazdę pod Rocroi

FOT. BIBLIOTHÈQUE NATIONALE DE FRANCE

19 maja 1643 r. / Bitwa pod Rocroi

Entrée Wielkiego Kondeusza

Maciej Rosalak

Było to pierwsze od wieku znaczące zwycięstwo armii francuskiej nad hiszpańską

Ludwik XIII zmarł pięć dni przed pokonaniem armii hiszpańskiej oblegającej twierdzę francuską w Szampanii (tuż przy obecnej granicy z Belgią). Nie dożył więc pierwszego od niemal stu lat tak znaczącego triumfu Francuzów nad Hiszpanami. Pod Rocroi dowodził krewniak królewski – książę Ludwik d'Enghien, który trzy lata później odziedziczy po ojcu tytuł Burbon-Condé. Dzięki sukcesom na polach bitew przejdzie do historii jako Kondeusz Wielki. Stanie się to w epoce ciągłych wojen i wielkich bitew, do których wysyłał swe liczne armie następca zmarłego króla – Ludwik XIV.

W chwili śmierci ojca miał on jednak niespełna pięć lat. Regentką została więc jego matka królowa Anna Austriaczka, a faktycznie rządził pierwszy minister i być może jej kochanek, kard. Jules Mazarin (właśc. Giulio Raimondo Mazzarini). Objął on to stanowisko w 1642 r. po śmierci swego wielkiego poprzednika, kard. Armanda-Jeana du Plessis de Richelieu, który uczynił Francję silnym, absolutnym królestwem. Udało mu się to m.in. dzięki zreformowaniu wojska, którego stan powiększył z zaledwie 10 tys. żołnierzy do 150 tys. Powołane przez kardynała ministerstwo wojny zapewniało jego sprawne funkcjonowanie, sztab generalny przygotowywał plany kampanii oraz mapy teatrów wojny, a flota wojenna broniła wybrzeża i szlaków komunikacyjnych.

Pieniądze na to Richelieu znalazł dzięki wprowadzeniu systemu podatkowego obejmującego wszystkie grupy społeczne – a nie tylko wpływy z domeny królewskiej. Był to zresztą proces obejmujący podczas trwającej akurat wojny trzydziestoletniej wszystkie niemal państwa zachodnioeuropejskie. Niestety, w Rzeczypospolitej szlachta na to nie pozwoliła, co stało się głównym powodem postępującego słabnięcia i w końcu upadku naszego państwa. Natomiast w XVII w. podatki we Francji – poczynając od lat 30., kiedy to katolickie państwo przystąpiło do wojny po stronie protestantów – wzrosły ośmiokrotnie. Przy wielkim potencjale ludności (dla porównania: 18 mln we Francji; 10 mln w Niemczech w 1648 r.) zapewniało to później Ludwikowi XIV stałą armię nawet 300-tysięczną.

Jednak dokładnie 19 maja 1643 r., gdy pod Rocroi słychać było szczęk rapierów oraz huk dział i muszkietów, pięcioletni Ludwik „ubrany w czarny strój, ozdobiony jedynie białymi koronkami i złotym

eprasa.pl 3b69ca0f16

sznurem… udaje się do opactwa Saint Denis", gdzie uroczyście składano do królewskiej krypty zwłoki jego ojca. Lecz gratulacje zwycięzcy Hiszpanów będzie miał okazję złożyć dopiero po 3 sierpnia 1645 r., gdy książę wespół z marszałkiem Henri de Turenne odniesie kolejny triumf – nad armią cesarsko-bawarską pod Nordlingen. Na prośbę Mazarina „Ludwik staje na palcach, by uścisnąć księcia d'Enghien, o którym mówią, że będzie Wielkim Kondeuszem, najzdolniejszym dowódcą wojennym, równym co najmniej marszałkowi Tureniuszowi" (cytaty za: Max Gallo, „Ludwik XIV", Rebis 2016).

Dodajmy tu jednak, że kontynuowanie przez następcę kard. Richelieu jego polityki podatkowej spowodowało w latach 1648–1653 dwukrotny bunt sporej części arystokracji – a także warstw niższych – zwany frondą. Frondyści, do których zresztą przystąpił Kondeusz, kierowali protest przeciw Mazariniemu, mając dość zdzierstw podatkowych, ale też stylu rządzenia tego włoskiego plebejusza. „Wiatr się zerwał dzisiaj z rana, / wiatr od frondy wieje, / może zdmuchnie Mazarina, / który już się chwieje" – pisał Aleksander Dumas w powieści „W dwadzieścia lat później", kontynuacji słynnych „Trzech muszkieterów".

Francja pod bronią

Kardynał Richelieu postanowił przystąpić do wojny trzydziestoletniej w 1635 r., kiedy cesarz Ferdynand Habsburg zawarł pokój z elektorem saskim. Ferdynand zgodził się na odwołanie ogłoszonego sześć lat wcześniej edyktu restytucji ogromnych posiadłości Kościoła rzymskokatolickiego w krajach protestanckich, a te, usatysfakcjonowane, wycofały się z sojuszu ze Szwedami. Sytuacja armii szwedzkiej – zwłaszcza bez współdziałania z najsilniejszą w unii ewangelickiej Saksonią – stawała się krytyczna. Prowadząca antyhabsburską politykę Francja, która wcześniej finansowała wojska szwedzkie, poczuła się zmuszona do bezpośredniej akcji militarnej.

W związku z tym w maju 1635 r. wypowiedziała wojnę Hiszpanii, rządzonej przez Filipa IV Habsburga. Pretekstem było aresztowanie przez Hiszpanów francuskiego sprzymierzeńca, elektora trewirskiego, a jednym z powodów – francuskie roszczenia w Katalonii. Oczywiście Habsburgowie natychmiast zaatakowali Francję z obu stron, od wschodu i południa, ale do opisywanego tu starcia doszło dopiero osiem lat później, w 1643 r., gdy dwudziestokilkutysięczna armia hiszpańska pod dowództwem gubernatora Południowych Niderlandów Francisco de Melo ruszyła z Flandrii i rozpoczęła oblężenie francuskiej twierdzy Rocroi.

Trzeba pamiętać, że markiz Tor de Laguny, hrabia Assumaru Francisco de Melo dokładnie rok wcześniej – 26 maja 1642 r. – pobił pod Honnecourt francuską armię dowodzoną przez hrabiego de La Palice, marszałka Jeana François de La Guiche. Hiszpan stracił wtedy 500 zabitych i rannych, a straty francuskie wyniosły aż 3,6 tys. zabitych i rannych oraz 3,4 tys. jeńców. Co prawda niderlandzki gubernator miał wtedy pod rozkazami 19 tys. żołnierzy, w tym 6 tys. jazdy i 20 dział, a francuski marszałek tylko 10 tys. żołnierzy, w tym 3 tys. jazdy i 10 dział, a więc dwukrotnie mniej. A pod Rocroi hiszpańska przewaga nie była już tak wyraźna, gdyż francuskie wojska liczyły tylko 4 tys. mniej zbrojnych.

Sukcesy hiszpańskie tamtej epoki polegały na użyciu tercios – specyficznej formacji piechoty. Jej trzon stanowili pikinierzy, których wartość w zwalczaniu średniowiecznej jazdy rycerskiej odkryli Szwajcarzy podczas wojen z Habsburgami, ale tradycja długich pik, dochodzących od 2,5 do ponad 5 m długości, sięga przecież starożytnej, macedońskiej falangi. W XV i XVI w. pikinierzy stanowili gros armii zachodnioeuropejskich. W XVII w. szwedzki król Gustaw II Adolf używał ich nawet w ataku. Hiszpanie uczynili z nich opokę wielkich, prostokątnych kolumn piechoty w 27 szeregach i 59 rzędach, z szermierzami i strzelcami zbrojnymi w arkebuzy i muszkiety dla osłony boków oraz tyłów.

Chronieni hełmami i półpancerzami pikinierzy atakowali, kierując w przeciwnika piki czterech pierwszych szeregów. Następne szeregi trzymały piki w pionie i w miarę wbijania się w formację wroga opuszczały je ku niemu. Formacja była „żywą fortecą", powolną, ale odporną na ataki. Trudna w manewrowaniu, była jednak bardzo skuteczna dzięki świetnie wyćwiczonym i karnym żołnierzom.

Szyki piechoty francuskiej były płytsze, za to łatwiejsze w manewrowaniu. Pikinierzy tworzyli raczej osłonę dla muszkieterów, którzy stosowali taktykę kontrmarszu. Przy niskiej szybkostrzelności i celności ówczesnej broni palnej tylko taktyka ciągłego przemieszczania się szeregów, które już wystrzeliły, z tymi, które miały już naładowane muszkiety, zapewniała bowiem prowadzenie ciągłego ognia salwami. Uzbrojenie strzelców uzupełniały rapiery,

Pikinierzy hiszpańskich tercios byli nie do pokonania przez jazdę. Augusto Ferrer-Dalmau „Rocroi, el último tercio" FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 3b69ca0f16

a niekiedy berdysze, na których (zamiast na forkietach) mogli oprzeć ciężkie muszkiety.

Kawalerię tworzyła przede wszystkim rajtaria ciężka i lekka. Pierwszy rodzaj używał hełmów oraz kirysów, a także cięższych koni. Lekka rajtaria – a taką przeważnie mieli Francuzi – nie nosiła zbroi, tylko kapelusze i kolety, a jeździła na koniach lżejszych i zwrotniejszych. Charakterystyczne dla wszystkich rajtarów były długie buty za kolana (botforty), rapiery i pary pistoletów kołowych w olstrach, niekiedy też długie bandolety. Taktyka karakolu – jeżdżenia w kółko i strzelania do wroga – ustępowała już szarży, której zabójcze skutki tak boleśnie odczuli Szwedzi pod Kircholmem (1605) z rąk Polaków. Gustaw II Adolf nauczył tego naturalnego dla jazdy ataku swoich rajtarów i przeniósł na pola bitew wojny trzydziestoletniej. Ludwik d'Enghien z pewnością go znał w maju 1643 r.

Gustaw II Adolf rozwinął także artylerię polową z użyciem lżejszych, łatwiejszych w użyciu dział. Ich mordercze skutki powiększyło stosowanie nabojów oraz pocisków wypełnionych prochem i zamkniętych czopem z zapalonym lontem, które rozrywały się w szeregach przeciwników. Wynaleziony w latach 20. XVII w. nabój, w którym materiałem miotającym był wypełniony prochem worek, przyspieszał zaś ładowanie i czynił je bezpieczniejszym.

Pochwała manewru

Po kilku latach porażek, wiosną 1643 r. wojska francuskie zaatakowały północną Katalonię. Aby odciągnąć Francuzów z Półwyspu Pirenejskiego, Hiszpanie wyprawili się do Szampanii w celu zdobycia nadgranicznej twierdzy Rocroi. Francisco de Melo przybył pod jej mury 12 maja 1643 r. Parę dni później nadciągnął tu jednak z odsieczą książę d'Enghien, aby jak najszybszej go pokonać. Spieszył się, ponieważ nadciągały posiłki dla Hiszpanów pod wodzą Johanna von Becka w sile 1 tys. jeźdźców i 3 tys. piechurów. 17 maja d'Enghien wzmocnił załogę miasta oddziałem 150 muszkieterów, a nazajutrz obydwie armie stanęły naprzeciw siebie i rozpoczęły ostrzeliwanie się z dział.

Francuzi mieli ich 14, a Hiszpanie 18. Liczbę żołnierzy francuskich podaje się w liczbach między 22 tys. a 23,5 tys. żołnierzy, natomiast żołnierzy hiszpańskich, niemieckich i walońskich, którzy znajdowali się pod komendą de Melo, w przedziale od 26 tys. do 27,5 tys. W każdym razie Hiszpan dysponował kilkoma tysiącami zbrojnych więcej niż Francuz.

Obydwaj wodzowie ustawili wojska w typowym, jakby lustrzanym odbiciu: główne siły piechoty w centrum, a kawalerii na skrzydłach. I tak 15 batalionów piechoty francuskiej pod wodzą Espenana stanęło w dwóch liniach, z kilkoma tysiącami muszkieterów i kawalerią po bokach. Trzynastoma kompaniami lewego skrzydła jazdy dowodził Henri de La Ferté-Senneterre, a 15 kompaniami skrzydła prawego – sam książę d'Enghien oraz hrabia Jean de Gassion. Rezerwą w sile trzech batalionów piechoty oraz czterech kompanii jazdy dowodził Claude de Letouf baron de Sirot.

Armia hiszpańska liczyła 19 batalionów piechoty ustawionych w dwóch liniach (odpowiednio 10 i 9 batalionów). Kawaleria – podobnie jak po stronie francuskiej – rozlokowana została na obu skrzydłach. Prawą stroną (7 regimentów) dowodził Isenburg, lewą (12 regimentów) książę Alburquerque. W rezerwie stanęła kompania pod wodzą barona von Andre. W nocy 18 maja de Melo polecił muszkieterom wzmocnić lewą flankę, którą uważał za najbardziej zagrożoną.

Przeciwnicy jednocześnie ruszyli na siebie wraz ze świtem. Hiszpańscy tercios zmusili wprawdzie do wycofania piechotę francuską w centrum, ale jej nie rozbili, podobnie jak hiszpańska kawaleria prawego skrzydła spychała jazdę lewego skrzydła francuskiego, lecz nie spowodowała jej ucieczki. Natomiast na przeciwnym skrzydle jazda francuska zepchnęła kawalerię hiszpańską tak, że książę d'Enghien mógł uderzyć piechotą na odsłonięte lewe skrzydło posuwających się naprzód tercios. Atak Hiszpanów zatrzymał m.in. słynny, najstarszy w całej Europie pułk piechoty francuskiej z Pikardii, zwany też Bandą Pikardyjską. Utworzono go na przełomie lat 70. i 80. XV w. i odtąd wsławił się w licznych bitwach podczas kolejnych stuleci, z omawianą tu batalią włącznie. Pozostał do dziś w siłach Republiki Francuskiej jako 1. Pułk Piechoty Liniowej.

Lewoskrzydłowa kawaleria hiszpańska próbowała kontratakować, ale wejście do walki francuskiego odwodu doprowadziło do jej rozbicia. Wtedy d'Enghien z kawalerią prawego skrzydła przejechał za tyłami piechoty hiszpańskiej i uderzył na tyły wrogiej kawalerii na prawym skrzydle hiszpańskim, rozbijając i ją. I tak skrzydłowy, kawaleryjski zagon, a nie masy piechoty idącej na czołowe zderzenie, zadecydował o wyniku bitwy.

W sytuacji, jaka powstała po otoczeniu kolumn tercios, z pola bitwy uszła piechota z Walonii i Niemiec. Okrążone jednostki złożone z Hiszpanów, masakrowane ogniem artylerii, zdołały jednak odeprzeć cztery kolejne ataki nieprzyjacielskiej jazdy i piechoty. W końcu książę d'Enghien przystał na warunki honorowej kapitulacji hiszpańskiej, do której doszło o godz. 10, i Hiszpanie z bronią i pod sztandarami odeszli z pola bitwy. Stracili oni 7,5 tys. zabitych przy 4,5 tys. po stronie francuskiej.

Zwycięstwo francuskie pod Rocroi prowadziło do spadku wpływów hiszpańskich w Katalonii i w ogóle obniżyło prestiż Hiszpanii. Oznaczało natomiast wspaniałe entrée Ludwika d'Enghien na karty historii. Bitwa jest też uznawana – moim zdaniem nieco na wyrost – za „koniec świetności hiszpańskich tercios".

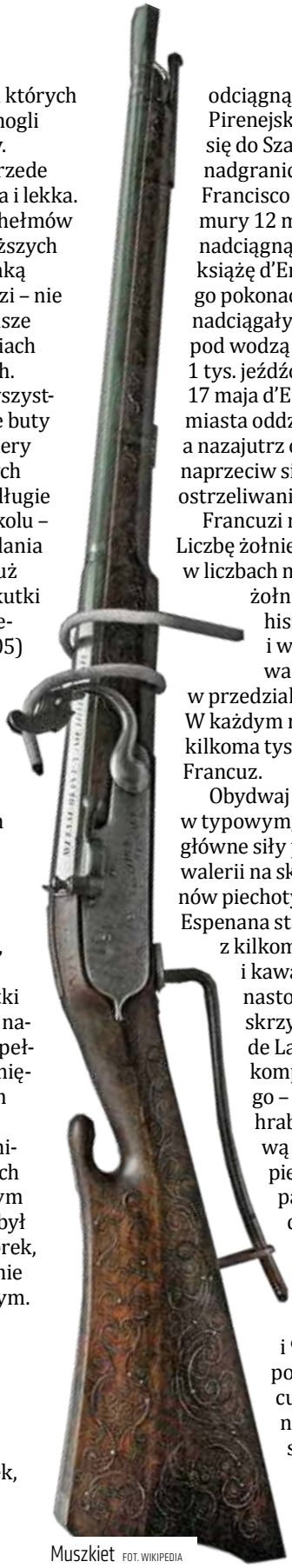

Muszkiet FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 3b69ca0f16

Wszak formacja ta nie pozwoliła się rozbić, zachowała sztandary i odeszła z pola walki właściwie niepokonana. A piechotę zbrojną w piki i tak rychło – wraz z pojawieniem się karabinu z bagnetem – czekał kres.

24 października 1648 r. podpisano w Münsterze traktat pokojowy pomiędzy Cesarstwem a Francją, który – wraz z drugim traktatem z Osnabrücku pomiędzy Cesarstwem a Szwecją – oznaczał kres wojny trzydziestoletniej. Najwięcej korzyści z owego pokoju westfalskiego odniosła Francja: uzyskała Alzację, twierdze Breisach i Philippsburg oraz

Bohaterowie Dumasa – wzór muszkieterów królewskich – na XIX-wiecznej ilustracji Maurice'a Leloira FOT. DOMENA PUBLICZNA

biskupstwa Metz, Toul i Verdun. Ale wojna Francji z Hiszpanią trwała aż do 1659 r., kiedy kraje te podpisały tzw. pokój pirenejski. Hiszpania zrzekła się części Artois, Luksemburga i Flandrii oraz północnej części Katalonii, zwanej przez Francuzów Roussillon, a Francja zrzekła się pretensji do reszty Katalonii. Uzgodniono też małżeństwo infantki hiszpańskiej Marii Teresy z królem Francji Ludwikiem XIV, co dawało Burbonom szansę objęcia tronu hiszpańskiego po wymarciu tamtejszej linii Habsburgów. Stało się to zresztą powodem wszczęcia przez Ludwika XIV kolejnych wojen z Hiszpanią w interesie swej dynastii…

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Prawdziwy d'Artagnan

Maciej Rosalak

Nieśmiertelnych „Trzech muszkieterów" Aleksandra Dumasa rozpoczynają rady ojca, który w 1625 r. wyprawia syna do Paryża, aby zrobił karierę w oddziale muszkieterów królewskich, dowodzonych przez gaskońskiego ziomka, pana de Treville. Oto fragment: „Przy dworze… jeżeli tylko będziesz miał zaszczyt tam się dostać…, godnie utrzymaj imię szlachcica, które przez przodków twoich zaszczytnie było noszone od pięciuset przeszło lat. Nie ustępuj nikomu, nikomu nic nie puszczaj płazem, prócz panu kardynałowi i królowi. Odwagą tylko, rozumiesz mnie, tylko odwagą szlachcic dziś sobie toruje drogę… Młody jesteś i winieneś być waleczny dla dwóch powodów: najpierw, że jesteś Gaskończykiem, po wtóre, że jesteś moim synem… Kazałem cię wyćwiczyć we władaniu szpadą; żelazną masz nogę, a dłonie ze stali; bij się o byle co, bij się tym bardziej, że pojedynki są zakazane, więc z tego wynika, że, aby się bić, trzeba mieć podwójną odwagę". Posłuszny syn, zanim po raz pierwszy opuścił siedzibę kapitana de Treville, przyjął wyzwanie na pojedynek kolejno od trzech najsławniejszych muszkieterów, a przeżył zapewne dzięki walce u ich boku z pięcioma gwardzistami kardynała Richelieu, z których najgroźniejszego zabił.

Dumas – syn francuskiego szlachcica i Murzynki z Dominikany – sam znakomity fechmistrz i strzelec, doskonale rozumiał prowincjonalnych parweniuszy, którzy 200 lat wcześniej podążali do stolicy, aby wybić się w szeregach armii Ludwików numer XIII i XIV. Główny bohater „Trzech muszkieterów" nie jest li tylko wytworem fantazji pisarza. Oparł się on bowiem na wydanym w 1700 r. apokryfie – „pamiętniku" d'Artagnana – napisanym przez niewydarzonego muszkietera, ale wziętego pamflecistę Courtilza de Sandrasa. Prawdziwy bohater Dumasa istniał, nosił nazwisko Charles de Batz-Castelmore, Comte d'Artagnan, seigneur d'Artagnan. Brzmi to w naszych uszach imponująco, ale nie dajmy się zwieść tytułowi hrabiego. Historycy rychło ustalili istotne szczegóły życiorysu idola młodych czytelników (i kinomanów) mojego jeszcze pokolenia. Otóż protoplasta rodu, wzbogacony kupiec z Batz – wbrew cytowanej wyżej przemowie taty – dopiero w XVI w. uzurpował sobie szlachectwo po zakupie zamku Castelmore, zubożały tata ożenił się zaś ze szlachcianką, której rodzina posiadała zamek d'Artagnan. Stąd „hrabia" w tytulaturze Batzów.

Muszkieterów królewskich nie należy mylić ze zwykłymi pieszymi muszkieterami. Oto na początku lat 20. Ludwik XIII wyposażył w muszkiety 100-osobowy oddział lekkiej jazdy, złożony z walecznych młodych szlachciców i uczynił z nich swą doborową gwardię przyboczną. Służyć w niej było marzeniem każdego, a dowodzić w randze kapitana – największym zaszczytem. Wiemy, że z odwagi, lojalności i wojennego kunsztu naszego dzielnego Gaskończyka chętnie korzystali władający Francją. Za usługi oddane w walce z frondystami Mazzarini mianował go podporucznikiem faktycznie dowodzącym muszkieterami w zastępstwie kapitana – nieudolnego siostrzeńca kardynała. D'Artagnan walczył wielokrotnie dla Ludwika XIV, a zginął w 1673 r. pod Maastricht, gdy prowadził muszkieterów do kontrataku jako ich pełnoprawny kapitan. Król Słońce nadał mu też tytuł marszałka polnego… jako jednemu z 572 tak wyróżnionych oficerów. A kapitan muszkieterów, ho, ho, był jeden jedyny… ©℗

eprasa.pl 3b69ca0f16

Arabowie atakują z morza

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Średniowieczne podboje Arabów kojarzą się głównie z kampaniami lądowymi i mało kto wie, że dysponowali oni także całkiem wartościową flotą

Jej rozwój związany był ściśle z opanowaniem południowych i wschodnich wybrzeży Morza Śródziemnego. Wykorzystano znajdujące się tam porty, stocznie (zwłaszcza syryjskie i egipskie), a przede wszystkim doświadczenie i umiejętności zamieszkujących na tym terenie ludzi. Marynarze i wioślarze na arabskich okrętach rekrutowani byli wyłącznie z obcych etnicznie ludów, przede wszystkim chrześcijan, w tym Greków i Koptów. Nie byli oni najprawdopodobniej uzbrojeni, chociaż będąc ludźmi wolnymi, mogli w niektórych sytuacjach brać udział w walce. Natomiast wchodzący w skład załogi zaokrętowani żołnierze, w greckich źródłach określani jako makhoi, byli Arabami i pochodzili nierzadko z elitarnych oddziałów armii lądowej. Podkreśla się, że otrzymywali większy żołd i lepsze racje żywnościowe w porównaniu ze zwykłymi marynarzami. W niektórych źródłach wspomina się, że na jednostkach stricte bojowych znajdowało się 100–150 żołnierzy piechoty morskiej.

Wczesne arabskie okręty wzorowane były na bizantyjskich, stosowano także identyczne niemal nazewnictwo. Wśród nich wymienia się m.in. karaboi kastellatoi, co oznacza prawdopodobnie okręty wyposażone w drewniane wieże (używano ich także w bizantyjskiej flocie), będące platformami, z których walczyli zaokrętowani żołnierze. Ich uzbrojenie nie różniło się oczywiście od tego, jakie stosowano w armii lądowej. Arabowie zdumiewająco szybko zaadaptowali wiele elementów bojowego rynsztunku od sąsiadów i ludów, które zdążyli podbić. Mieli od kogo czerpać wzorce, ponieważ perska i bizantyjska sztuka wojenna, a także tradycje zbrojeniowe stały na bardzo wysokim poziomie. W arsenale znajdowała się broń drzewcowa, obuchowa, sieczna i strzelcza.

W piechocie pierwszoplanową rolę odgrywały rozmaite włócznie, w tym krótkie zwane harba; rola oszczepów (mizraq) natomiast była raczej ograniczona. Szybko rozpowszechnił się miecz. Dominował obosieczny, z głownią długą, romboidalną w przekroju; jelce były masywne, lecz wąskie, rękojeści krótkie, jednoręczne. Wspomina się też o krótkich mieczach, nawiązujących nieco do dawnych rzymskich gladiusów. Ważne miejsce zajmował łuk, stanowiący przede wszystkim broń piechoty (rola konnych łuczników wzrosła z chwilą zetknięcia się z ludami tureckimi i adaptacją elementów ich taktyki). Był to łuk refleksyjny, kompozytowy, taki bowiem dominował na całym Bliskim Wschodzie.

W wojsku arabskim znano i stosowano całą gamę uzbrojenia ochronnego, spośród którego najliczniej reprezentowane były okrągłe tarcze, w tym egzemplarze wykonywane całkowicie ze skóry. Znano kolczugi (co zapewne było wynikiem kontaktów militarnych z Bizancjum), a także pancerze płytkowe i lamelkowe, charakterystyczne dla wschodniej wojskowości. Spośród hełmów stosowano m.in. zaadaptowane z Persji stożkowate szyszaki, a także prostsze odmiany z doczepionym czepcem kolczym; używano też hełmów skórzanych, znane są m.in. osłony wykonane ze skóry krokodyla. Żołnierze piechoty morskiej metalowe pancerze stosowali zapewne w bardzo ograniczonym zakresie – wpadnięcie do wody w takim rynsztunku równało się utonięciu.

Wydaje się, że istotne miejsce w arsenale zajmowała broń niekonwencjonalna – ogniowa. Arabowie bardzo wcześnie docenili walory bojowe ropy naftowej i wykorzystywali ją przede wszystkim podczas oblężeń. Sporządzano także ceramiczne granaty (zachowały się skorupy takich pocisków) wypełnione materiałami łatwopalnymi; ich skład, a także sposób zapłonu pozostają zagadką. ©℗

eprasa.pl 3b69ca0f16

VIS od „Warszyca”

Broń związana z powojennym podziemiem niepodległościowym, mająca potwierdzony kontekst historyczny, należy do stosunkowo rzadkich zabytków. Aż do 1989 r. nie było dla niej miejsca w muzealnych ekspozycjach, a tej zgromadzonej w magazynach towarzyszyły lakoniczne informacje dotyczące roku przekazania oraz ofiarodawcy. Wśród nielicznych, które można dokładnie zidentyfikować, znajduje się VIS wz. 35 (rok produkcji: 1938), odebrany żołnierzom Stanisława Sojczyńskiego ps. Warszyc. Ten były oficer AK zorganizował Konspiracyjne Wojsko Polskie – i nim dowodził – najsilniejszą organizację antykomunistyczną w centralnej Polsce w latach 1945–1946. Został aresztowany przez specjalną grupę operacyjną UB 27 czerwca 1946 r. w Częstochowie. Po pokazowym procesie przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Łodzi skazano go na karę śmierci. Wyrok wykonano 19 lutego 1947 r.

W notatce dołączonej do visa zapisano m.in.: „Pistolet syst. VIS wz. 35 nr fabr. 14515 odebrany w czasie akcji wojsk polskich w radomskim przy likwidacji wybitnie szkodliwej bandy »Warszyca« operującej na terenie powiatu częstochowskiego […]. W akcji przeciwko tej bandzie brały udział pododdziały 6. pułku piechoty z Częstochowy oraz elewi Oficerskiej Szkoły Politycznej w Łodzi […]”. Pistolet przekazał do Muzeum Wojska Polskiego wysokiej rangi oficer Ludowego Wojska Polskiego w 1969 r. ©℗

Shermany

Wszystkie czołgi produkowane podczas drugiej wojny światowej przechodziły wiele modernizacji wynikających z doświadczeń pola walki. Jednym z najintensywniej „poprawianych” pojazdów okazał się amerykański M4, ochrzczony przez Brytyjczyków nazwą Sherman. Obok sowieckiego T-34 był najliczniej produkowanym czołgiem i podobnie jak tamten wniósł ogromny wkład w ostateczne zwycięstwo nad Niemcami. Zadebiutował w Afryce i choć przyczynił się do sukcesu nad Rommlem, to szybko dostrzeżono jego liczne niedoskonałości. Obiektem krytyki była m.in. armata kal. 75 mm, znacznie ustępująca choćby niemieckiej siedemdziesiątce piątce z czołgu Panzerkampfwagen IV. Latem 1942 r. rozpoczęto w USA prace nad nowym, dłuższym działem kaliber 76 mm i w przededniu lądowania w Normandii alianci dysponowali już zdecydowanie lepszymi pojazdami, które mogły sprostać nawet cięższym niemieckim „kotom”, czyli Panterom i Tygrysom (zwłaszcza po udoskonaleniu amunicji). Na zdjęciu: czołg w starszej wersji M4A1 (odlewany kadłub), ale wyposażony w nową wieżę z armatą kaliber 76 mm zaopatrzoną w hamulec wylotowy. Pojazd ze zbiorów niemieckiego muzeum broni pancernej (Deutsches Panzermuseum) w Munster. ©℗

Mundury dla Afrika Korps

Niemieccy żołnierze walczący w Afryce w czasie drugiej wojny światowej otrzymali specjalnie sorty mundurowe. Za projekty odpowiadał Instytut Tropikalny w Hamburgu. Mundury produkowano w rozmaitych odcieniach – od oliwkowozielonego, poprzez ciemny beż, do piaskowego – wszystkie jednak szybko płowiały i przybierały barwę piaskową. Bawełniana kurtka miała otwarty wykładany kołnierz i cztery kieszenie zamykane klapami; zapinano ją na pięć guzików. Noszono kilka wzorów spodni, m.in. bryczesy do długich sznurowanych butów oraz szorty, które według regulaminu stosowano tylko za dnia. Przy spadku temperatury zakładano oliwkowozielone sukienne płaszcze. Buty wykonywano ze skóry i płótna, stosowano zarówno wysokie, sięgające kolan, jak i krótkie trzewiki do kostki. Nakryciem głowy była polowa czapka z daszkiem – jak u strzelców górskich – ale jedynie z imitacją bocznych klap. Głowę chronił standardowy hełm wz. 35 pokryty farbą piaskową. Hełmy korkowe nie były popularne. Żołnierzy po kampanii północnoafrykańskiej wyróżniały naramienne opaski z napisem „AFRIKA KORPS” lub „AFRIKA”. ©℗

eprasa.pl 3b69ca0f16

Końcówka wkładu długopisu Bic
FOT. CARLOS E.BASQUIERA/WIKIPEDIA

1938 r. / Opatentowanie wynalazku László Bíró

Przybór długopiszący

Tymoteusz Pawłowski

W październiku 1945 r. rozpoczęto sprzedaż komercyjnych długopisów w cenie 12,5 dol., a jeden dolar wart był wtedy kilkanaście razy więcej niż dziś

Legenda głosi, że Amerykanie wydali miliony dolarów na opracowanie specjalnego pióra zdolnego pracować na statkach kosmicznych, a sprytni Sowieci używali do tego zwykłych ołówków. Legenda jest nieprawdziwa, ale ma swoje odbicie w rzeczywistości, związanej z rozpowszechnieniem się długopisów.

Atramentu używano do pisania już w starożytnym Egipcie. Najłatwiej fabrykowało się go – zgodnie z nazwą pochodzącą od łacińskiego wyrazu „czernidło" – z sadzy rozpuszczonej w oliwie. Dużo większy problem stanowiło rozprowadzenie atramentu po papirusie, pergaminie czy papierze. Od średniowiecza za najlepsze narzędzie uchodziło odpowiednio przycięte gęsie pióro, ale „najlepsze" nie oznaczało w tym przypadku „pozbawione wad".

Kolejne lata przyniosły rozwój zarówno atramentów – wielka w tym zasługa przemysłu drukarskiego – jak i narzędzi piśmienniczych. Jedno z nich jest powszechnie używane do dziś, choć dużo straciło na swojej popularności. Scyzoryki kieszonkowe były nieodłącznym atrybutem piszących gęsimi piórami – czymś trzeba było te pióra przyciąć, a potem regularnie ostrzyć.

Część problemów rozwiązano, zastępując pióra gęsie piórami wykonanymi ze stali. Stalowe były właściwie tylko końcówki zwane stalówkami. Obsady początkowo wciąż wykonywano z piór, a potem zaczęto używać drewna i coraz wymyślniejszych materiałów. Stalówki pojawiły się w początkach XIX w., po wojnach napoleońskich, gdy brytyjskie zbrojownie nauczyły się produkować detale stalowe potrzebne w karabinach, ale karabiny przestały być – chwilowo – potrzebne.

Podobna jest geneza piór wiecznych, czyli napełnianych z małego wewnętrznego zbiorniczka. Pomysł istniał od dawna – historycy w zależności od mody wskazują typowy zestaw wynalazców: Chińczycy, Arabowie, Leonardo – ale możliwości produkcyjne były nieodpowiednie. Technologię w latach 30. XIX w. opanowały te same zbrojownie w Birmingham, które od 10 lat wytwarzały stalówki.

Wieczne pióra miały swoje wady. Przede wszystkim nie były „wieczne", trzeba było je dość często napełniać

eprasa.pl 3b69ca0f16

ze zwykłych kałamarzy. Miały tendencje do robienia kleksów, najgroźniejsze były zresztą nie te zrobione podczas pisania, lecz te, które powstawały podczas przenoszenia: w kieszeni czy w torebce. Były również drogie: czasem tańsze i wygodniejsze było noszenie ze sobą obsadki ze stalówką i korzystanie z kałamarzy powszechnie rozstawionych po biurach i urzędach.

László Bíró FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Biro

Wieczne pióra miały jeszcze jedną wadę przeszkadzającą w pracy profesjonalistom: ich atrament potrzebował czasu, aby wyschnąć, kłopotliwe było więc robienie szybkich notatek. Węgierski dziennikarz László Bíró zauważył, że farba drukarska schnie natychmiast, ale jest tak bardzo lepka, że nie działa w wiecznym piórze. Potrzeba jakiegoś elementu rozsmarowującego ją po papierze, tak jak to z pomocą wałków czyniły maszyny rotacyjne. Długopis jest więc w gruncie rzeczy zminiaturyzowaną maszyną drukarską, w której element rotacyjny stanowi bardzo drobna kulka. László Bíró zaczął pracować nad swoim wynalazkiem jeszcze w latach 20. XX w., w latach 30. pokazywał go na wystawach, ale sukces przyszedł dopiero w latach 40.

Do sukcesu przyczyniła się druga wojna światowa. Tuż przed jej rozpoczęciem rozczarowany brakiem sukcesów László Bíró poszedł w ślady Gombrowicza i wyemigrował do Argentyny. Opatentował swój wynalazek i wówczas został zauważony przez brytyjską firmę lotniczą Miles Aircraft, produkującą samoloty szkolne i przyrządy nawigacyjne. Brytyjczycy zauważyli, że wynalazek Węgra ma jeszcze jedną przewagę nad wiecznymi piórami. Na dużych wysokościach różnica ciśnień powodowała bowiem niekontrolowane wyciskanie atramentu ze zbiorniczka wiecznego pióra. Nowy przyrząd do pisania działał niezależnie od ciśnienia.

Wynalazek został zarejestrowany pod nazwiskiem wynalazcy i dzisiaj w wielu krajach „biro" stało się nazwą własną. Równie często – i z reguły wymiennie – używa się w obcych językach określenia „pióro kulkowe". W polszczyźnie znaczenie tego ostatniego terminu jest nieco inne, a powszechnie stosuje się termin „długopis". Rzeczywiście: wkładem długopisowym można narysować kilkukilometrową linię.

Długopisy stały się popularne wśród brytyjskich lotników pod sam koniec drugiej wojny światowej. Równie szybko trafiły do stacjonujących w Anglii lotników amerykańskich, a gdy wojna w Europie się skończyła, Amerykanie zanieśli długopisy do najdalszych krańców świata – w tym oczywiście do Stanów Zjednoczonych. W październiku 1945 r. rozpoczęto sprzedaż komercyjnych długopisów po 12,5 dol. Były więc bardzo drogie: wartość ówczesnego dolara była kilkanaście razy większa niż współczesnego. Sukces odniosły więc tanie, plastikowe, niemal jednorazowe długopisy, wprowadzone na europejski rynek w latach 50.

Kosmiczny długopis

Długopisy miały swoje zalety, ale nie sprawdzały się w niektórych zastosowaniach. Działają perfekcyjnie, gdy osoba praworęczna pisze tekst od lewej do prawej. Osoba leworęczna rozmazuje nadgarstkiem napisany przez siebie tekst. Znaleziono rozwiązanie: atrament długopisowy zastąpiono żelem – szybciej schnącym, ale rzadszym i wymagającym specjalnego pojemnika. Taki długopis dostał również nieco inną nazwę: w języku angielskim zamiast „ball pen" nazywa się go „roller pen". Do Polski wynalazek ten trafił dość późno, pomylono oba terminy i „piórem kulowym" nazywa się to, co powinniśmy nazywać „piórem rolkowym".

Długopisy były również zależne od grawitacji: nie chciały pisać do góry nogami. Kilka prywatnych firm próbowało rozwiązać ten problem i wreszcie udało się to zrobić. Wówczas takim długopisem zainteresowała się NASA, wysyłająca Amerykanów w kosmos. Przywódcy Związku Sowieckiego, w którym gospodarka działała według planów pięcioletnich, nie mogli zrozumieć znaczenia prywatnej inicjatywy, stąd pewnie legenda o milionach dolarów wydanych przez amerykański rząd na kosmiczny długopis. Opracowanie go w Związku Sowieckim kosztowałoby pewnie miliardy rubli, a tak sprzedaż komercyjna pokryła z nawiązką koszty prac badawczych. Amerykański kosmiczny długopis można dziś kupić niemal w każdym kraju – nawet w Rosji.

Trudno odpowiedzieć na pytanie, kiedy długopisy stały się popularniejsze od wiecznych piór. W 1957 r. na Zachodzie ustalono pierwszą normę dotyczącą wkładów, rozpoczynając standaryzację długopisów. Pod skomplikowanym oznaczeniem DIN 16554 ukrywają się zwykłe, cienkie wkłady. Jeszcze w latach 80. przykładano dużą wagę do nauki używania prawdziwego tuszu do rysunków technicznych, ale wkrótce potem rozpoczęła się era projektowania cyfrowego.

Pomimo popularności długopisów wieczne pióra nie zniknęły i wciąż są używane. Na pewno są bardziej komfortowe w użyciu: nie wymagają bowiem przyciskania ich do papieru. Uchodzą również za bardziej eleganckie, gdyż trzeba o nie dbać i o nich myśleć – inaczej „rozleją się" w kieszeni czy torbie. Już niedługo równie eleganckie i ekskluzywne będą długopisy, minął już ich czas, mało kto robi notatki na papierze, używa się do tego komputerów (często zakamuflowanych jako telefony).

Ostoją długopisów jest dziś jedynie szkoła, ale być może już niedługo nadejdzie ten dzień, gdy i stamtąd znikną. W Polsce jeszcze na początku lat 60. XX w. dzieciom nie pozwalano używać w szkole długopisów, upierając się przy piórach, jednak pod koniec tej dekady kałamarze zniknęły ze szkolnych ław, z biur oraz z urzędów. Czy podobny los czeka również długopisy?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3b69ca0f16

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

URODZONY W 1880 ROKU KAZIMIERZ JUNOSZA-STĘPOWSKI JEST UWAŻANY ZA NAJWYBITNIEJSZEGO POLSKIEGO AKTORA DRAMATYCZNEGO PIERWSZEJ POŁOWY XX WIEKU. NA SCENIE TEATRU ZADEBIUTOWAŁ JAKO OSIEMNASTOLATEK. A JUŻ W 1902 ROKU ZAGRAŁ W PIERWSZYM POLSKIM FILMIE FABULARNYM PT. „POWRÓT BIRBANTA", NAKRĘCONYM PRZEZ PIONIERA KINEMATOGRAFII - KAZIMIERZA PRÓSZYŃSKIEGO.

WYSTĄPIŁ W NIEMAL 60 FILMACH. NAJWIĘKSZĄ POPULARNOŚĆ PRZYNIOSŁY MU ROLE RAFAŁA WILCZURA W „ZNACHORZE" Z 1937 ROKU ORAZ NAKRĘCONEJ ROK PÓŹNIEJ KONTYNUACJI ZATYTUŁOWANEJ „PROFESOR WILCZUR".

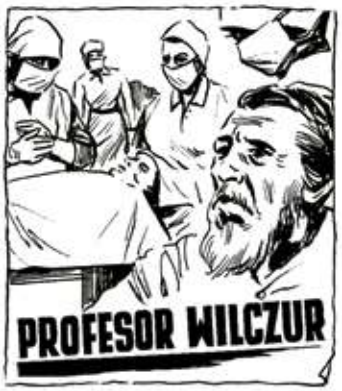

PO WYBUCHU WOJNY, JAK WIELE INNYCH OSÓB ZE ŚRODOWISKA AKTORSKIEGO, PRACOWAŁ W WARSZAWSKICH KAWIARNIACH I RESTAURACJACH. SYTUACJA FINANSOWA ZMUSIŁA GO DO WYSTĘPÓW W TEATRACH JAWNYCH. ZAROBIONE PIENIĄDZE PRZEZNACZAŁ NA ZDOBYCIE MORFINY DLA UZALEŻNIONEJ OD NIEJ ŻONY IZY GALEWSKIEJ-STĘPOWSKIEJ - ZNANEJ WIDZOM POD PSEUDONIMEM ARTYSTYCZNYM JAGA JUNO.

W 1940 ROKU WSPÓŁPRACUJĄCY Z NIEMCAMI IGO SYM ZŁOŻYŁ STĘPOWSKIEMU PROPOZYCJĘ, ABY WYSTĄPIŁ W ANTYPOLSKIM FILMIE ZATYTUŁOWANYM „HEIMKEHR".

NA KOLABORACJĘ Z NIEMCAMI ZDECYDOWAŁA SIĘ JEDNAK ŻONA STĘPOWSKIEGO. JAGA JUNO W ZAMIAN ZA NARKOTYKI, DOSTARCZAŁA INFORMACJE GESTAPO. ZOSTAŁA ZA TO SKAZANA NA KARĘ ŚMIERCI PRZEZ POLSKIE PAŃSTWO PODZIEMNE. JEDNAK, GDY 5 LIPCA 1943 ROKU WYKONAWCY WYROKU ZJAWILI SIĘ W DOMU STĘPOWSKIEGO...

KAZIMIERZ JUNOSZA- STĘPOWSKI ZMARŁ KILKA GODZIN PÓŹNIEJ W WYNIKU ODNIESIONEJ RANY. POCHOWANO GO NA POWĄZKACH. NATOMIAST WYROK NA JEGO ŻONIE WYKONANO OSTATECZNIE 21 MARCA 1944 ROKU.

eprasa.pl 3b69ca0f16

/ Felieton

Sławomir Cenckiewicz

Fatalizm poglądów

Kiedy myślę o swoim postrzeganiu naszych dziejów, zwłaszcza XX-wiecznych, to pierwsze słowo, jakie przychodzi mi na myśl, to pesymizm. Pesymizm, który dziedziczę po całej plejadzie nauczycieli, których książki stały się dla mnie drogowskazem myślenia. Dmowski, Katelbach, Bocheński, Matuszewski, Studnicki, Mackiewicze… I Ryszard Legutko, który Polskę zrodzoną z kataklizmu drugiej wojny światowej i PRL nazwał „Polską zerwanej ciągłości", bo jest ona czymś zupełnie innym, niż zawsze była. Z samej swojej istoty jest ona opozycją do „wszystkiego, czym była przez wieki", bo utraciła elity i strukturę społeczną, bo niemiecko-sowieccy okupanci i ukraińscy siepacze zachwiali biologiczną podstawą trwania narodu, bo Stalin przesunął ją na Zachód, bo straciła swoje tradycyjne centra kulturowe na Wschodzie, bo załamała się wielowiekowa misja i sens Polski, której „miejsce jest na Wschodzie", choć przynależy do świata cywilizacji Zachodu, bo komunizm dopełnił dzieła fizycznej i mentalnej zagłady polskości…

W tym nauczycielskim łańcuchu Legutko jest ważny, bo jest teraźniejszy, żyjący i wciąż aktywny w życiu publicznym. A do tego kojarzony jest z obozem politycznym, który w swojej aksjologii patriotycznej najczęściej zaprzecza pesymistycznej myśli wyłożonej w „Eseju o duszy polskiej", czerpiąc często z wyobrażeń ukształtowanych w PRL. Legutko jest więc głosem sprawiedliwym, jest strażnikiem rozsądku w ocenie naszych XX-wiecznych losów wśród romantyków głoszących rodzaj syntezy dawnych tradycji romantycznych z PRL-owską wizją Polski realizującej testament Krzywoustego.

Tym bardziej, czytając Legutkę, zastanawiałem się wielokrotnie nad tym, dlaczego jego stanowisko jest odosobnione, a może inaczej: dlaczego największa w dziejach katastrofa Polski spotyka się w większości z afirmacją naszych politycznych wyborów z okresu międzywojennego i drugiej wojny światowej. Dziś, również w kręgach konserwatywnej prawicy (choć na szczęście jedynie w obozie rządzącym), wszystkie decyzje polityczne, począwszy od przyłożenia ręki do zniszczenia państwa czechosłowackiego w 1938 r., przez przyjęcie „gwarancji" brytyjskich przez ministra Becka w marcu 1939 r., a kończąc na katastrofalnych w skutkach werdyktach w sprawie „Wachlarza", „Burzy", pasywności w sprawie rzezi wołyńskiej, Powstania Warszawskiego, rozmów z Sierowem… są uważane nie tylko za optymalne, lecz także próbuje się z nich uczynić decyzje niekwestionowalne w narracji historycznej na tyle, że wszyscy ich ewentualni krytycy powinni zostać otoczeni kordonem ostracyzmu. Te groźne dla swobody dyskusji postawy rozszerza się dziś na dziedzictwo Ludowego Wojska Polskiego, a nawet próbuje się nam wmówić, że Polacy wygrali drugą wojnę światową.

> / Dlaczego największa w dziejach katastrofa Polski spotyka się z afirmacją naszych politycznych wyborów z okresu międzywojennego i drugiej wojny światowej?

To poplątanie myśli przebrane w patriotyczny kontusz zawsze kieruje mnie ku interesującej myśli Jerzego Łojka, który wprawdzie na mniejszą skalę, ale również zmagał się z podobną postawą w latach 70., zarzucając jej rodzaj komunistycznego determinizmu. W jednej ze swych polemik („17 września. Odpowiedź polemistom") Łojek pisał w ten sposób: „W roku 1939 liczył się tylko rozsądek, orientacja w układzie sił międzynarodowych i właściwa koncesja działania naszych naczelnych władz państwowych. Zastanawianie się nad wydarzeniami września 1939 przy uznaniu ich nieuchronności i rzekomej konieczności budzi zasadniczy sprzeciw. Jest błędne historycznie, politycznie nonsensowne i wychowawczo szkodliwe. Instruktywne może być tylko badanie wydarzeń tamtego okresu z punktu widzenia możliwości i szans innego działania polskiego. […] Przeświadczenie moich polemistów, jakoby w okresie września 1939 i w ogóle w czasie drugiej wojny światowej podjęte zostały ze strony polskiej decyzje optymalne, najwłaściwsze i jedynie możliwe, jest nie tylko fałszywe historycznie. Jest nade wszystko szkodliwe politycznie. Nieodparcie wynika stąd bowiem wniosek, że koniecznością historyczną i jedynym wyjściem dla Narodu Polskiego w czasie wojny było utworzenie… PRL. Jeżeli własnym wysiłkiem nie mogliśmy nic lepszego wywalczyć lub wynegocjować, to tylko koncepcja dzisiejszej Polski Ludowej ma historyczne i polityczne uzasadnienie. Nie zgadzam się z tą tezą. Mniemam, że moi polemiści także nie. Skąd więc fatalizm ich poglądów?".

No właśnie: „Skąd więc fatalizm ich poglądów"? Minęło blisko 50 lat od polemiki Łojka, ja już żyję 50 lat na tym świecie i wciąż nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. ©℗

eprasa.pl 3b69ca0f16

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

VI EDYCJA NAGRODY

JUŻ W GRUDNIU

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENASI:

Enea PGNiG KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNERZY GŁÓWNI:

Bank Polski TOTALIZATOR SPORTOWY 65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

eprasa.pl 3b69ca0f16